Z KSIĘGOZBIORU 42 PUŁKU PIECHOTY

Szanuj książkę!

Książka - to najtrwalsza twierdza narodu

Nr 69
A I

Fr. 432

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

BIBLJOTEKA 42 P.
Ub. P. Białostockiego
Ut-69
4 (1.)

Z SIEDMIOLETNIEJ WOJNY

POWIEŚĆ

I.

3103
Duh

Brzesc
Dr S. Kuczyński
Kujawski
BIBLIOTEKA 42 P.

WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — GEBETHNER I SP. □□□□ 1914

KSIĄŻNICA PODLASKA im. [illegible] w Białymstoku
Nr 442368
Inwentarz Główny
KOMPUTER
821.162.1-311.6
WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w BIAŁYMSTOKU
205078
213/1
CZYTELNIA KSIĄŻEK
BIBLJOTEKA 42 P. P.
№ 111.
Dział Bel.
Miejska Biblioteka Publiczna
3103
w Białymstoku
K.
R. 545
2815 46

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

701/1

I.

Około połowy XVIII wieku Niemcy były krainą marzeń dla Włochów i Szwajcarów, którym się w domu siedzieć nie chciało, a woleli wzorem wielu szczęśliwych po dworach książęcych i królewskich szukać tego, co u nas zwano „krescytywą“. W istocie przykładów było dosyć takich uzdolnionych, do wszelkich posług gotowych, ciało i duszę zaprzedających chętnie dorobkiewiczów, którzy z małym tłomoczkiem napchanym nadziejami wyszedłszy z domu, wracali w splendorach gwiazd i tytułów, albo raczej nie powracali już nigdy, tylko ściągali ku sobie ubogich krewniaków, aby i oni też przy ich ogniu pieczeń swoją upiekli.

Na dworach berlińskim i saskim pełno było cudzoziemców i ze względów polityki wewnętrznej panujący daleko woleli otaczać się nimi, niż butną szlachtą domorosłą, która pewne sobie rościła prawa. Właśnie chcąc jej przytrzeć rogów, król August Mocny otoczył się Włochami i przybyszami z różnych krajów, a na dworze berlińskim metoda ta znalazła uznanie i naśladownictwo.

Z cudzoziemcami nie robiono sobie ceremonii, w kraju nie mieli się na kim opierać; przychodzili, zdając się odrazu na łaskę i niełaskę; słudzy z nich byli wygodni. W najgorszym razie wysyłano ich, jeżeli się pró-

ba nie udała, do Königsteinu lub Spandau i nikt się za nich nie śmiał ujmować.

Rzadziej się to jednak im trafiało, niż domorosłym sługom pańskim; większa część szła szybko do góry i całe kolonie tych emigrantów dobrowolnych zapełniały rezydencye niemieckie.

Tak też w roku 1755 przywędrował do Berlina powabny młodzieniec, który już od roku prawie kręcił się po stolicy nadsprejskiej, dotąd sobie nic jakoś wyszukać nie mogąc. Ani miła bardzo i zalecająca się powierzchowność, ani dworskie i piękne maniery, ani do wysokiego stopnia podniesiony kunszt tańca, ani muzykalne talenta, ani uśmiech i grzeczność nadskakująca, któremi witał każdego, bez względu na położenie jego i stosunki towarzyskie, jakoś nic dotąd nie pomagały.

Maks Henryk de Simonis przybył tu z Bernu, opierając się na pokrewieństwie z Ammonami, a jeden z Ammonów w służbie pruskiej i dyplomacyi ważne dosyć zajmował stanowisko. Kuzyn ten, mający mu służyć za protektora, przyjął go więcej niż zimno, ręce pochowawszy w kieszenie a głowę zadarłszy do góry. Pokrewieństwa nie zaprzeczał, ale głosił zasadę, iż młodzież o własnych środkach szukać sobie drogi powinna, bo tylko zostawiona własnemu przemysłowi siły do życia wyrobić jest w stanie.

Osobliwy to był człowiek ten Ammon stary; bo młodzieńca tak przy pierwszem widzeniu się z nim zbił z tropu i sfukał, iż się już przed nim więcej pokazać nie śmiał.

Pan Maks, gotów do największych ustępstw względem obcych, bo na to się wybierając w drogę przygotował, względem kuzyna uczuł w sobie jakąś dumę i urazę; ubodło go wyzwanie; przechodząc próg jego niegościnny,

powiedział sobie, iż gdyby miał z głodu umierać, więcej się do niego nie zgłosi.

Stary Ammon, który może tylko chciał młodzieńca wypróbować, czy jest dostatecznie giętki i sprężysty, stał jeszcze, jakby spodziewając się powrotu jego, gdy Maks, już kapelusik nałożywszy na zgrabną peruczkę (bo był elegant nielada), cały zarumieniony zbiegał ze schodów, klnąc się, iż ich więcej nie przebiegnie i do domu tego nie wróci.

Stary też powoływać go nazad nie myślał i tak kawaler de Simonis znalazł się na bruku berlińskim (o ile go tam naówczas było) sam jeden na bożej Opatrzności. Ale miał lat dwadzieścia i pięć, które są potęgą wielką; miał jeszcze z domu wziętych, jako stawka ostatnia, półtorasta dukatów; miał zęby białe, twarz jaśniejącą młodością, niebieskie, magnetyczną siłą tryskające oczy, zdrowie żelazne i mocne postanowienie wdrapania się na górę, choćby z pomocą nóg, rąk i wszelkiego narzędzia, jakiem go Bóg obdarzyć raczył.

Rodzice kawalera de Simonis, których był już postradał (jedna tylko siostra pozostała mu z rodziny), byli niegdyś ludzie majętni; mieli pochodzić z jakiejś szlachty, pono włoskiej; lecz nieszczęśliwe okoliczności zrujnowały ich do szczętu i zaledwie resztki mienia poświęciwszy wychowaniu syna, niewiele, tak jak nic prawie, zostawić mu mogli.

Odłużony dom w Bernie, w którym Maks siostrę ze staruszką ciotką zostawił, paręset dukatów ostatnich składały całe mienie młodego awanturnika. Ale któż w dwudziestu kilku leciech wątpi, że się pięcią zdrowymi palcami dorobi, czego zapragnie? Maks pragnął w ogólności wszystkiego, co przyjemnem być może: sławy, wziętości, bogactw, tytułów, stosunków, wielu miłosnych

przygód dla przechowania ich w pamięci i w końcu świetnego ożenienia, choćby z księżniczką. Patrząc w zwierciadło, pewien był, że najpiękniejsza księżniczka zakochać się w nim może: był nadzwyczaj ładny, świeży i miły.

Oprócz tego, dzięki rodzicom, innych mu zdobywczych nie brakowało przymiotów. Mówił płynnie, a co daleko na owe czasy rzadszem było, pisał ortograficznie kilku językami, francuskim władał tak, jak tylko Szwajcar nauczyć się może, po niemiecku pisał kaligraficznie, czytał biegle, rozmawiał wprawnie, umiał nieźle po łacinie, wcale dobrze po włosku, a w razie potrzeby, miał dosyć determinacyi, aby się nauczyć chociażby po indyjsku, gdyby mu się to na co przydać miało. Na wypadek karyery wojskowej, do której nie miał jednak powołania, bo to peruki nie dawało w należytym utrzymywać porządku, liznął był nieco matematyki, fechtował się i strzelał elegancko i wprawnie, tańcował jak Vestris, śpiewał tenorem wcale nieszpetnie, grał na klawicymbale, nawet to, co wówczas krzyżowemi sztukami nazywano, skrzypce mu nie były obce — czegóż więcej po takim kandydacie wymagać było można?

Należy i to dodać na jego pochwałę, że, oceniając niezmierny wpływ kobiet na przebieg spraw ludzkich, gotowym był zawsze z najwdzięczniejszym uśmiechem, młodym czy starym, pięknym zarówno i szpetnym zalecać się jak najgoręcej. Pięćdziesięcioletnie matrony nie zraziły go bynajmniej, siadał przy nich i, jeżeli tytuł a pozycya usprawiedliwiały ofiary, gotów był całe wieczory im poświęcać.

Z niezmierną bystrością, albo raczej z instynktem od natury mu danym, odgadywał dziwnie charaktery osób, a zastosowywał się do nich z nieporównaną zręcznością.

Z kraju swojego rodzinnego wyniósłszy najzupełniejszą obojętność religijną, kwestyę wyznania zachowywał do rozstrzygnienia na później. Był przygotowany, jeśliby mu przy dworze berlińskim zostać wypadało, wyznawać luteranizm lub ateizm, a trzymać się katolicyzmu, gdyby w ostateczności szczęścia szukać przyszło na dworze saskim lub w Wiedniu. Nie było to bezprzykładnem, boć i on sławny baron Pöllnitz dla ożenienia nawrócił się był na katolicyzm, a dla powrotu do szambelaństwa przy królu pruskim ofiarował się przejść z powrotem do kościoła reformowanego, na co mu Fryderyk odpowiedzieć kazał, jak wiadomo, że go nie weźmie inaczej, chyba muzułmańską przyjmie wiarę. Maks de Simonis chadzał tymczasowo i do kościoła i do kirchy, ale że w Berlinie naówczas mało na to zważano i nie opłacała się gorliwość, najczęściej nie bywał nigdzie.

W innych też przekonaniach swych nie był wcale pedantem, tolerował wszelkie opinie, a do poślubienia jednej z nich czekał, ażby się z posagiem wylegitymowała. Główną dlań rzeczą było dobić się karyery... Hoc erat in votis. Tymczasem rok oto upływał już, jak się strojno, czujnie, zabiegliwie uwijał po stolicy, i nic nie mógł dokazać. Przygotowawcze jednak i przedwstępne kroki były bardzo umiejętnie porobione; cóż, gdy na jego lep nic się jakoś brać nie chciało. Maks nie tracił ani ochoty, ani nadziei, ale coraz mu się stawało smutniej i rozmyślał wielce, czyby nie należało zmienić stanowisko; w takim jednak razie przepadłoby to, co tu osnuł, i nanowo rozpoczynaćby musiał.

Miał już pewne stosunki, na znajomościach mu nie zbywało, byli ludzie, co się na nim znali i lubili go; lecz ile razy tylko przebąknął o zajęciu, o służbie, o karyerze, potrząsano głowami, zbywano go milczeniem.

Do wojska mu się nie chciało: bambus Fryderyka II, który wprawdzie i pleców ministeryalnych nie szczędził, nader często stykał się z oficerskiemi, a kawaler de Simonis łaskotliwym był nad miarę. Zdawało mu się zawsze, iż ma wszelkie kwalifikacye do dyplomatycznej karyery: wielką języka powściągliwość, znakomitą trafność oka, szerokość sumienia, jakiej tylko zapragnąć po nim mogli, wreszcie wyzucie się z wszelkich przesądów.

Zwierciadło mu mówiło, iż zewnętrzną postacią na dworaka i reprezentanta był jakby umyślnie stworzony. Znajomości też jego najwięcej się w kołach blizkich sfer dyplomatycznych obracały. Być może, iż karyera świetna kuzyna Ammona także go na tę myśl naprowadzała.

Do króla Fryderyka II przystęp wogóle łatwym nie był, a po uzyskaniu go, dłuższe utrzymanie się w łaskawych względach... Niekiedy zgrabny wierszyk francuski, ostro przysolony, nieco cyniczny, wyborną bywał rekomendacyą. Maks de Simonis próbował epigramatów, kilka z nich nawet poszło po rękach, przez pana Maupertuis i Algarottego, ale odbił się bez echa o ściany pałacyku w Sans-Souci.

Wielką nadzieję pokładał młodzieniec w hrabinie de Camas.

Była to jedna z tych niewielu niewiast, które Fryderyk II szacował, gdy o wszystkich wogóle zwykł się był odzywać, że to są: „gąski z pustemi główkami“*); o dwadzieścia kilka lat starsza od króla, już nie młoda wcale, hrabina de Camas, owdowiała od roku 1741, zajmowała na zamku w Berlinie mały apartamencik na czwartem piętrze, który Fryderyk nazywał „Raikiem“ i gdzie starą przyjaciółkę czasem odwiedzał.

*) Gänschen mit dem leeren Gehirn.

Życie na dworze, nawyknienie do nieustannej czynności, sam temperament żywy, którego lata poskromić nie mogły, siedemdziesięcioletniej pani nadawały pozór młodszy daleko. Zajmowała ona przy królowej jakieś wysokie stanowisko wielkiej ochmistrzyni jej dworu, ale obowiązki te spełniała tylko przy wielkich i rzadkich uroczystościach.

Żyła w tym swoim raiku na czwartem piętrze w gronie starych przyjaciół, odwiedzana przez mnóstwo osób, które się o jej łaski starały, wygodnie, spokojnie i wesoło.

Szacunek króla, niezachwiany dotąd, zyskiwał jej poszanowanie wszystkich.

Siedemdziesięcioletnia babina lubiła towarzystwo. Potrzebowała go, bo była bezdzietną, a wesołą młodzież przypuszczała do siebie chętnie, aby się widokiem jej odświeżyć. Kawaler de Simonis długo nieezmiernie starał się o znajomość wielkiej ochmistrzyni, naostatek skorzystał z jakiejś nadzwyczajnej zręczności, na którą długo czatował, i sam się staruszce narzucił; odprowadził ją, podając jej rękę na owo czwarte piętro, został na chwilkę wpuszczony, wyspowiadał się sumaryjnie przed nią z całego życia i dostał pozwolenie przychodzenia czasem wieczorami.

Tak zręcznemu, jak Maks, młodzieńcowi więcej nie było potrzeba, ażeby najśmielsze powziąć nadzieje.

Układnie, powoli starał się w łaski starej hrabiny wcisnąć, nie objawiając dalszych zamiarów. Pani de Camas zdawała się obserwować pilnie i trzymać go, jakby na próbie. Hrabina była osobą nadzwyczaj wykształconą, przenikliwą i rozumną. Nawykła do życia w wyższych sferach, do ocierania się o sprawy dyplomacyi, o wszystkie dworów intrygi, zobojętniała była na stro-

nę sentymentalną i etyczną tych robót, których nieuchronność uznawała. Pewna szlachetność charakteru niewieścia niektóre postępki czyniła dla niej mniej sympatycznymi, ale godziła się wogóle ze wszystkiem, co wymagania wyższej polityki nakazywały.

Fryderyk II, który jeszcze przed wstąpieniem na tron napisał i wydał „Antimachiavella", w istocie inny zupełnie charakter nadał swej polityce. Machiavelli zaleca obłudę i zręczność, Fryderyk II otwartym zawsze działał cynizmem i uczynków swych żadną maską i zewnętrznym blaskiem nie starał się pokrywać. Całe jego życie było szyderstwem z tego, co się w czemkolwiek przyzwoitością zowie. Nie dbał o nią ani w prywatnem, ani w publicznem życiu. Na chwilę zmuszony pozorem jakimś ukryć swe uczucia, wybuchał potem sarkazmem, kijem i łajaniem.

Maks de Simonis znał już dosyć ducha dworu i pana, aby wiedzieć, że z karmelkową swą, słodziuchną powierzchownością łatwo może u Fryderyka II, gdyby mu się nastręczył w złą godzinę, zasłużyć na zwykły epitet C a n a i l l e n b a g a g e...

Możeby był, uwzględniając trudności położenia, powędrował już dawno na inne dwory, do Drezna lub Monachium... gdyby nie objawiona mu życzliwość hrabiny de Camas... Ona mu, choć niewyraźnie, pewne, nieokreślone czyniła nadzieje; a gdy tylko sposobność się podawała, staruszka badała pilnie tego kandydata do wszelakiej służby.

Zdaje się, że egzamina te musiały wypaść bardzo szczęśliwie, gdyż ostatnim razem wzdychającemu młodzieniaszkowi stara ochmistrzyni wyraźnie powiedziała, że się zrażać i zrywać nie powinien.

Kawaler de Simonis od przyjazdu swojego do Ber-

lina, znalazłszy sobie przy szwajcarskiej rodzinie jakiejś, która tu cukiernictwem się trudniła, a była mu z Berna poleconą — izdebkę na drugiem piętrze Pod Lipami, zajmował ją aż do tej pory. Wprawdzie pomieszczenie nader skromne dla kawalera tak wielkich nadziei nie było bardzo stosownem, lecz nie wiedząc, jak długo potrwa nowicyat, musiał być ostrożnym wielce. U ziomka swego, Ceroniego, miał przytułek niewytworny, ale schludny, stół niewykwintny, lecz obfity i uprzejmą gościnność, za stosunkowo niewielkie pieniądze.

Trzymał się więc w swej izdebce, nie myśląc z niej się wynosić, pókiby jaśniejsze nie wzeszło słońce.

A słońca tego nie widać i nie widać było!!!

W skwarny dzień lipcowy ku wieczorowi, po przechadzce w lasku za miastem, kawaler de Simonis powracał właśnie w dosyć melancholicznem usposobieniu do swojego mieszkania, zabierając się rozpaczliwy list pisać do siostry, gdy wchodzącemu na drugie piętro zabiegła na schodach dwunastoletnia Carlotta, córka cukiernika, która nad wiek swój była dojrzałą i jawnie a oczywiście kochała się już, dla nabrania wprawy, w pięknym Maksie.

— A chodź-że pan! a prędzej! — zawołała z góry, tupiąc nóżkami i biorąc się w boki, a mrużąc oczki i sznurując buzię — mam coś dla pana.

Maks uśmiechnął się smutnie. Zaloty te dwunastoletniego dziewczęcia były wyraźną ironią losu... nie takich, jadąc tu, spodziewał się sukcesów.

— Cóż tam pilnego, czarnooka panno Carlotto?

— Bardzo pilnego! bardzo ważnego! — zaczęła szczebiotać, kręcąc się, mała — a tak! a tak! i, jeśli jak żółw się wlokąc spóźnisz się pan, a będzie po czasie... jam temu nie winna...

I ręce rozpostarła teatralnym ruchem. Maks stanął, podszedłszy kilka kroków. Dziewczę tupało i biło ręką o poręcz schodów.

— Hrabina de Camas przysyłała tu, abyś pan dziś był u niej! — pośpieszyła Carlotta, dłużej nie mogąc utrzymać tajemnicy, i spojrzała tryumfująco. W istocie mogła przybrać ten wyraz twarzy, gdyż Maks, jak piorunem rażony, skoczył ku niej, po drodze chwycił ją wpół, pocałował w czoło. Dziewczę oblało się rumieńcem, udając, że się wyrywa, ale de Simonis w tejże chwili popędził do swej izdebki i znikł jej z oczu.

Zdyszana Carlotta pobiegła na palcach pod drzwi jego pokoju, nastawiła ucha i domyśliła się, że żywo musiał się zacząć ubierać; gdyż słychać było rzucanie, stukanie, szczęk i brzęk sprzętów, które Maks z pośpiechem chwytał, otwierał i przestawiał.

W istocie nigdy może piękny chłopak tak się nie śpieszył ogniście. Godzina była blizka, na którą stawić się mu kazano, a choć od zamku niewielka go przestrzeń dzieliła — musiał się przecie wystroić.

Szczęściem świeżą peruczkę, jak z drewnianej lalki fryzyerskiej świeżo zdjętą, miał gotowiuteńką. Trzeba się tylko było umyć i przebrać. Jak na złość wszystko mu z rąk wylatywało, a na frak nie mógł się zdecydować, bo miał dwa bratersko piękne i w obu mu było bardzo do twarzy. Namyślać się nie miał czasu, los musiał stanowić... Jedna para pończoch jedwabnych w pośpiechu tym padła ofiarą.

W kwadrans jednak kawaler de Simonis był gotów, kładł już przed zwierciadłem perukę, miał kapelusz w ręku i, przejrzawszy się, uśmiechnął, kłaniając sobie z zadowoleniem.

Gdy wybiegł z pokoju, zastał znowu Carlottę w korytarzu się zwijającą (bo go przez dziurkę od klucza podpatrywała), ale ją tylko zdaleka pozdrowił, aby peruki i stroju nie kompromitować. Po schodach zbiegł, jak baletnik, nucąc piosenkę i, znalazłszy się w ulicy, puścił strzałą ku zamkowi. Coś mu mówiło, że to była chwila w życiu stanowcza!...

Serce mu biło mocno...

Nigdy jeszcze podobnego poselstwa nie odebrał od hrabiny, był więc jej na coś potrzebny... Zamyślony, rozmarzony, kilku przechodniów potrąciwszy, a raz o mało nie utraciwszy kapelusza od uderzenia w ramię, stanął przed zamkiem i tu zwolnił kroku. Był u celu. Zamek wyglądał jak zazwyczaj w czasie lata; przez ten czas Fryderyk II siedział w Sans-Souci, a królowa w Schönhausen. Aż do czwartego piętra na schodach nie spotkał żywej duszy, oprócz kilku sług znudzonych, zostawionych tu do dozoru.

W przedpokoju hrabiny nie było też nikogo, prócz starego jej kamerdynera, a z sąsiedniego saloniku nie słychać było głosów, któreby gości oznajmowały.

Kawaler de Simonis wszedł nieoznajmiony ostrożnie do salonu i tu także nie znalazł nikogo. Dopiero skrzypiące nieco trzewiki jego wywołały szelest jedwabnej sukni, a potem wnijście starej hrabiny, która ze zwykłą starannością wystrojona była, chociaż od śmierci męża nosiła się zawsze czarno. Głową skinęła mu przyjaźnie staruszka.

— Dobrze, żeś przyszedł, kawalerze de Simonis — odezwała się po francusku, bo za Fryderyka II dwór, wojsko, co żyło bliżej zamku, mówiło tym tylko językiem. — Ale — dodała, palec kładąc na ustach — nie wydawaj się z tem później w rozmowie, że ja cię tu ściągnęłam sama... Rozumiesz?...

Pojętny nader młodzieniec skłonił się z poszanowaniem, rękę na znak przykładając do piersi.

Staruszka usiadła na kanapie i spojrzała ku zegarowi na kominie. Było blizko ósmej.

Maks usiadł opodal nieco. Prawie w tej samej chwili dał się głos słyszeć nieco stłumiony, drzwi się otworzyły i wszedł znany kawalerowi de Simonis z widzenia Fredersdorf.

Maks zerwał się z siedzenia i, ujrzawszy go, pohamować nie mógł radości swojej, tak, iż twarz cała rumieńcem została oblana. Szczęściem mrok wieczorny pokoju nie dozwolił widzieć tej zmiany, któraby zbytnią wrażliwość zdradziła, nie będącą przymiotem w człowieku, co się na dworze stara pomieścić.

Fredersdorf (ten sam, którego Voltaire zowie Fryderyka factotum) był niezmiernie znaczącą figurą, chociaż na pozór był człowiekiem bardzo skromnym, a miejsce, jakie zajmował na dworze, nie stawiało go wysoko. Ludzie, którzy wiedzieli wszystko, szeptali, że pochodził kędyś z Frankonii i był synem kupczyka ubogiego, któremu się nigdy nie śniło ani o stanie wojskowym, ani o życiu na dworze. Lecz są przeznaczenia — Fredersdorf w czternastym roku życia wyrósł tak okrutnie, że ojciec mu sukna na odzienie nastarczyć nie mógł; rósł potem nieco wolniej do lat osiemnastu, a nawet do dwudziestu. a gdy się to wyciąganie skończyło, doszedł do grenadyerów pierwszego szeregu. W owych czasach było to prawdziwe nieszczęście dla młodzieńca, nie mówiąc już o ekspensie na sukno; król Fryderyk pruski miał monomanię wielkoludów i marzył nawet o stworzeniu rasy militarnej nadzwyczajnego wzrostu. Werbownicy jego jeździli po całej Europie, namawiając i kupując do służby ogromnych ludzi, po całych Niemczech i poza granicami Niemiec, odznaczających się pięknymi kształty i olbrzymim wzrostem; gdy się nie dawali werbować, zakneblowanych uwożono, jak panny, i zmuszano, postrzygłszy, zaszywszy w mundur, do służby w szeregach. Wyszukiwano im potem małżonek równie dorodnych i z tak dobranych małżeństw, niestety, wskutek atawizmu, o którego prawach król pruski nie wiedział, rodzili się ludzie mali. Ta namiętność dla wielkoludów wiele kosztowała króla jegomości pruskiego. Król August II za kilkudziesięciu Sasów wyrosłych potężnie dostał naówczas te piękne japońskie porcelanowe naczynia, nad które większych niema w Europie; kąpać się w nich można.

Grenadyerowie sascy spoczywają oddawna przy przodkach swych, a japońska porcelana stoi dotąd w muzeum w Dreznie.

Fredersdof zaczynał praktykę kupiecką w małem miasteczku w Frankonii i chodził w skórzanym fartuchu, gdy pewnego poranku zjawili się werbownicy pruscy. Wpadł w oko kapitanowi. Był to sławny ze swych sztuk Schmels, który żadnego dorodnego parobka, ujrzawszy, z rąk nie puścił; zaklął się, że go mieć będzie. Fredersdorfowi, który był natury spokojnej i milczącej, a wcale nie wojowniczej, ani się o karyerze militarnej śniło. Zaproszono go na wieczór pod Złote jabłko, spojono nieboraka i, gdy się ocknął zdala od miejsc rodzinnych, był już odziany w jakiś łachman mundura, a trzech towarzyszów kapitana Schmelsa gotowi byli zeznać pod przysięgą, że zdrów i przytomny na umyśle, do służby się zobowiązał.

Ani młodzieniec, ani rodzice jego, ani żadna siła w świecie nie była w stanie wyrwać go z rąk werbowników. Musiał się poddać przeznaczeniu! ale, gdy go do Berlina przywieziono, a zaczęto uczyć mustry za pomo-

Biblioteka Białymstoku

cą kija, gdyż naówczas metoda ta pedagogiczna była w powszechnem używaniu, okazało się, że nawet wszechmogący kij ducha w nim i zręczności potrzebnej grenadyerowi pierwszego szeregu wyrobić nie mógł. Kapitan Schmels, który tylko na rozmiary zważał, odebrał gorzką reprymandę. Raz jednak nabytego Fredersdorfa nie wypuszczono i, starając się go zużytkować, kazano mu uczyć się grać na oboju i na flecie, gdyż do muzyki wielką okazywał skłonność.

Pułk schweryński, do którego muzyki wcielono go, stał załogą w twierdzy kistrzyńskiej, gdy syn królewski Fryderyk, schwytany w chwili zamierzonej ucieczki, osadzony w niej został w więzieniu. Po pierwszych okropnych owych scenach, które pobyt jego zakrwawiły, młody następca tronu począł się rozrywać ulubioną grą na flecie i książkami. To doń zbliżyło Fredersdorfa: książę go mocno polubił.

W istocie był to człowiek, którego pokochać było można: natura flegmatyczna, spokojna, powolna, rozważna, niełatwo podlegająca wrażeniom, ale uczuciu raz powziętemu wierna niewzruszenie. Jako muzyk flecista odznaczał się wielkim gry wyrazem, jako człowiek miał serce wielkie, do rozmiarów piersi zastosowane. Odosobniony i surowo trzymany Fryderyk w Kistrzynie wyprosił był sobie naówczas u komendanta do posługi tego łagodnego, dobrego Fredersdorfa. Z nim razem grywali na flecie, wierny sługa potem, ważąc nietylko swobodę ale życie, pisał od królewicza listy do siostry margrabiny Bayreuth, usiłując wyjednać współczucie i pomoc obcych dworów.

W tych dniach niewoli i utrapienia biedny milczący kupczyk był prawą ręką Fryderyka, a pomocy w takiem nieszczęściu, w takiej chwili, gdy pomoc dana świeżo

jednemu głowę kosztowała, nie zapomina się nigdy. Gdy te ciężkie przeszły czasy, oswobodzony i zwolna do łask ojca przypuszczony królewicz, wykupiwszy się sam ożenieniem, pierwszym groszem, jaki miał, wykupił z niewoli wojskowej Fredersdorfa.

Flecista, który miał czas w Kistrzynie do pana się przywiązać, rozpoczął przy nim służbę od skromnej funkcyi — lokaja... ale lokaj był zarazem przyjacielem, i Fryderyk, który tak kijem szafować lubił, nie śmiał się nigdy porwać nawet na niego. W istocie, w chwili największego nawet rozjątrzenia, trudnem to było, spojrzawszy na wiecznie wypogodzone, spokojne, zrezygnowane oblicze, które nigdy ani niecierpliwością, ani bólem nie drgnęło. Fredersdorf rozbrajał tym chłodem i rezygnacyą nawet Fryderyka II, który chwilami we wściekłość wpadał. Przez długi czas był to niemal jedyny człowiek, który, pomimo podrzędnego stanowiska, miał najzupełniejsze zaufanie pana. W jego ręku były papiery, pieniądze, klucze; wszystko u Fredersdorfa: nigdy niczego nie nadużył. Miał i to do siebie, że o nic nigdy nie prosił, a ze wszystkiego był zadowolony i ten jeszcze przymiot najwyższy, nieoceniony, że całe życie milczał i rozkazy spełniał, ani ich przechodząc, ani z nich nic nie obcinając.

Z lokaja przeszedł wkrótce na kamerdynera i na pierwszego ze sług księcia. Gdy Fryderyk II na tron wstąpił, uczynił go tajnym podkomorzym i wielkim podskarbim swoim. Nie przeszkadzało to królowi zamęczać tak nieszczęśliwego, wiążąc go do swej osoby i posługi, że w końcu ulubieniec o mało nie padł ofiarą. Jakimś trafem poznał był Fredersdorf w Poczdamie bogatą i piękną córkę bankiera Dauna i umiał się jej podobać. Gwałtowna miłość zawiązała się potajemnie między dwojgiem

przeznaczonych dla siebie. Fryderyk dowiedział się o tem. O miłości dla kobiety mówić mu, było to ślepemu prawić o kolorach. Król miał sentyment za komedyę, bo nigdy go w życiu nie czuł. Dla niego wszystkie młode kobiety, nawet, jak się sam wyrażał, czosnkiem cuchnące dziewki śląskie, jeden urok miały; nielitościwie szydził z serdecznych zapałów! Prozaiczniejszej natury, cyniczniejszego usposobienia trudno wyobrazić sobie. Miłość Fredersdorfa oburzyła go, rozgniewała. Pierwszy raz w życiu napadł z góry na ulubieńca, złajał go i wyszydził okrutnie. Obawiał się, aby przywiązanie do żony nie odebrało mu serca potrzebnego sługi.

Wystrofowawszy najgminniejszymi wyrazy, wyśmiawszy bez litości, król sądził, że go wyleczy, ale postrzegł wkrótce, że to nie pomogło. Rozgniewany, aby stosunki rozerwać, wyprawił faworyta w podróż do Francyi i dopiero, gdy tam ze smutku, żalu, tęsknoty zachorował niebezpiecznie Fredersdorf, zniecierpliwiony król pozwolił mu się żenić, choćby z dyabłem.

Podskarbi wyzdrowiał jakby cudem, ożenił się i do wiernych usług powrócił, bo się bez niego obejść było niepodobna, król nadał mu dobra znaczne i wszystko zapomniane zostało.

Fredersdorf był jeszcze podówczas bardzo pięknym mężczyzną, a wysoki ów wzrost nie odejmował mu zręczności w ruchach i wdzięku. Trudno w nim było teraz poznać dawnego kupczyka i pułkowego muzykanta. Bardzo wytworna tualeta, którą mu Fryderyk, śmiejąc się z niej, przebaczał, sam będąc z zasady i natury nad wszelkie pojęcie brudnym, odmładzała go bardziej jeszcze. Z uśmiechem na ustach, skromnie, cicho wsunął się do salonu i poszedł ku ochmistrzyni, ale oko zmie-

rzyło szybko, niepostrzeżenie kawalera de Simonis, który poczuł, że po nim przeszło od stóp do głowy to wejrzenie.

Ochmistrzyni przedstawiła mu młodzieńca, zowiąc go żartobliwie swoim protegowanym.

— Ale, mój podskarbi — dodała zaraz — mnie się wcale w moich protekcyach nie szczęści. Kawaler de Simonis siedzi tu oddawna i nie może sobie znaleźć żadnego zajęcia.

Fredersdorf ramionami tylko poruszył zlekka, zamruczał coś. Rozmowa się urwała, a potem przeszła na przedmioty obojętne. Ostatnia huczna zabawa u księcia Henryka dostarczyła wątku.

Szczęściem dla niego, Simonis mógł się jej, choć nieco zdala, przypatrywać, wcisnął więc zręczne słówko i popisał się z dowcipem, a jeszcze więcej z talentem spostrzegawczym; podskarbi, nie przerywając mu, słuchał go z natężoną uwagą, i on i ochmistrzyni zdawali się chcieć dać pole do tego popisu kawalerowi i wrzucali tylko po słówku, wyciągając go na coraz nowe szczegóły.

Maks był szczęściem w werwie i, opowiadaniem samem ożywiwszy się, wystąpił świetnie. Gdy skończył, ochmistrzyni i Fredersdorf, jakby porozumiewając się z sobą, oczyma się zmierzyli.

Podskarbi, jak i innych dni, był i teraz bardzo milczący, słuchał więcej, niż się odzywał, wszakże, gdy hrabina de Camas znowu coś wtrąciła o tem, iż dla swojego protegowanego, pomimo jego talentów, nic znaleźć nie może, odezwał się cicho i łagodnie:

— Jego królewska mość niechętnie nowych bierze ludzi; miejsca na dworze są zajęte! a w wojsku wątpię, by kawaler de Simonis talenta swe chciał zagrzebać. Wojsko więcej potrzebuje rąk niż głów dobrych, a ja sądzę, że pan de Simonis głowę ma silniejszą, niż dłonie.

Rozśmiano się, nie przecząc; podskarbi rzucił jeszcze pytań kilka, zdawał się badać różnie Maksa; a po godzinnem prawie egzaminie, cicho rzekł do niego:

— Życzę panu szczerze jak najświetniejszej przyszłości... i sądzę, wróżę, iż możesz ją pan mieć przed sobą... ale, jako od starszego, chciej ode mnie przyjąć jedną radę.

Tu się zawahał podskarbi i dalej ciągnął powoli, głos jeszcze zniżając:

— Ktokolwiek ma to szczęście, że się do dworów i wysoko stojących osób zbliża, powinien mieć za prawidło, że milczenie i dyskrecya więcej mogą, niż dowcip i rozumy... Wielu rzeczy ani się trzeba nawet domyślać dla siebie, a żadnej obcym mówić nie godzi.

To powiedziawszy, wstał szybko z krzesełka, spojrzał na zegarek i, choć w tej chwili lokaj wnosił światło i przekąskę wieczorną, owoce, wino i ciasta, wymówił się od podwieczorku i wyszedł z salonu. Ochmistrzyni, szepcąc coś z nim po cichu, odprowadziła go aż do przedpokoju, gdzie z półkwadransa zostali jeszcze.

Kawaler de Simonis sam na sam przez ten czas mógł się gryźć tą myślą, że i tym razem mu się nie udało. Rozmyślał tak nad swem położeniem, patrząc na butelkę z winem, gdy hrabina powróciła dosyć żywym krokiem, spojrzała nań, nalała mu kieliszek, kazała się przysunąć do stolika i, westchnąwszy, poczęła rozmowę.

Z początku wyrazy jej nie bardzo zwracały uwagę zmieszanego młodzieńca, ale wprędce zaczął się im przysłuchiwać z coraz większą bacznością.

— Poznałeś już pan dosyć dwór nasz — mówiła zcicha, mierząc go oczyma, byś wiedział, że do niego przystęp nie łatwy. Ale dlaczegożby nie spróbować szczęścia gdzieindziej?

Tu się zawahała; kawaler de Simonis uczuł się jakby mieczem przeszyty. Radzono mu więc iść precz! Takie consilium abeundi zyskać zamiast tego, czego się spodziewał! I być wezwanym umyślnie na to tylko, aby tę przyjacielską radę słyszeć!

Ochmistrzyni postrzegła snadź wrażenie i prędko usiłowała je zatrzeć...

— Hm! — rzekła — gdybyś pan miał nad swój wiek dyskrecyę, dlaczegożbyś przy innym dworze nie miał być nam, królowi nawet, użyteczniejszym, niż tutaj?

Maks zarumienił się, jak wiśnia, i o mało nie porwał się z krzesła; kapelusz spadł mu z kolan, tak pilno mu było oświadczyć, iż gotów był do dyskrecyi, jak grób, i do usług, jakich tylkoby po nim wymagano; ale ochmistrzyni mówić nie dała i pośpiesznie ciągnęła dalej:

— Słuchaj wąćpan — rzekła — chciałabym szczerze coś uczynić dla niego, interesuje mnie położenie jego... Coś dla was, na własną rękę wymyślić mogę... tak, na własną rękę... od nikogo nieproszona, przez przyjaźń, jaką mam dla waćpana. Uważaj waćpan tylko, kawalerze de Simonis...

Tu przysunęła się bliżej nieco, białą, chudą, pomarszczoną rączką chwyciła gruszkę z talerza i, bawiąc się z nią, mówiła, coraz głos zniżając:

— W tej chwili mi to na myśl przychodzi, dlaczegożbyś nie jechał do Drezna? Tam, wiemy to z pewnością, ten niegodziwy Brühl i jego zausznicy knują przeciw nam zdradę. Król strzela do psów i pali fajkę, jemu pod nosem zrobią, co chcą. Królowa Józefina nas nienawidzi. Waćpan jesteś swobodny, mógłbyś tam pojechać, porobić znajomości, podobać się Brühlowej, która młodych ludzi lubi, choć sama dawno młodą być przestała. Mógłbyś się dowiedzieć wiele, mógłbyś mi o tem dono-

sić; jabym królowi czasem list jego przeczytała. Któż wie? tą drogą do wielkich się rzeczy dochodzi!

Wysypawszy prędko wymówione te wyrazy, hrabina de Camas czarne swe oczy przenikliwie skierowała na młodzieńca, chcąc odgadnąć, jakie to na nim uczyni wrażenie. Kawalerowi de Simonis gorzały policzki, usta drżały, oczy się iskrzyły, a gdy nareszcie wolno mu było przyjść do słowa, odezwał się z zapałem, składając ręce, jak do modlitwy.

— A! pani! proszę, rozkazuj, kieruj, wymagaj, co się podoba; spełnię bez zastanowienia wszystko!

Zręczne chłopię po tym wykrzykniku żywo poczęło, z sentymentalnym wyrazem:

— Jestem sierotą, sam jeden na świecie, nie mam opiekuna, doradcy, nikogo! oddaję się cały pani hrabinie. Muszę pracować dla mojej przyszłości, bo ją nikomu innemu, tylko sobie winien być mogę. Podaj pani rękę miłosierną sierocie...

Pochylił głowę. Ochmistrzyni się uśmiechnęła, a w uśmiechu tym było coś dziwnego, jakby politowanie jakieś i sąd surowy. Westchnęła, a po krótkim przestanku mówiła dalej:

— Więc cóż, kawalerze de Simonis? Przyjmujesz radę moją? Pojedziesz do Drezna?

— Na koniec świata! — odparł z zapałem Maks; lecz zaledwie wymówił te wyrazy, jakaś myśl wewnętrzna musiała go przestraszyć, pobladł nagle i zamilkł znacząco.

Błyskawicą przez głowę przebiegło mu jego położenie finansowe, szczupły zapas, jaki mu pozostał, a razem wielkie zbytki na saskim dworze, na którym bez pewnego kosztownego występu pokazać się, ani najmniejszej roli odegrać nie było można.

Hrabina de Camas zdawała się zgadywać myśl jego i podchwyciła, nie spuszczając go z oka:

— Ponieważ oddałeś mi się w opiekę, bądź-że ze mną szczerym, kawalerze de Simonis. Żyjesz już dosyć długo w Berlinie, wprawdzie, jak słyszałam, skromnie, ale młodość ma swe prawa i potrzeby. Z domu zapewne wielkich nie miałeś zasobów. Dopóki ci się nie polepszy... jeżeli potrzeba, będę ci mogła czemś przyjść w pomoc.

Maks pośpieszył ucałować jej rękę, nie chcąc w pierwszej chwili dalej tak drażliwą posuwać kwestyę.

— Co się tyczy dworu saskiego — dodała — jeżeli się zgodzisz na podróż, mój kawalerze, przygotuję cię wiadomościami potrzebnemi, będziesz miał instrukcyę ode mnie. Nie masz tam znajomych?

— Niestety! nikogo!

— Tem lepiej — mówiła hrabina — tem lepiej; do jednego z dwu, albo do starego Beguelina, który jest ziomkiem waćpana, albo do rezydenta Ammona listy mieć możesz ode mnie.

Spojrzała nań: usłyszawszy Ammona imię, Simonis drgnął, zarumienił się mocno i pomieszał.

— A! tylko nie do Ammona! — zawołał żywo. — Nie mogę mieć przed moją opiekunką tajemnic: tu udałem się najprzód do niego, nielitościwie odmówił mi swej opieki. Nie jestem dumnym do zbytku, lecz raz odprawiony, znać go więcej nie mogę.

— A! — uśmiechnęła się pani de Camas — niekoniecznie się z nim stykać potrzebujesz. — Ruszyła ramionami. — Beguelin Szwajcar, ten was po moim liście przyjmie otwartemi rękoma. Nikogo nie zadziwi, że jako Szwajcarowie obaj żyć z sobą będziecie. Beguelin ciężki [illegible]st, stary, ale zna doskonale kraj i wielką wam być [illegible]może pomocą...

Rozmowa o Saksonii trwała jeszcze chwilę. Hrabinę żywo zdawał się obchodzić los pupila przybranego, nie szczędziła mu rad i wskazówek; naostatek, gdy dosyć późno robić się zaczynało, niespodzianie, jakby jej teraz dopiero myśl ta przyszła, zawołała, ręką uderzając po stoliku:

— Poznałeś tu waćpan przypadkiem Fredersdorfa; grzeczność wymaga, abyś go w Sans-Souci odwiedził. Człowiek ten, choć nie głośny, wiele może i przyda się w życiu jego znajomość, wierzcie mi!

— Lecz jakże się ja tam do niego docisnę? — szepnął Simonis.

— O! najłatwiej, o to się nie masz co troszczyć— dodała pani de Camas. — W pewnych godzinach ogród jest otwarty, przejdziesz się po nim, zobaczysz posągi ładne, a trzebaby nieszczęścia, żebyś lub Fredersdorfa nie spotkał, albo się o jego mieszkaniu nie dowiedział. Jeśli nie będzie przy królu, przyjmie was pewnie. Jutro więc, kawalerze, do Sans-Souci, bo tego odkładać nie wypada, a potem czekam was z raportem i instrukcyami do Drezna!

Hrabina wstała, porwał się z krzesełka młodzieniec, ucałował jej rękę, zgiąwszy się wpół, i odszedł na palcach, rozmarzony.

Nie wierzył szczęściu swojemu! Te odwiedziny, tak złowrogo się zrazu obiecujące, skończyły się przecież niespodzianką pełną obietnic... Wyszedł w ulicę.

Parno było, noc zrobiła się czarna, chmury przebiegały po niebie. Kiedy niekiedy błysk blady rozświecał pustą ulicę, i duże ciężkie deszczu krople spadały na ziemię. Przerażony Simonis spostrzegł dopiero, co groziło jego pięknej peruce i najlepszemu frakowi, i pędem

puścił się ku domowi. Tylko co na próg jego się dostał, gdy ulewa lunęła, jak z wiadra.

II.

Kawaler de Simonis nie wiedział zapewne o często przez Fryderyka II powtarzanym aksyomacie: Fallacem fallere non est fallacia; byłby się bowiem domyślił może, iż go nie dla własnej zabawy wyprawiała wielka ochmistrzyni do Drezna...

Nie tłómacząc się nawet żadną fallacyą cudzą, wszelkich środków bez wyboru zażywała polityka Fryderykowska, gdy do upragnionego zmierzała celu. Kawaler de Simonis był zresztą zupełnie neutralnym, a w tej chwili gotów zawrzeć przymierze z każdym, coby mu przyszłość pokazał, i iść, choćby na rodzonych braci. Tych szczęściem nie miał. Wczorajszy wieczór tak w nim krew poburzył, iż mimo kilku szklanek wody, które wypił, aby ostudzić rozigraną wyobraźnię, całą noc prawie nie zmrużył oka. Dzień w Sans-Souci poczynał się nader wcześnie; Fryderyk w lecie wstawał koło czwartej, za nim służba i dwór iść musiał. Należało więc dla pokłonienia się Fredersdorfowi dostać się rano, bardzo rano do Sans-Souci.

Szczęściem dla naszego kawalera, po burzy w nocy, która była bardzo gwałtowna ale krótka, nade dniem się wyjaśniło, uspokoiło, powietrze ochłodło i dzień obiecywał się prześliczny.

Choć niewyspany, Maks wstał raźno i zabrał się do ablucyi i ubrania. W domu jeszcze było cicho. Spali wszyscy i nienawykli do tego, by kawaler o brzasku się zrywał, musieli, słysząc go, dziwić się bardzo; ale za

jego przykładem i oni też powoli zaczęli ściągać się z łóżek. W mieście jeszcze było cicho i spokojnie, rzadki wóz z wiejskimi zapasami zaskrzypiał, przeciągając powoli.

Maks otworzył okno i czynnie się zabrał do ubierania. Prawdziwem Opatrzności zrządzeniem ocalał mu frak wczoraj. Dziesięć minut później wyszedłszy z zamku, byłby go od ulewy nie uratował, a peruka i kapelusz również piekielnym bogom poszłyby na ofiarę.

Wyraźnie tedy wieść mu się zaczynało, nastąpiło przesilenie fortuny i bogini, która dotąd plecami doń była obrócona, rozpromienioną twarz pochylała ku niemu.

Słońce wschodziło, gdy gotów był do podróży, którą musiał odbywać pieszo; piękny chłopak, przejrzawszy się w zwierciedle, rad z siebie, zakręcił się szykownie do wyjścia.

Jakimś cudem mała Carlotta z rozpuszczonymi na ramiona włosami kruczymi, jeszcze od snu zarumieniona, świeża i ładna, jak wisienka, zaszła mu drogę. Od wczorajszego uścisku, jakby pewnych praw nabyła do Maksa, śmielsza była i, w oczy mu spojrzawszy, zapytała:

— Ho! ho! a toż dokąd tak rano i tak wystrojony? Cóż to jest?

Kawaler się uśmiechnął dobrotliwie, ale po mentorsku z góry ją traktując.

— Mam moje interesa, Carlotto. Proszę powiedzieć szanownej mamie, że na obiedzie nie będę pewnie. Tak! mam interesa!

Carlotta główką pokręciła.

— Jaka mi ważna, wielka z waćpana figura — odrzekła — od czasu, jak hrabina de Camas zaprosiła go do siebie!

I chcącemu iść zastąpiła drogę niecierpliwie:

— He, dokądże? dokąd? dokąd?

Maks przypomniał sobie wczorajszą przestrogę podskarbiego w samą porę i pomiarkował, że przed dzieckiem się zdradzić nie powinien.

— Jestem zaproszony na ranną przechadzkę—rzekł. — Adieu...

Carlotta była pewną, że choćby dla usunięcia jej z drogi, porwie ją, jak wczoraj, i ucałuje, ale kawaler de Simonis nadto był zaprzątnięty dzisiaj, ukłonił się tylko z uśmiechem i prześliznął na schody.

Dziewczę zostało na górze smutne. W chwilę potem był już w ulicy i, wybierając ścieżki suche, bo gdzieniegdzie po wczorajszym deszczu stały jeszcze kałuże, pośpieszył w dalszą drogę.

Dojść do Sans-Souci przy dobrych młodych nogach daleko było łatwiej, niżeli tam sobie dać radę. Wcześnie więc myślał, jak się wcisnąć do ogrodu, jak zbliżyć do pałacu i jak długo mu przyjdzie odprawiać rekolekcye pod cieniem drzew, po pustych alejach, nim szczęśliwy traf da mu spotkać Fredersdorfa, albo się do niego docisnąć.

W ciągu tego roku kawaler de Simonis napróżno prawie starał się u dworu robić znajomości. Nie udawało mu się to wcale. Fryderyk II, jak nie cierpiał, ażeby jego urzędnicy i wojskowi wchodzili w stosunki z dyplomatami zagranicznymi, tak zakazywał tym, co go otaczali, wiązać się wogóle z cudzoziemcami. Każdy z nich był mu podejrzanym, wszystkich o szpiegostwo posądzał. Dwór króla stronił od przybyszów. Co ranka przywożono z Berlina listę kompletną przybyłych obcych do miasta, z wymienieniem powodów przyjazdu i wzmianką o tych, którzy się na dworze przedstawić chcieli. Przyjmowano jednych, odprawiano drugich, odmawiając, a niekiedy niebardzo się cieszył przypuszczony do oblicza pańskiego,

bo w złym będąc humorze, Fryderyk bywał niegrzeczny, niekiedy grubiański.

Śmiała tylko odpowiedź dowcipna mogła czasem przejednać. Gdy po raz pierwszy przedstawił mu się sławny markiz Lucchesini, którego przedstawiał książę Fontana, król, popatrzywszy nań ostro, rzucił pytanie: „Wiele też was jest takich markizów włoskich, co, włócząc się po świecie, u dworów za szpiegi służycie?“ — markiz, niezmieszany, odparł żywo: „Najjaśniejszy Panie, jest nas tylu, ilu panujących tak głupich, by nam podobne nędzne polecenia dawali“.

Dowcip rozbrajał Fryderyka, bo go się obawiał.

Kawaler de Simonis po drodze starał się właśnie przypomnieć sobie wszystkie pobieżne znajomostki, które mu się na coś przydać mogły, i przyszedł mu na myśl paź królewski, Ślązak, Krystyan Ernest Malszycki, dobre chłopię, z którym się zapoznał przed kilku tygodniami w Berlinie, gdy za sobą usłyszał turkot wozu i, obejrzawszy się, zobaczył niespodzianie wcale na wozie twarz dobrze znajomą.

Był to furyer królewski, przyjaciel cukiernika, częsty u niego gość, Szwajcar także, który z jakiemś pieczywem i kuchennymi jechał zapasami. Zwał się Jurli. Czerwony, piękny, indyczy nos wskazywał jego dobry humor i przyjaźń ze szklankami. Jurli był już w wyśmienitem usposobieniu, palił fajkę, ująwszy się w boki, coś niby chwilami podśpiewywał, a na skrzyni siedząc bokiem, nogami sobie takt wybijał.

— Ech! Herr Baron! — zawołał, rękę do czapki podnosząc — a dokądże? a dokąd?

Zawstydził się kawaler pieszej podróży; chciał złożyć to na przechadzkę ranną dla świeżego powietrza,

lecz strój go zdradzał. Wolał więc przyznać się, że idzie do przyjaciela do Sans-Souci.

Usłyszawszy to, Jurli na ramieniu woźnicy położył rękę i kazał mu stanąć.

— Pieszo do Sans-Souci! ho! ho! i w tym stroju — zawołał, kręcąc głową. — Gdybyś się nie wstydził, a na drodze o tej godzinie żywej duszy nie spotkamy, ofiarowałbym baronowi miejsce przy sobie. Zawszeby się coś nóg oszczędziło? hę?

Ofiara była wielce pokuśliwa, ufny więc w to, że istotnie na drodze nie napotkają nikogo, gdy Jurli oprócz tego przyrzekł, iż dobrze przed bramą go zsadzi, Simonis zajął skromne miejsce na skrzyni, a konie ruszyły dalej. Widocznie mu się szczęściło, bo oprócz tego Jurli objaśnił go, którą bramą wejść może do ogrodu, gdzie się ma przechadzać i w której stronie znajdzie podskarbiego.

— Zawsze — dodał do ucha — życzyłbym uniknąć nieprzyjemnego z najjaśniejszym panem spotkania. Bywa w złym humorze, a kij zawsze nosi w ręku. Ale o tej godzinie — dodał, pocieszając — nie spodziewać się go w ogrodzie; psy tylko jego widzieć będziecie mieli szczęście.

Jurli był w gadatliwem usposobieniu.

— E! naprawdę — mruknął — gdybym nie był Jurlim, chciałbym być jednym z tych królewskich chartów! To szczęśliwe bestye! mają swój dwór, biorą strawnego po dwa talary na dzień, na atłasach się wylegiwają; Alkmena najczęściej na kolanach pańskich i kijem ich nigdy nie potrąci. Z rana wyprowadzają je paziowie na spacer do ogrodu, może je tam zobaczycie, pokłońcież się zdaleka. Nie zawadzi polecić się ich protekcyi. Bez żartu! Na kogo Alkmena zawarczy, temu król nigdy wie-

rzyć nie będzie; do kogo się połasi, to dla niego patent najlepszy.

Gawędząc tak, dojechali do Sans-Souci, i kawaler de Simonis, zsiadłszy z wozu, podziękował grzecznie poczciwemu Jurli, który go długo jeszcze przeprowadzał oczyma.

W chwilę potem Maks, dopadłszy otwartej bramy, w boczną wsunął się aleję i, zdala spoglądając na pałacyk w Sans-Souci, z bijącem sercem oczekiwał.

Nie spodziewał się wcale, aby rychło los jego odwiedzin się rozstrzygnął, usiadł więc na ławce kamiennej, a że i w nocy nie spał i śniadania nie jadł, poziewanie i senność go napadła. Byłby może uległ jej i zdrzemnął się, gdy, jakby cudem, postrzegł paziowski mundur i z wielką radością poznał idącego Malszyckiego.

Paź zarówno musiał być zdziwiony, jak on tem spotkaniem, stanął przed nim i spytał żywo:

— A pan tu co robisz?

Nieprzygotowany do odpowiedzi, kawaler de Simonis nie wiedział dobrze, jak ma postąpić; na ten raz wszakże kłamać mu nie wypadało, bo Malszycki mógł mu być pomocnym.

— Panie Erneście — rzekł — wybieram się w tych czasach Berlin i Prusy opuścić, niewielu tu miałem znajomych, ale i tych chciałbym pożegnać; a więc pana podskarbiego Fredersdorfa, któregom raz spotkał i którego pamięci chcę się polecić, i was, panie Erneście.

Uśmiechnął się z wdziękiem, dotykając kapelusza.

— Zobowiązalibyście mnie wielce — dodał — gdybyście mnie nauczyć chcieli, gdzie znajdę podskarbiego?

— O tej porze? — spytał Malszycki — zdaje mi się, że przy najjaśniejszym panu być musi, ale później... rzecz prosta, w jego mieszkaniu w pałacu.

— A wy na służbie dziś jesteście? — spytał Simonis.

— Do południa jestem wolny — odparł Malszycki.

— Przyznam się wam — pochwycił żywo kawaler — że z Berlina wyjechałem bez śniadania. Gdyby było gdzie je znaleźć, poprosiłbym was z sobą.

Malszycki, chwilę pomyślawszy, rękę mu podał, ale się wprzódy obejrzał dokoła, i poza drzewami wyprowadził go nazad z ogrodu. Nieopodal od pałacu była gospoda i cukiernia.

— Dadzą nam tu doskonałej czekolady — odezwał się Malszycki — ale będziemy musieli milczeć, jeśli kogo zastaniemy, bo ja tam ust nie otworzę... Znajdziemy stoliczek pod drzewami.

W istocie znalazło się miejsce ustronne i Simonis o czekoladę poprosił. Gospodarz, jak wszyscy niemal ówczas cukiernicy w Europie, był Szwajcar i trochę kawalerowi znajomy z Berlina. Odnowiła się więc ta znajomość i dwaj znajomi zasiedli u stoliczka.

— Król zapewne nie wstał jeszcze? — szepnął Simonis.

Ernest spojrzał nań oczyma wielkiemi.

— Znać, żeście tu chyba pierwszy raz i że nie wiecie nic — odpowiedział. — Najjaśniejszy pan o pół do czwartej już był na nogach i nawet mu mokrej chustki na twarz nie trzeba było przykładać, jak zwykle, bo od kilku dni jest niespokojny czegoś, i sam się w porze obudził. Widziałem go już w niebieskiej jubce i lokaj poniósł mu dawno na tacy listy, które nadeszły z Berlina. Harcap mu zapletli, kawę swoją wypił i, jeśli się nie mylę, musi teraz na flecie grać.

Umilkł Malszycki, jakby się chciał przysłuchać; lecz za daleko było od pałacu, aby ich doszła tu muzyka.

— Teraz radcy gabinetowi czekają w przedpokoju

— mówił dalej paź — później nastąpi posłuchanie, dalej... doprawdy nie wiem, może przegląd jakiego pułku.

Zbliżył mu się do ucha.

— O! jeśli posłuchanie dawać będzie, nie zazdroszczę tym, co się w tych dniach nawiną. Najjaśniejszy pan od dni kilku jest zasępiony i gniewny.

— Nie wiecie przyczyny? — spytał Simonis.

Malszycki ręce podniósł.

— Ja? ja nie wiem nic a nic! a któż to może wiedzieć! Widzę tylko, że nasz pan zły i chwilami z oczu mu błyska tak... ludzie mówią, jak przed śląską wojną.

Rozmowa po czekoladzie nie trwała długo, bo Malszycki, choć nie był tego dnia na służbie, miał list pisać do matki i od pałacu oddalać się nie chciał. Wyszli więc razem do ogrodu, gdzie mu spokojne miejsce wskazawszy w cieniu, paź pobiegł do pałacu zaraz, przyrzekając, że później, jeśli będzie mógł, przyjdzie do niego.

Kawaler de Simonis usiadł więc zadumany, rozglądając się po ogrodzie, a że przez drzew gałęzie widać stąd było taras pałacowy, w tamtą stronę zwrócił oczy. Wkrótce potem otwarły się drzwi szklane, wyszedł jeden z paziów, a za nim wyskoczyła cała zgraja charcików, ulubieńców królewskich, albo raczej towarzyszów najulubieńszej jego Alkmeny i Biche. Wyskakując, skowycząc, szczekając, przewracając się, wyścigając po trawnikach, charciki, którym wszystko wolno było, wyruszyły na świeże powietrze. Paź kroczył jako guwerner i dozorca, nawołując niekiedy do porządku. Słychać było imiona delikwentów, dość nieposłusznych, bo ich pokilkakroć zmuszać trzeba było do powrotu, zbiegających w krzaki daleko...

Phyllis, Thisbe, Dyana, Pax, Amoretta, Superbe, składały familię i dwór pani Alkmeny, która prawie nigdy

nie schodziła z kolan królewskich; teraz zaś wypuszczona, szła poważna, znudzona, nie biorąc czynnego udziału w swawoli, do której ją towarzystwo wciągnąć pragnęło.

Alkmena wlokła się, jakby zmuszona i drzemiąca, na tę przechadzkę, z wilgotnej nieco ziemi unosząc delikatne łapki ku górze, stając chwilami zamyślona, jakby się wrócić pragnęła, poziewając nawet znacząco, zatrzymywała się czasem i oglądała ku pałacowi.

Ponieważ słońce dopiekać zaczynało, paź skierował się w boczną zacienioną aleję, a psy rade nie rade za nim pociągnęły, właśnie ku temu miejscu, gdzie kawaler de Simonis spoczywał. Alkmena ciągle szła zwolna, dopiero zobaczywszy na ławce siedzącego, zaciekawiona, uszy nadstawiła, popatrzyła nań uważnie, nieco przyśpieszyła kroku i, jak rozpieszczone dziecko, któremu wszystko wolno, czego zapragnie, a nikt mu nic nie śmie odmówić, dobiegłszy do ławki, wprost na nią skoczyła. Czarnemi oczyma wpatrzyła się w siedzącego, który lekkim płaszczykiem był okryty, i z zaufaniem ku niemu, łapkę podniósłszy, płaszcz popróbowała odsunąć, co gdy jej się powiodło, wsunęła się kawalerowi de Simonis na kolana, zwinęła w kłębek wygodnie i położyła na nich. Reszta psów stanęła, otaczając go kołem; nadszedł paź zadziwiony, wpół uśmiechnięty, napół nierad i począł odwoływać Alkmenę, ale ta, ani myśląc ustąpić, zęby mu tylko pokazywać zaczęła. Phyllis i Thisbe szczekały gniewnie, znajdując to postępowanie nader nieprzyzwoitem, a za niemi wnet Pax, Amoretta, Dyana, Superbe wszczęły okrutny hałas, który stąd mógł dojść do pałacu. Kawaler de Simonis nadto był dworakiem i szczęśliwym z okazanych mu przez królewską ulubienicę faworów, aby choć najlżejszem drgnięciem poddać jej myśl ustąpienia z kolan. Paź był chmurny i nieszczęśliwy. Oglądał się nie-

spokojny ku pałacowi, napróżno usiłując szczekanie zajadłe psów uśmierzyć.

— Przeklęte psiska! — mruczał między zębami, chustką zlekka je karcąc napróżno, co jeszcze do zajadlejszego szczekania pobudzało — przeklęta psiarnia! Nuż król usłyszy! A to nieszczęśliwa godzina!

Jeszcze tak niespokojny miotał się, tupał i wołał, gdy z gąszczu jakby piorunem wyskoczył niespodzianie średniego wzrostu człowiek.

Paź stanął, jak wryty, a psy, spojrzawszy na niego tylko, dalej na Alkmenę ujadały.

Twarz tego nowego przybysza była oświecona dwojgiem oczu czarnych, ostrych, przenikających, nawykłych do grożenia i rozkazywania: cały wyraz oblicza w nich się skupiał. W ustach zaciętych i otoczonych już marszczkami i fałdami, był wyraz energii i sarkazmu. Nos dosyć ostry i chude policzki nadawały całości coś ostrego i przykrego, ale razem znamionującego wolę, która nawykła nie uginać się przed żadną inną. Marszczki na czole jeszcze surowszą czyniły tę maskę nieco zżółconą i zmęczoną... Na głowie i peruce zaniedbanej miał trzyrożny kapelusz zrudziały od słońca i słoty, na sobie niebieski mundur wypłowiały i stary. Pod nim widać było żółtą kamizelkę, całą posypaną i poplamioną od tabaki, i brudną, a pomiętą koszulę. Reszta też stroju nie odznaczała się elegancyą, bo na nogach miał niedbale naciągnięte pluszowe spodnie, w których kieszeniach z obu stron wydymały się dwie duże tabakierki, a buty do kolan, nieoczyszczone, podrapane, rude, zabłocone, zdawały się oznaczać chyba, że tylko co zsiadł z konia. Jedyną rzeczą kosztowniejszą była w ręku jego trzcina z gałką wysadzaną brylantami i na brudnej, atramentem zwalanej ręce dwa duże solitery w pierścieniach.

Wyszedłszy z krzaków, snadź wywabiony hałasem ulubieńców, zmarszczony, stanął z kijem podniesionym do góry, jakby nim chciał grozić paziowi, psom, czy Simonisowi.

Był to król Fryderyk II.

Simonis, który go widywał zdaleka, byłby się porwał, ale Alkmena nie dopuszczała, zrzucić jej z kolan nie mógł. Zobaczywszy swojego pana, podniosła głowę, pokiwała ogonem, ale z kolan nie schodziła.

— Co to jest! — krzyknął Fryderyk na pazia, podnosząc kij — co to jest! niech on odpowiada! kto to jest?

Paź szybko już począł się tłómaczyć.

— Jak on mógł pozwolić, aby Alkmenę kto brał na kolana...

— Najjaśniejszy Panie! sama mimo mojego oporu, gwałtem... niepodobna było jej wstrzymać.

Król surowo spojrzał na Simonisa, który nareszcie poruszył się, na ręce biorąc suczkę, i zrzucił kapelusz, nie mogąc inaczej, na ziemię. Psy z początku się go nastraszyły, ale w tejże chwili rzuciły się nań, jak na zabawkę, i zaczęły szarpać niemiłosiernie.

Fryderyk się uśmiechał. Uprzedzało go to zawsze dobrze o ludziach, gdy się psy jego garnęły do kogo przyjaźnie. Nie broniąc im zabawki z kapeluszem, który wnet uległ zniszczeniu i poszedł w kawałki, Fryderyk ręką paziowi dał odprawę, a sam, na lasce oburącz się sparłszy, począł się Simonisowi przypatrywać.

— Niech mówi — odezwał się — co on tu robi o tej godzinie w Sans-Souci; kto jest? jakiej profesyi?

Simonis wiedział bardzo dobrze, iż od tej chwili los jego przyszły mógł zależeć, nie wiedział, że król lubił odpowiedzi śmiałe i dowcipne; wezwał więc w pomoc

całą umysłową przytomność i, trzymając na rękach suczkę, która się wyciągała i ziewała, odparł odważnie:

— Najjaśniejszy Panie! Jestem rodem Szwajcar, szukam służby i zajęcia. Od roku bawię napróżno w Berlinie, a że tu wszystkie miejsca zajęte i na zajęte po dziesięciu kandydatów, jestem na wyjeździe, przybyłem znajomych pożegnać.

— Jak się on nazywa? — spytał król.

— Maks de Simonis.

— A! jest i de, cóż on szlachcic?

— Szlachtą byli moi przodkowie.

— Cóż on umie? — mówił Fryderyk.

Simonis zamyślił się.

— Umiem tyle, Najjaśniejszy Panie, iż wiem, że nie umiem jeszcze nic — odparł Maks — ale wiem i to, że się wszystkiego nauczyć mogę!

Fryderyk popatrzał nań.

— Czy on wołał Alkmenę do siebie?

— Najjaśniejszy Panie, na tobym się nie ośmielił.

Alkmenie tak było dobrze na rękach, że, choć kiwała ogonem do króla, ruszać się nie myślała; Fryderyk twarz chłopca tymczasem z wielką rozpatrywał uwagą.

— A kogo on tu ma znajomego?

— Miałem szczęście raz widzieć u hrabiny de Camas pana podskarbiego...

— A skąd on zna hrabinę? — egzaminował król.

— Już od roku miałem szczęście raz być jej pomocą... gdy konie...

— Wiem, wiem — przerwał król i odwrócił się.

Zdawało się, że chce odejść, lecz wtem zobaczył kapelusz, nad którym się psy znęcały; potrącił go laską, co im do darcia w kawałki nową było podnietą, i, spozierając szydersko na kawalera, rzekł:

— Niech mu to będzie nauką: gdy się kto do dworów ciśnie, taką korzyść odnosi!

— Najjaśniejszy Panie — odparł Simonis — kapeluszem okupiwszy szczęście widzenia Waszej Królewskiej Mości, wcale się nie użalam na to.

Na to kadzidło skrzywił się Fryderyk, popatrzał nań i rzekł:

— Niech on Alkmenę powoli postawi na ziemię i idzie za mną... Każę mu dać inny kapelusz.

Spełnił ten rozkaz de Simonis, chociaż się suczka opierała. Stanąwszy na ziemi, przeciągnęła się, popatrzyła na króla, który jej pogroził i, szczeknąwszy kilka razy przyjacielsko ku Simonisowi, jakby mu wymawiając, że ją opuścił, zwolna przed nim iść poczęła.

Simonis zebrał resztki swojego kapelusza i szedł posłuszny. Król go wyprzedzał milczący. Po chwili obejrzał się nań i stanął.

— A dokąd on myśli jechać? — zapytał.

Simonis się nieco zawahał.

— Hrabina de Camas jest tak łaskawą dla mnie, iż mi radzi do Saksonii, dokąd chce mnie wesprzeć listami.

Czarne oczy króla bacznie bardzo zwróciły się na Simonisa; przybliżył się ku niemu.

— Ma on ochotę dorobić się czego na świecie?

— Nietylko ochotę, Najjaśniejszy Panie, mam mus... jestem sierota...

— To niechże on wie, że tylko jednemu panu wiernie służąc, dochodzi się do czegoś, a zdradą i na dwóch stołkach — do stryczka i szubienicy.

I znowu podszedł król milcząc kroków kilka, a potem, zwróciwszy się, rzekł:

— I to wiedzieć on powinien, że rozumne gadanie jest rzeczą dobrą, ale głupie milczenie jeszcze lepszą...

Simonis się skłonił.

Król szedł dalej ku tarasowi pałacu. Tu już widać było stojących u drzwi w mundurach kilku generałów, szambelanów i oczekujących posłuchania cudzoziemców. Fryderyk jeszcze raz odwrócił się do Simonisa:

— Niech on idzie do pałacu i w przedpokoju siądzie, gdzie paziowie moi są, a tam czeka rozkazów.

Kawaler skłonił się bardzo nizko i z bijącem mocno sercem, odgadując drogę, posunął się ku prawemu skrzydłu, w którem były apartamenty królewskie.

Zjawienie się jego pomiędzy paziami byłoby mu może wiele nieprzyjemności zrazu przyczyniło, gdyby tam już nie znalazł znajomego sobie Malszyckiego, który wcześniej, niż się spodziewał, musiał zastępować wyprawionego za niedopilnowanie Alkmeny do aresztu poprzednika swego.

Z podartym kapeluszem w ręku zjawił się de Simonis.

— A waćpan co tu robisz?—zapytał zdziwiony paź.

— Jestem z rozkazu jego królewskiej mości: czekać mi kazano.

Z kapelusza podartego śmiano się i drwiono jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i wszedł, zaledwie patrząc na wyprostowaną służbę, król, nie zrzucając kapelusza, którego nigdy prawie nie zdejmował z głowy; za nim cała psów jego czereda, a za nimi generałowie Lentulus, Warnery, adjutant Winterfeldt, wielki koniuszy generał Schwerin, kanclerz Coccei, szambelan Pöllnitz i wielu innych.

W chwilę potem słychać było w sali audyencyonalnej pytania i krótkie odpowiedzi. Król naradzał się widocznie ze swymi dowódcami. Simonis, w kącie zasiadłszy z Malszyckim, spodziewał się tu spocząć nieco, ale dnia tego spotykały go same niespodzianki.

Nie upłynął kwadrans, gdy się drzwi od sali c

rzyły i mężczyzna wystrojony w mundurze szambelańskim wybiegł, po przedpokoju szukając jakby kogoś oczyma. Pomimo i rysów twarzy dawniej przystojnych i stroju aż do zbytku wyszukanego, nie była to wcale postać sympatyczna.

Choćby na sobie nie miał ani tej liberyi królewskiej, ani klucza u fraka, łatwo w nim było poznać człowieka, który zrósł, wychował się, zestarzał na dworach i uwiądł zawczasu w dusznej atmosferze pozornego zbytku, istotnego niedostatku, długów, intryg, ambicyi pożerających, nadziei gorączkowych, upokorzeń wypijanych i połykanych codziennie. Latały mu oczy niespokojem, głęboko zapadłe, usta niepewnego wyrazu, gotowe na uśmiech i skrzywienie, dygotały niecierpliwie; całe ciało zdało się wyłamane, jak u kuglarza, który nawykł zwijać się w kłębek lub rozciągać jak struna.

Zaledwie wszedł do przedpokoju, już wzrokiem obiegł wszystkich, zakręcił się na nodze i, jakby go co rzuciło, przypadł, chwytając za guzik sukni Simonisa. Pochylił mu się do ucha, jedną nogę podnosząc do góry, i szepnął:

— Simonis, z rozkazu najjaśniejszego pana... mamy do pomówienia; chodź waćpan ze mną do ogrodu. Jestem szambelanem króla jegomości, baron Pöllnitz do usług.

Lekko głową skłonił.

Simonis, od roku bawiąc w Berlinie i obracając się pomiędzy ludźmi, co znali dwór cały, jakżeby o baronie Pöllnitz nie słyszał.

Pöllnitz był sławny, z Pöllnitza śmiał się i drwił król nielitościwie; był pośmiewiskiem i plastronem wszystkich, a mimo to król mu przy sobie wisieć dozwalał.

Ciekawa to była i figura i historya tego człowieka, który za typ pewnego rodzaju awanturników mógł być uważany. Nic bardziej zszarzanego a śmielej narzu-

cającego się z cynizmem i natrętnością niewysłowioną wyobrazić sobie nie było można. Pöllnitz, o wiele starszy od króla, był wnukiem znakomitego swojego czasu ministra, generała, komendanta Berlina, komendanta pułku gwardyi i t. d. i hrabianki de Nassau, córki pobocznej księcia Maurycego, namiestnika Niderlandów. Ojciec jego dosłużył się stopnia pułkownika; on sam rozpoczął przy dworze służbę od kamerjunkra. Później, spadłszy z etatu, puścił się na podróże, z których powstały wydane przez niego o dworach niemieckich Listy i Pamiętniki, a naostatek najsłynniejsze z dzieł jego, bezimienne: La Saxe galante. Za Fryderyka II dostał Pöllnitz szambelaństwo, ale ten obchodził się z nim, jak z błaznem.

Zdaniem Fryderyka był to infamis, któremu wierzyć się nie godziło, zabawny przy obiedzie, ale potem chyba za drzwi. Tysiące anegdot chodziło o nim.

Raz Fryderyk polecił mu sprowadzić jakieś kury indyjskie; Pöllnitz pośpieszył ze spełnieniem rozkazu i, przesyłając je, a chcąc ruszyć dowcipem, bo chorował na dowcip, napisał do króla cztery wyrazy:

— „Oto kury, Najjaśniejszy Panie!“

Król kazał nazajutrz kupić jak najchudszego wołu, pozłocić mu rogi, zaprowadzić przed dom Pöllnitza, gdzie go do płotu uwiązano. Bilet przytem zawierał tylko: „Oto wół Pöllnitz“.

Przed laty kilku, baron, który wiecznie był w długach i wzdychał do łatwego zbogacenia się, napatrzył jakąś wdowę katoliczkę w Norymberdze, z którą zapragnął się ożenić. Poszedł więc do króla, prosząc go o odprawę i świadectwo. Fryderyk kazał mu usiąść i następujące słowa podyktował. Maluje ono doskonale króla i szambelana i godne jest pamięci:

„My Fryderyk i t. d. czynimy wiadomo wszystkim,

komu o tem wiedzieć należy, iż baron von Pöllnitz, rodem z Berlina i, o ile my wiedzieć możemy, z uczciwych rodziców zrodzony, u nieboszczyka dziada naszego, świętej pamięci, kamerjunkier, u księżnej d'Orléans w tym samym charakterze, u króla hiszpańskiego, jako pułkownik, u niedawno zmarłego cesarza, jako rotmistrz, u papieża, jako szambelan, u księcia brunświckiego, jako szambelan, u księcia wejmarskiego, jako chorąży, u spoczywającego w Bogu ojca naszego, jako szambelan, a naostatek u nas jako mistrz ceremonii służący; gdy potokiem tych honorów wojskowych i wysokich dostojeństw dworskich, z kolei na osobę jego spływających, czuł się zupełnie zalanym, a w ostatku znużonym światem i złym przykładem szambelana Montaulieu uwiedziony, który na mało przed nim ze dworu zemknął, u nas wymieniony baron Pöllnitz prosił i najuniżeniej suplikował, abyśmy mu dla utrzymania jego dobrej sławy i mienia uczciwą i łaskawą dali odprawę.

„My więc, uwzględniając prośbę jego, gdyśmy za dobre uznali świadectwa mu tego nie odmówić, o które nas upraszał; zważywszy bardzo ważne usługi, jakie na dworze naszym spełniał przez swe błazeństwa, i rozrywkę, jaką nieboszczykowi ojcu naszemu na Nowy Rok przynosił; nie wahamy się oświadczyć: że w ciągu całego tego czasu, gdy baron sławnie usługi przy nas pełnił, nie zdarzyło się ani razu, aby po gościńcach rozbijał, mieszki obrzynał, albo truciznę przyprawiał; nie porwał żadnej panny, ani żadnej gwałtu nie zadał; niczyjego honoru na dworze naszym nie naruszył grubiańsko, ale się sprawiał zawsze, jak na szlachcica przystało i na urodzenie jego, a dary, jakimi wielu się podobało go wyposażyć, na uczciwy obracał pożytek, to jest do jednego zawsze zmierzając celu, który za zasadę mają komedyanci, któ-

ry zależy na tem, żeby śmieszności ludzkie w sposób wesoły i przyjemny wystawiać i tym sposobem je poprawiać.

„Również za radą Bachusową w punkcie umiarkowania i wstrzemięźliwości zawsze szedł wiernie, a miłość chrześcijańską posuwał tak daleko, iż chłopów nawet potrafił przekonać o prawie ewangelicznem, że dawać błogosławionym jest lepszem, niżeli brać. Oprócz tego umie on wszystkie anegdotki o naszych zamkach i ogrodach, a szczególniej w pamięci wiernej zachowuje caluteńki inwentarz starych sprzętów; naostatek umiał też swemi zasługami tym nawet stać się miłym i pożytecznym, którzy zarówno znali jego złą głowę i dobre serce.

„Dajemy też wymienionemu baronowi to świadectwo, że nas nigdy do gniewu nie pobudził, wyjąwszy ten raz, gdy podłem swojem natręctwem (lâche importunité), przechodzącem wszelkie należnego uszanowania granice, w nikczemny i nieznośny sposób popioły naszych przodków zbezcześcić chciał i skalać.

„Ale że w najpiękniejszych krajach trafiają się bezpłodne i puste okolice, gdy najpiękniejsze ciała mają swe ułomności, a malowidła największych mistrzów wady; dlatego wymienionemu baronowi jego błędy i ułomności chcemy przebaczyć i udzielamy mu niniejszą chociaż niechętnie, pożądaną przezeń dymisyę, powierzoną mu zaś godność chcemy całkowicie znieść i skasować, ażeby przez to pamięć jej u ludzi na wieki zniszczyć, i pewni będąc, iż po wymienionym baronie nikt jej już godnie sprawować nie może“.

Poczdam, dnia 1 kwietnia 1774 roku.

Baron, otrzymawszy takie zaszczytne świadectwo, pojechał do Norymbergi, przyjął wiarę katolicką; wdow dała mu, namyśliwszy się, odprawę; stracił, co m

i wrócił do Berlina, wpraszając się napowrót do króla i ofiarując protestantyzm przyjąć znowu. Fryderyk kazał mu odpowiedzieć, że to go nie skłoni do przywrócenia mu dostojności dawnej, ale, jeżeliby muzułmańską wiarę przyjął i poddał się obrzędowi zwykłemu, natenczas gotów go do służby przypuścić.

Pomimo to jednak Pöllnitz do służby powrócił znowu, pod następującymi warunkami, które przyjął: Po ulicach Berlina miało być przy odgłosie trąby i bębna ogłoszonem, pod karą stu czerwonych złotych, ażeby nikt się nie ważył mu nic kredytować, ani pieniędzy, ani towarów. Zabroniono mu było nogą próg przestąpić obcego poselstwa, lub z posłami cudzoziemskimi w innych domach się widywać i o rozmowach z królem cokolwiekbądź im udzielać. Naostatek, zaproszony do stołu, miał się starać być wesół i nie wyglądać, jak ...rogacz.

Król wiedział, że się Pöllnitz gdzieś dobitnie wyraził, iż korzystniej było świniom służyć niż... radził mu więc udać się szukać służby do Westfalii; ostatecznie jednak długi zań płacił, trzymał go i bawił się nim. Raz proszącemu o zasiłek kazał korzec owsa zanieść i wysypać w pokoju...

Pöllnitz był swego czasu sławną figurą na dworze, a że z siebie dawał szydzić, wygodną. Nie był to człowiek bez zdolności, ale, niestety, bez charakteru. Pomiatano nim, jak ścierką.

Przymrużonemi oczkami wpatrzywszy się w Simonisa, który go znał z reputacyi, szambelan wywiódł go na taras przed pałac. Tu w tej chwili nie było nikogo.

— Król mi kazał waćpanu, panie kawalerze de Simonis, wszak tak? — począł żywo Pöllnitz — król mi kazał dać informacyę względem dworu saskiego. Najjaśniejszy pan to wie, że tajemnic tego dworu i innych, mo-

gę powiedzieć, wszystkich w Europie, nikt tak nie zna, jak ja. Ale powiedz mi waćpan, co masz robić na tym dworze?

Simonis łatwo zmiarkował, iż całej prawdy wyjawiać nie był powinien, zwłaszcza że Pöllnitz miał język tak długi, a usta tak szerokie, że nic w nich utrzymać nie mógł.

— To się łatwo domyślić, panie szambelanie, spojrzawszy na mnie. Szukam szczęścia: chcę służby!

Pöllnitz od stóp do głowy go mierzył oczyma.

— Rozumiem! chłopiec jesteś ładny, szykowny i młody. Hm! za Augusta II mógłbyś był może tam zrobić karyerę. Dziś chybabyś Brühlowej wpadł w oko; ale to Minotaur rodzaju żeńskiego — dodał żywo — pożera żywcem, kto jej w paszczę wpadnie...

Simonis się uśmiechnął.

— Królowa — mówił dalej baron — brzydka, jak grzech śmiertelny, pobożna, jak kropidło od święconej wody... Kobiety tam teraz nie rządzą, tylko stary Guarini i Brühl... a prawdę rzekłszy, Brühl panuje. Miałżebyś waćpan ochotę o opróżnioną posadę jednego z sekretarzy Brühla konkurować? Właśnie jeden podobno był piętnowany pod pręgierzem i poszedł ułaskawiony na całe życie do Koenigsteinu... Wiesz waćpan za co?

Pochylił mu się do ucha:

—. Wszyscy sekretarze ministra są też zarazem faworytami pani hrabiny... Ten chybił jej, bo się zakochał w garderobianej, słusznie więc postawiono go pod pręgierzem...

Simonis zbladł trochę, ale starał się uśmiechnąć.

— Panie baronie — rzekł — ja tak wysokich i trudnych obowiązków ani się spodziewam, ani życzę dostąpić, skromniejszem się czemś zadowolę.

— Uczynisz waćpan, kawalerze de Simonis, jak uznasz właściwem — rzekł Pöllnitz — ale ja ci daję klucz do wszystkiego: staraj się Brühla pozyskać. Są na to różne sposoby... — Tu odchrząknął znacząco. — I on młodych ludzi lubi... bardzo lubi, jak powiadają. Jeżeli wypróbuje waszą wierność, może przy królu umieści. Król od czasu, jak go najukochańsza córka opuściła, wyszedłszy za bawarskiego, nie ma z kim poobiednich godzin przepędzać... Któż wie, może mieć kaprys dla waćpana.

To mówiąc, szambelan ręce założył pod poły fraka i przeszedł się parę razy po tarasie; potem znowu stanął naprzeciw Simonisa.

— O ile mogłem zauważyć — rzekł, zniżając głos, Pöllnitz, obejrzawszy się dokoła — miałeś waćpan szczęście dosyć się królowi podobać, bo słyszę Alkmena wydała ci świadectwo dobre, wlazłszy na kolana; dlaczegoż cię tu gdzie nie umieszczą przy dworze? hę? to rzecz dziwna! Jego królewska mość sam waćpana pędzi stąd do tej Saksonii? Hm? to coś niezrozumiałego...

Simonis uląkł się tego domysłu i przerwał żywo:

— Bardzo przepraszam pana barona! Moje postanowienie jechania do Saksonii oddawna było powziętem... mam tam blizkiego krewnego... radcę Ammona. Nikt mnie tam nie wyprawia... ja sam jadę.

Pöllnitz spojrzał nań i uśmiechnął się, skinął i sprowadził zwolna w dół tarasu, gdzie mniej było niebezpieczeństwa być podsłuchanym. Pochylił mu się do ucha.

— Waćpanu szczęście samo w ręce się ciśnie—rzekł. — Król narzeka, że ani Beguelin, ani Ammon dokładnych mu wiadomości nie dają stamtąd... a nad Saksonią nadzór mieć trzeba, bo Brühl jest człowiek przewrotny. Zgra-

bne stylizując liściki, możesz, młodzieńcze, zrobić karyerę...

Spojrzał mu w oczy. Simonis pomiarkował, iż się powinien był oburzyć, aby nie wydać z sekretu.

— Przepraszam pana barona — odparł z dobrze odegraną zgrozą — obowiązków szpiega podjąć się, anibym je spełniać umiał.

Pöllnitz śmiechem wybuchnął.

W tej chwili hałas w przedpokoju oznajmił coś niezwyczajnego, a że baron Pöllnitz był niezmiernie ciekawy, pośpieszył z Simonisem wraz do pałacu.

W alei, wiodącej do niego, widać było poszóstny powóz dworski, z wielką liberyą, najparadniejszymi końmi, w uprzęży błyszczącej od złoceń, wiozący gości jakichś do króla.

Król snadź był to już zobaczył i słychać było w audyencyonalnej sali, której drzwi stały otworem, gniewny głos jego:

— Kto posłał poszóstny ekwipaż po tych dwóch rzymskich prałatów?

Wszyscy milczeli, aż stary generał Lentulus, na boku stojący, odezwał się:

— To ja, Najjaśniejszy Panie!

Widać było, jak Fryderyk z kijem podniesionym pobiegł do Lentulusa, który stał wyprostowany.

— On osioł! osioł! — zawałał — rozumie mnie: stary osioł!

Ale kijem uderzył król tylko w posadzkę i w tej chwili wszystkie psy szczekać poczęły.

— Gdy prałaci przyjadą — dodał Fryderyk — niech on idzie sam do stajni konie wyprządz, karetę wciągnąć, dwa kulawe chabety najgorsze i odartą im dać dorożkę... I tego dla nich dosyć. Rozumie mnie on?

Lentulus skłonił się. W tejże chwili dwaj rzymscy prałaci w fioletach, z krzyżami na piersiach, płaszczykami na ręku wchodzili na pokoje i drzwi się za nimi zamknęły.

Jakie tam było posłuchanie, nikt nie wiedział, ale w godzinę potem, gdy z audyencyi wyszli, stanęli zdumieni nędznym powozikiem, jaki na nich czekał. Lentulus odprowadzał ich do ganku... Monsignor zapytał go nieśmiało o przyczynę zmiany.

Generał przybrał minę bardzo poważną.

— Jest to etykieta tradycyjna dworu naszego — rzekł — jak najparadniej przywozimy, a fiakrem odprawiamy nazad. Etykiety zmienić niepodobna.

W czasie, gdy to się działo, baron Pöllnitz znikł był, a Simonis zajął swe miejsce przy Malszyckim w kącie przedpokoju. Sam nie był pewien, czy dłużej ma czekać, czy przez Pöllnitza był już odprawionym; wolał jednak omylić się bodaj, a pozostać dłużej i skorzystać z jedynej sposobności przypatrywania się temu dworowi.

Przeczucie było dobre, gdyż w pół godziny później zjawił się podskarbi Fredersdorf, szukając go oczyma; skłonił mu się zdala i dał znak, aby szedł za nim.

W milczeniu po schodach weszli do skromnego pokoju, który był nie mieszkaniem, ale kancelaryą podskarbiego. Z tej on przeprowadził go do małego gabinetu, jeszcze prościej urządzonego.

— Najjaśniejszy pan — rzekł, zamknąwszy drzwi za sobą — mówił mi o spotkaniu w ogrodzie. Miałeś pan prawdziwe szczęście i mogę mu powiedzieć, żeś się królowi podobał... Psy tam podobno popsuły waćpana kapelusz. Król chce mu wynagrodzić tę szkodę, a razem dopomódz do dalszej karyery i kazał mi wręczyć ten zasiłek na drogę...

To mówiąc, z biurka dobył Fredersdorf rulon w papier zawinięty i wsunął go w rękę Simonisowi.

— Najjaśniejszy pan życzy sobie jednak — dodał — abyś waćpan o tem nikomu nie wspominał. Jesteśmy bardzo oszczędni, a toby mogło naprowadzić innych na myśl podrzucania Alkmenie starych kapeluszy.

Rozśmiał się podskarbi.

— A teraz — rzekł — zejść możesz na dół, szanowny kawalerze, zjeść obiad z paziami i powracać do Berlina, gdzie bardzo proszę kłaniać się ode mnie hrabinie, bo spodziewam się, że waćpan nie wyruszysz w tę drogę, nie widząc jej i nie korzystając ze światłych uwag, jakich ona panu może udzielić.

Skłonił się Simonis bardzo nizko i, wypuszczony, zszedł znowu do Malszyckiego; w istocie godzina królewskiego obiadu zbliżała się.

Nakryto później dla paziów stolik w bocznym pokoju i tam skromnie się posiliwszy, bo oszczędność na dworze była we wszystkiem wielka, Maks, w chwili, gdy król do czytania poobiedniego zasiadał, wysunął się z pałacu, szukając sobie sposobu dostania się do Berlina.

III.

Tegoż wieczoru jeszcze, kawaler nasz, otrząsłszy się z pyłu i odświeżywszy perukę, pośpieszył na czwarte piętro do „raiku“ hrabiny de Camas. Staruszka zdawała się oczekiwać na niego. Gdy wszedł, poszeptała coś na ucho ze znajdującą się właśnie u niej drugą damą dworu, i ta pośpieszyła ją pożegnać.

Po wyjściu jej ochmistrzyni niecierpliwie zbliżyła się do młodego chłopaka.

— A cóż? — zapytała — byłeś w Sans-Souci? Mów... mów mi wszystko...

Nie tając więc nic przed tą, której miał być winien cały los swój, kawaler rozpoczął wesoło opowiadanie. Nie ominął najmniejszego szczegółu, a że umiał dowcipnie ubrać tę powieść, ubawił staruszkę bardzo. Szczególniej ów szczęśliwy z psem przypadek uradował panią de Camas.

— Nader waćpan jesteś szczęśliwym — odezwała się, śmiejąc. — Na dobrą jakąś trafiłeś godzinę! Król nie zawsze bywa tak usposobiony... Mogło równie łatwo spotkać cię coś gorszego daleko. Winszuję waćpanu, żeś wyszedł z takim tryumfem, a w dodatku zrobił jeszcze znajomość z Pöllnitzem, który bywa zabawny, ale na nic się nikomu nie zdał. Teraz — rzekła, przysuwając się i przybierając twarz poważniejszą — teraz mówmy seryo. Ponieważ młodzi ludzie nie bywają zwykle oszczędni, a robienie nowych znajomości kosztuje ich wiele... nic nie zaszkodzi, gdy i ja waćpanu coś pożyczę... Tego oddawać mi nie będziesz potrzebował. Odsłużysz to listami, które do mnie pisać będziesz, co tygodnia. Listy oddasz tylko Beguelinowi: przez niego mnie one dojdą. Ja, jako kobieta stara, niemająca żadnego zajęcia, ciekawa jestem: mnie wszystko obchodzi... Pisz więc waćpan, co zobaczysz, co usłyszysz, co poczujesz w powietrzu... Młodych ludzi kręci się wielu około Brühla i Brühlowej... gdybyś do nich samych mógł się wcisnąć, poznać Moszyńską, zawiązać stosunki z faworytami ministra... byłoby bardzo dobrze. Tymczasem, nim się to stanie, jako cudzoziemiec ciekawy, jako młodzieniec, co się zabawić musi... z kancelaryą Brühla postarasz się o zbliżenie... W listach opiszesz mi wszystko... wszak mnie rozumiesz?

Z oczu kawalera de Simonis wyczytać mogła staruszka, iż doskonale swe posłannictwo pojmował: błyszczały one roztropnością. Zdało mu się jednak, iż upewnić powinien hrabinę.

— A, pani! — zawołał — ja pojmuję to bardzo dobrze, iż najmniejsze nawet rzeczy, najlżejsze słówka mogą mieć swe znaczenie... Dowiedzieć się jak najwięcej, choćby plotek; donieść jak najobszerniej, cokolwiek pochwycić potrafię, będzie moim obowiązkiem...

— A pamiętaj o tem — dodała ciszej hrabina — że od mężczyzn najwięcej się potrafisz dowiedzieć przy kieliszku, a od kobiet, gdy się która w waćpanu zakocha.

Kawaler de Simonis skromnie nader spuścił oczy.

— Nie wstydź się waćpan — śmiejąc się, dorzuciła hrabina — młody jesteś, przystojny, dowcipny; umiesz się znaleźć w towarzystwie: nicby nie było dziwnego, gdyby tam jakie serce do was przylgnęło... Saskie panie zachowały pamięć czasów Augusta II. Nie trzeba tylko brać ich na seryo, tak jak one miłości na seryo nie biorą. Dla waćpana, jak dla nich, powinno to być rozrywką, z której rozumny człowiek potrafić powinien korzystać...

Naukę tę zrozumiał doskonale Simonis i przyrzekł się do niej zastosować.

Hrabina dobyła z pod przycisku na stole dwa przygotowane listy i podsunęła je kawalerowi.

— Jeden z nich jest do ziomka waszego, Beguelina — rzekła — drugi do mojej dawnej przyjaciółki, baronowej Nostitz, która, chociaż saskie nosi nazwisko, z Berlina jest rodem i całą duszą do naszego brandeburskiego przywiązana domu. Jest to niemłoda już kobieta, u której znajdziesz opiekę, radę, pomoc, przyjęcie życzliwe... Oba listy przydadzą się...

Zatrzymała się na chwilę staruszka i pomyślała, jakby szukając w pamięci, coby jeszcze dodać mogła, a potem odezwała się, głos podnosząc:

— Bądź mi pan zdrów, kawalerze de Simonis, a sprawuj się dobrze. Życzę i ufam, że ci się powiedzie na saskim dworze... Jeśli się będziesz mógł z pomocą baronowej Nostitz dostać na dwór Brühla, uchwyć skwapliwie tę sposobność... Jedź prędko... jutro, jeśli można. Chodzą dziwne wieści od tamtej strony (tu znowu głos zniżyła), mówią, że Brühl z Austryą wiąże się przeciw nam. Wartoby dotrzeć prawdy. W listach pisz waćpan śmiało, ale poczcie ich nie powierzaj: Beguelin znajdzie drogę... Bądź waćpan zdrów!

I podała mu rękę staruszka, którą kawaler, zgięty aż do ziemi, pokilkakroć pocałował, wynurzając jej całą wdzięczność swoją.

Znalazłszy się w ulicy i przywodząc sobie na myśl, co mu z domowego pozostało zapasu, co miał z daru króla i od hrabiny, Maks tak się znajdował bogatym, iż mu się w głowie zawracało. Opłaciwszy nawet gospodarza wspaniale i zrobiwszy piękny prezencik Carlocie, miał zawsze jeszcze w zapasie trzysta kilkadziesiąt dukatów i talent robienia wielkich rzeczy małymi pieniędzmi. Z rzadką w młodych ludziach roztropnością, Simonis, gdy było potrzeba popisać się ze wspaniałomyślnością, rzucał dukatami głośno i pokaźnie; ale w powszedniem życiu umiał więcej cudzym kosztem się przeżywić, niż swoim.

Nie miał teraz nic więcej do czynienia, jak upakować swe węzełki, pożegnać gospodarzy i szukać sobie fury, któraby go przyzwoicie do stolicy saskiej zawiozła.

Wróciwszy do swej izdebki, zastał już wszystkich uśpionych, w domu cicho, i wkradłszy się niepostrze-

żony, począł od rozpalenia światła, co naówczas nie przychodziło z łatwością. Każdy porządny, jak on, chłopak, nie chcący żebrać iskierki u sąsiadów, miał na kominie krzesiwo i nasiarkowane drewienka, które się dopiero od hubki zapalały... Tym sposobem i nasz kawaler, natłukłszy sobie palców po nocy, doszedł do zapalenia drewienka, a od niego świecy. Miał tak wiele do czynienia, że mu się wcale na sen nie zbierało.

Szczególniej męczyła go okoliczność jedna... Na stoliku leżały przed nim dwa listy polecające do Beguelina i baronowej Nostitz. Paliła go ciekawość grzeszna dowiedzenia się, co tam o nim pisano. Sam on nie rozumiał dobrze celu swojego poselstwa... radby się był o nim objaśnił. Wiedział bardzo dobrze, iż, kusząc się o to, popełni więcej niż niedyskrecyę, bo nawet przestępstwo karygodne, naruszeniem pieczęci... ale Simonis nie był tak nadzwyczaj skrupulatnym, a ciekawość, co się w tych listach znajdować mogło, paliła go okrutnie...

Kilka razy brał je ze stolika, oglądał, stawiał naprzeciw świecy i kładł przestraszony nazad. A po chwili pokusa wracała, ręce wyciągał i papiery te miął w nich znowu. Pieczęci na listach położone przez hrabinę de Camas, pośpiesznie i drżącą snadź ręką, nie były zbyt wyraziście odbite. Majaczyło na nich coś nakształt jakiegoś herbu, który z zewnętrznego kształtu przypominał wyrznięty na ojcowskim sygnecie kawalera. Przymierzywszy go do pieczątek, przekonał się, że, rozgrzawszy lak nieco, podjąwszy papier, mógł go wyśmienicie nanowo własnym herbem przymocować. Starcie jego mogło iść na rachunek podróży, gorąca i potrzeby trzymania przy sobie tych drogocennych rekomendacyi.

Z sumieniem i wykonaniem tego śmiałego pokuszenia przyszedłszy do ładu, kawaler de Simonis drzwi pokoiku zaryglował na zasuwkę i wziął się drżącemi rękoma do występnego dzieła.

Najprzód rozgrzał zlekka pieczątkę listu do Beguelina, w którym się spodziewał znaleźć polecenie hrabiny; ale jakież było zdziwienie jego, gdy w zawinięciu czystego papieru trafił tylko na żółty kawałek oddarty niefremnie, na którym stały niezrozumiałe dlań liczby poprzedzielane punktami 64... 871... 55... 2 i t. p.

Była to cyfrowana depesza, oczywiście z królewskiego gabinetu, na której widok przerażony Simonis pobladł, rękoma coraz bardziej drżącemi włożył ją nazad do papieru i zapieczętował niezgrabnie. Tę tylko wyciągnął korzyść z pokuszenia o tajemnicę stanu, iż się dowiedział, że był istotnie posłem króla. Listu do baronowej wahał się już rozpieczętować i choć smutny, wyrzekł się zaspokojenia ciekawości. Schował do pugilaresu obie koperty, starannie je do siebie zwróciwszy pieczątkami, aby one przylgnęły i ślad naruszenia jednej z nich zniknął.

Nareszcie zgasił świecę i jeśli nie dla snu, to dla wypoczynku położył się.

Pierwszy ruch ranny w domu przebudził go; pośpieszył się ubrać co najprędzej. Potrzebował widzieć się z gospodarzem.

Ojciec Carlotty, pan Ceroni, cukiernik z powołania, któremu wcale się dobrze działo, bo był w kunszcie swym biegły i gruszek nie zasypiał w popiele, mimo narzekań i krzyków piekarzy, łączył z cukiernictwem wypiekanie bułeczek różnych, a nawet rozmaitego chleba, któremu pozór nadawał niezwyczajny. Był to mężczyzna lat pięćdziesięciu, otyły, rumiany, z twarzą lśniącą, uśmiechniętemi ustami, czynny, gadatliwy, niewidzący daleko, ale bardzo praktyczny. Lubił on Simonisa, lubiła go i gospodyni, a najwięcej podobno jedynaczka ich córka, któ-

rej to była pierwsza miłość zawczesna. Ulubieńcowi całego domu, bo i słudzy grzecznego chłopca dobrem widzieli okiem, Simonisowi pieszczonemu przez wszystkich wcale się tu nieźle działo.

Majster Carl, od którego imienia i jedynaczka córka zwała się Carlottą, właśnie rozpoczynał pod osobistym nadzorem porządkowanie sklepu na dole, gdy wszedł niezwykły o tej godzinie gość Simonis.

Carl rękę mu podał, śmiejąc się.

— Cóż to was już drugi dzień tak rano budzi? — począł — widzę, że się musicie brać do jakiegoś ważnego dzieła, kawalerze Maksie? Wczoraj dodnia ruszyliście na przechadzkę i nie było was na obiedzie, a obiad był doskonały. — Uderzył się po pełnym brzuszku.

Simonis, ponieważ chłopcy zwijali się ze szczotkami, odciągnął go ku oknu.

— Panie Karolu kochany — rzekł — przykro mi nad wyraz, ale przychodzę wam oznajmić, że muszę was opuścić.

Gospodarz aż się cofnął.

— A toż co jest? czy wam źle u nas?

— Jak w raju, ale z założonemi rękami siedzieć nie mogę dłużej; lata upływają, trzeba o sobie myśleć; tu nie znajdę nic.

Carl patrzał zdumiony.

— Więc dokąd?

— Mam listy polecające do Saksonii.

Gospodarz głową zaczął kręcić.

Trudno wstrzymywać — rzekł — ale i radzić wam nie miałbym ochoty. Saksonię znam. Łatwo tam się dorobić, to prawda, ale jeszcze łatwiej za lada podejrzenie pójść do lochu, a za lada słowo pod pręgierz.

A po chwili dodał:

— Chyba listy macie do Brühla, bo tam jeden Brühl wszechmogący i niema nad niego nikogo więcej.

— A! tam już sobie dam radę — rzekł Simonis, nie chcąc się wygadywać.

Carl westchnął.

— No, niebezpieczna to gra; dużo ludzi poginęło w Saksonii — rzekł cicho. — Dzieją się tam rzeczy dziwne, a dodałbym jeszcze, że pruska rekomendacya do saskiego dworu... he! he!

Tu usta wykrzywił i, nie dokończywszy, odwrócił się do chłopców, których łajać począł. Widocznie było mu niemiło, iż tracił kawalera de Simonis. Miał z niego między innemi i tę korzyść, że mu jego listy pisywał, a żonę i córkę zabawiał w dni słotne.

Simonis stał z posępną twarzą.

— Nie moglibyście poradzić, jakby mi najtaniej i najbezpieczniej dostać się do Drezna? — zapytał.

— Kupcy stąd jeżdżą często, napytacie ich łatwo przy Judengasse w gospodzie — rzekł Carl. — Czy wam pilno?

— Tak jest, bardzo pilno — odparł Simonis.

Carl głową pokiwał i jakby już o tem więcej nawet mówić nie chciał, począł łajać służbę i latać po izbach.

Kawaler nasz, spełniwszy to, do czego się czuł obowiązanym, wysunął się z domu i poszedł szukać sposobności dostania się do Drezna. Wskazówka była dobra, gdyż w godzinę potem napytał brykę, która dość pstre towarzystwo wiozła do saskiej stolicy; dał więc zadatek i po południu stawić się obiecał do gospody.

Pakunek nie zabrał wiele czasu, po drodze kupił kawaler parę kolczyków z niezapominajkami turkusowemi dla Carlotty i w godzinę gotów był do podróży.

Właśnie dopinał tłómoczka, gdy zastukano i dziew-

czę wbiegło z namarszczonemi brwiami, gniewne, prosząc go do obiadu. Zamiast, spełniwszy tę formalność, usunąć się prędko z pokoju kawalera, Carlotta oczyma zasępionemi zaczęła się po tej pustce rozglądać.

Z twarzy jej mógł Simonis gorzką wyczytać wymówkę.

— Piękna Carlotto! — zawołał — nie mógłbym odjechać, nie zostawiwszy wam coś małego na pamiątkę. Proszę was, przyjmijcie to ode mnie!

I z wdzięcznym ukłonem podał jej pudełeczko z kolczykami. Dziewczę zarumienione zrazu gniewnie prawie odtrąciło ten dar, potem spojrzało znacząco w oczy kawalerowi; pod powiekami zakręciły się jej dwie łzy i uciekła aż do progu.

Od progu zwróciła się nazad, jakby się namyśliwszy.

— Ja, o! ja was nie zapomnę — zawołała ze łzami w głosie — ale wy?...

Simonisa poruszyło to przywiązanie dziecięce, zbliżył się do niej; Carlotta ręce zarzuciła mu na szyję i zaszła się od płaczu.

Scena ta, wcale nieprzyjemna dla Maksa, bo dziewczę za dziecko uważał i wstydził się rozbudzonego uczucia, byłaby go w kłopot wielki wprawiła, gdyby w sieni matka nie zaczęła głośno wołać Carlotty.

Rzuciła się więc ku drzwiom, łzy ocierając, a gdy matka weszła nazad do mieszkania, pożegnawszy wzrokiem Simonisa, zniknęła.

Przy obiedzie gospodarz butelkę wina podać kazał, wypito zdrowie miłego ziomka. Wymożono na nim słowo, iż powróci, jeśli mu się nie powiedzie w Saksonii, że o sobie napisze i doniesie; nareszcie, gdy się godzina odjazdu zbliżyła, Carl fartuch zrzucił, włożył surdut, wziął kapelusz i laskę, chłopcom kazał zabrać tłómoczki i prze-

prowadził pana kawalera do gospody, aby go woźnicy polecić.

We drzwiach stała jejmość i Carlotta, żegnając długo chustkami.

W gospodzie znaleźli już zachwalony ów powóz podróżny dla osób dystyngowanych, zaprzęgający się właśnie końmi chudymi, które na dychawiczne wyglądały. Było to starożytne pudło, ogromne, na dwóch drągach zawieszone, ze skórzanemi firankami i dwoma siedzeniami z tyłu i z przodu. Oprócz tego na wysokich kozłach obok woźnicy mógł się mieścić jeden podróżny, dwóch mniej wymagających z tyłu na desce, do której przywiązany był zmiękczający ją wór z sianem. Szerokie dwa stopnie mniejszej objętości osóbkom wybornie służyć mogły za siedzenia. Wysokie i grube koła i cała budowa, niezmiernie trwałą wydająca się, wszystko to utrzymać przyobiecywała.

W chwili, gdy kawaler nadchodził, pakowano właśnie węzełki i tłómoczki podróżnych, których czterech było oprócz naszego Szwajcara.

Trzej mężczyźni i jedna kobieta składali towarzystwo. Pani ta mocno wyróżowana i ubielona, ubrana nie bez pretensyi pewnej, zdawała się, mimo młodocianych ruchów, należeć przynajmniej do osób drugą młodością obdarzonych, bo pierwszej nie było śladu.

O ile z pod osłonek widać było rysów twarzy, zdradzały one już mnogie lata żywota i doświadczenia. Oczy tylko jeszcze czarne świeciły blaskiem niepospolitym, a usznurowane usteczka przypominały, że niegdyś małemi być musiały. Dziś dwie fałdy przy nich dawne dołki zastąpiły. Osoba ta zajęła sobie zawczasu miejsce w powozie najpoczestniejsze i najwygodniejsze, ostawiła się

workami, na kolanach miała chustki i torebki i zamyślona wielce na świat zaledwie raczyła spoglądać.

Obok niej sadowił się w trójgraniastym kapelusiku i płaszczu szarym, z laską w ręku, niemłody człowiek, z twarzą dziadka do orzechów, bezzębną i zapadłą, milczący i poważny. Obie ręce trzymał na swym bambusie, który miał głowę pozłacaną. Trzeci podróżny, który oświadczył się do kozła za mniejszą opłatą, wyglądał na dawnego wojskowego. Wąsy miał wywoskowane twardo, harcapik mały i płaszcz z szarego płótna, który odzież okrywał. Drab to był ogromny, pleczysty i milczący. Wewnątrz na przedzie, obok kawalera de Simonis, miejsce miał zająć maleńki jegomość niepomiernie otyły, któremu brzuch zdawał się ciężyć, bo nieustannie ocierał czoło z potu i sapał, a poruszał się z trudnością. Na krótkich a grubych nogach osadzony, niecierpliwił się, że nie jechano, i klął po niemiecku zcicha. Węzełki jego już były przymocowane, a on sam, zobaczywszy, że konie za chwilę miały być gotowe, począł się niezgrabnie drapać do tej arki Noego. Nikt mu nie pomagał i kawaler de Simonis, tknięty litością, wyciągnął rękę, aby go wywindować do góry, za co wdzięczne otrzymał wejrzenie. Gdy tłuścioch siadł, powóz się widocznie na jedną przechylił stronę; wszyscy po sobie spojrzeli, ale cóż było radzić na to.

Uścisnąwszy poczciwego Carla, który otarł oczy i poszedł żywo do domu, ażeby miękkości serca nie zdradzić, kawaler zawinął się w płaszcz, zasunął w kątek swój, nogami tak rozporządził, ażeby naprzeciw siedzącej pani nie zawadzały, i wehikuł ów z hałasem i wołaniem wielkiem przez wysoki próg, o który stuknął tak, że w nim chrzęstnęły odwieczne żelaziwa, wydobył się szczęśliwie na ulicę.

Kawaler de Simonis był tedy na drodze do saskiej stolicy.

Sposób ten podróżowania, niezbyt oszczędny nawet, miał i tę niedogodność, że się przeciągał nad miarę. Popasano na dzień razy dwa, nie śpiesząc, odpoczywano i wydychiwano razy cztery, stawano na noc niezbyt późno i z Berlina do Drezna kilka dni potrzeba było. Droga przytem ciągnęła się piaskami, lasami głuchymi, krajem pustym, dzikim, niewiele zamieszkanym, wśród którego oko nawet spocząć nie miało na czem, oprócz chudej i powypalanej sośninki.

W miesiącu lipcu, przy skwarze, utrapione to było jechanie. Lecz że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło (tak przynajmniej chce przysłowie), podróżni, sprzężeni z sobą na dni kilka, byli zmuszeni uczynić bliższą znajomość.

Kawaler de Simonis, niezmiernie zawsze ostrożny w interesie własnej skóry, którą nawykł był szanować, nie śpieszył z robieniem znajomości i rozwiązaniem ust, które mu polecono trzymać zamkniętemi. Spoglądał, przypatrywał się, czynił postrzeżenia różne, ale sam jak ślimak się chował w swej skorupce, unikając śledczych wejrzeń swoich towarzyszów podróży.

Piękna jego twarz młoda musiała sympatyczne uczynić wrażenie na przywiędłej jejmościance, siedzącej naprzeciw niego, gdyż kilka razy spotkał jej wejrzenie skierowane na siebie i natychmiast trwożliwie uciekające w drugą stronę, gdy je na tym gorącym pochwycił uczynku. Upał zapewne wyrwał kilka westchnień z czułej piersi niegdyś pięknej jejmości, z którą znajomość zrobił kawaler de Simonis, przyniósłszy jej drugiego dnia szklankę wody. Odtąd zaszczycała go wejrzeniami coraz śmiel-

szemi i zdaje się, że tylko świadkowie niepotrzebni opóźnili rozpoczęcie poufnej rozmowy.

Jegomość, oparty na lasce, a pozbawiony zębów, który, obok brudnych mankietów, miał na palcu chudym wspaniały pierścień z jakimś pompatycznym kamieniem, absolutnemu ślubował milczeniu. Zatopiony był w myślach, wzdychał, zaglądał niekiedy do zegarka jajowatego, który piastował na piersiach, i możnaby było powiedzieć, że patrzał w niebo, gdyby ono nie było w powozie reprezentowane skórzaną deką, noszącą na sobie groźne ślady przeciekania.

Tłusty sąsiad kawalera de Simonis jadł i pił prawie całą drogę. Między krótkiemi nóżkami umieszczony miał na ten cel koszyk wypakowany dobrze i z niego czerpał do utrzymania życia zasoby. Jeżeli jeść i pić nie mógł, zasypiał, a naówczas przechylał się to na żelazne pręty od firanek, które go rychło ze snu budziły, to na ramiona kawalera, znoszącego cierpliwie ten nadmiar ciepła i wilgoci. Znudzony opowiadał swoją historyę całą, nie czyniąc z niej tajemnicy. Był on rymarzem, a raczej właścicielem warsztatu rymarskiego w Berlinie, a córkę miał za podoficerem saskim w Dreznie. Jeszcze przed wieczorem wiedzieli wszyscy, iż mu pilno było na chrzciny wnuka, że saski zięć jego byłby złoty człowiek, gdyby nie pił i nie kłócił się; że Dorotka była śliczna kobiecina, i że on kilka tysięcy talarów czystego miał w rok dochodu, dom nad Sprewą, a po ludziach kapitały.

Za to od staruszka bez zębów nic się nie było można dowiedzieć, ani zeń wyciągnąć; snadź złe towarzystwo, w które wpadł, ignorował umyślnie. Niekiedy tylko robił miny znaczące i zdające się mówić:

— A cóż to za szuja! a żebyż prędzej się z tego czyśćca wydobyć!

Drugiego dnia na popasie, ponieważ czasu było poddostatkiem, a karczma, gdzie się woźnica zatrzymał, ciasna i brudna otoczona była cienistym laskiem sosnowym, kawaler de Simonis usiadł spocząć w chłodku. Tu znalazła się urożowana jego towarzyszka i nieznacznie zawiązała się rozmowa. Z niej dowiedział się Maks, iż podróżująca zwała się mademoiselle Doris, że należała do składu teatru francuskiego w Dreznie, nieco dawniej, że miała w życiu des grands malheurs, i że napróżno w Berlinie starając się o pomieszczenie, wracała do możnych i znaczących dawnych swych przyjaciół i protektorów w stolicy saskiej.

Starała się ona wybadać nawzajem kawalera, który zbył ją ogólnikami. Dała mu nawet do zrozumienia, iż protekcya, na którą rachowała, starczyłaby na dwoje, gdyby jej potrzebował, na co Maks podziękowaniem jak najgrzeczniejszem odpowiedział. Do zasad jego należało niczem nie gardzić, a starać się korzyść wyciągnąć ze wszystkiego.

Panna Doris, która panieński swój tytuł wyraziście i dobitnie uczuć dawała (niktby się go inaczej nie domyślił), mówiła w istocie o saskiej stolicy, jako o miejscu doskonale sobie znajomem.

Zrazu nieco powściągliwsza, rozgadała się potem wielce i obszernie, dowodząc, że z całych Niemiec było to może jedyne miejsce, gdzie żyć umiano i gdzie przyzwoici ludzie żyć mogli.

— W Berlinie tylko żołnierzom dobrze — dodała — piękny mi teatr, gdzie spektatorami są dwa bataliony piechoty, które się mieniają. Połowa tych gburów słowa po

francusku nie umie. Saski dwór, król, to przecie cywilizowani ludzie i znają się na tem, co piękne...

Widocznie niesmak jakiś wynosiła z sobą z Berlina panna Doris. Kawaler słuchał tylko, ale z taką inteligencyą, iż coraz do wynurzeń skłonniejsza artystka zaprosiła go, aby ją w Dreznie odwiedził, i stanowczo przyrzekła zająć się jego losem.

— Brühl, gdy był jeszcze kawalerem, mogę powiedzieć, że się kochał we mnie — szepnęła cicho — chciał mnie wydać za bardzo ładnego Sasa... ażebyśmy się nie rozstawali, ale mnie naówczas co innego było w głowie... Albożem nie mogła się spodziewać przynajmniej taką zrobić karyerę, jak Barberini... ale...

Westchnienie dokończyło.

Mężczyzna, z woźnicą siedzący na koźle, który, przez całą drogę z ust fajki nie wyjmując, kurzył zapamiętale, objawił się drugiego dnia jako eks-wojskowy pruski, jadący do szwagra w odwiedziny. W kampanii śląskiej dostał był kontuzyę w nogę, która mu służby czynnej pełnić nie dozwalała; był więc żonatym i z małą pensyjką przy pracy żył wygodnie. Z rozmowy jego z woźnicą dolatywały do wnętrza ciekawe urywki, dowodzące, że był wielkim wielbicielem Fritza, chociaż razy kilka dobrze od niego dostał po grzbiecie.

Sławny Pfund, bez którego król Fryderyk nigdzie się ruszyć nie mógł, i który go tak doskonale wozić umiał, iż przez całe życie raz pono tylko wywrócił, był rodzonym bratem eks-grenadyera. Chlubił się tem żołnierz niemało, bo przez Pfunda więcej można było dokazać czasem, niż za protekcyą szambelanów i ministrów.

Droga w tem towarzystwie nikogoby nie znudziła, gdyby nie wrażenie przykre, jakie czynił milczący po-

gardliwie, z zaciśniętemi ustami stary grat na lasce oparty. Wszyscy mieli wstręt do niego.

Tłusty, naprzeciw siedzący rymarz w ciągłych milczących był zapasach z nogami sąsiada, które na jego terytoryum się wdzierały. Nie mówili do siebie nic, ale rymarz, mając milczka tego za arystokratę, mścił się na jego nagniotkach...

Naostatek, pod wieczór, gdy się właśnie na burzę zbierało, a panna Doris spoglądała z obawą na skórę nad głową, obiecującą przeciekać niezawodnie, ukazało się Drezno na horyzoncie, a kto je ujrzał, powitał wesołym okrzykiem. Tylko nieporuszony dziadek ani głowy nie wychylił, ani dał znaku życia. Rymarz z radości koszyk pusty, który trzymał między nogami, precz na gościniec wyrzucił, wołając:

— Hopsa!

Kawalerowi de Simonis poruszyło się coś w piersiach; panna Doris szepnęła mu, że tu może najpiękniejsze godziny życia swojego strawiła.

Gwarno zrobiło się i na koźle i w powozie.

Wkrótce potem ciężki powóz toczył się po bruku tej części miasta, która dawniej zwała się starą, a od czasów Augusta Mocnego została na nowe miasto przeznaczoną.

Stąd od złoconego posągu nieboszczyka króla (o którym mówili Sasi, iż go tyłem do miasta postawili umyślnie, aby sobie do Warszawy od nich jechał), widać było bramy i mury miejskie za Elbą i przepyszny most, wiodący ku zamkowi. Widok stąd był wspaniały, gdyż naówczas jeszcze wśród murów i kamienic ogrodów było mnóstwo, a zielone drzew klomby rozweselały szare ścian szeregi.

W lewo, w najpiękniejszem miejscu, ponad ciężkie

kurtyny i baszty zamku wznosiły się pałace i ogrody wszechmogącego, królewskiego ministra Brühla, jego galerye obrazów, altany i cały ten taras Brühlowski, który był naówczas jedną z najwspanialszych rezydencyi w Europie, godną króla. Augustowi III też pochlebiało, iż jego minister mógł monarchom się równać i przyjmować koronowane głowy.

Z przeciwnej strony piętrzyła się kaplica króla katolicka, mająca rozmiary kościoła, ale żadnego dzwonu. W protestanckiem państwie tolerancya naówczas nie dochodziła do tego, aby obcemu wyznaniu dozwolić wołać głośno do modlitwy. Z wieży, zaledwo dokończonej, odejmowano właśnie rusztowanie.

Już około starego mostu ruch miejski otoczył podróżnych. Mnóstwo panów, pań, kawalerów na koniach, liberyi wspaniałej, powozów wytwornych przesuwało się z miasta do miasta. Przed niektórymi biegli laufrowie pstro strojni, przed innymi jechali konni, rozpędzając zgraję. Widok był ożywiony, choć niewesoły. Lud szedł przygnębiony, milczący, patrząc ponuro i żałobnie... dworska służba pozwalała sobie zuchwale.

U mostu wstrzymano powóz dla formalności celnych i paszportowych, które zabrały dość czasu. Wszyscy iść musieli meldować się do kordygardy. Staruszek milczący, spełniwszy tę formalność, znalazł sobie człowieka, który zabrał pakunek jego, i nie żegnając się z nikim, zniknął.

Kawalera de Simonis woźnica obiecywał zawieźć do przedziwnej gospody, która się zwała Trompetter Schlösschen, a piękna niegdyś mademoiselle Doris tymczasowo także chciała się tam umieścić pod jego opieką. Wprawdzie Maks oświadczył jej, iż natychmiast musi sobie prywatnego szukać mieszkania, ale i ona także miała to w myśli, a sama jedna lękała się pozostać.

Trompetter Schlösschen naówczas znajdował się niemal za miastem i nie miał wcale powabnej powierzchowności; izdebka od podwórza, którą dano kawalerowi de Simonis, była ciemna i cuchnąca, lecz nazajutrz obiecywał uciec od niej i od Doris. Ponieważ wieczór jeszcze nie był późny, odpoczynek w zadusznem mieszkaniu nieponętny, sąsiedztwo zaś panny dosyć niesmacznem dla kawalera, oczyściwszy się nieco, pośpieszył wybiedz do miasta. Dar oryentowania się miał niepospolity i temu przypisać należało zapewne, że, niewiele błądząc, znalazł się na Starym Rynku. Po Berlinie nowym i szeroko rozłożonym Drezno wydało mu się ciasne, lecz przypomniało stare szwajcarskie miasta i powagą swą uczyniło na nim wrażenie.

Rozglądał się właśnie po rynku, niewiele troszcząc się o to, za kogo wezmą go ludzie, gdy obok niego przesunęła się lektyka, na którą nie uważał; z lektyki wysunęła się głowa w peruce siwej, z oczyma czarnemi, i za targnięciem sznurka, tragarze ze swym ciężarem stanęli tuż obok kawalera de Simonis.

Teraz dopiero obejrzał on się mimowolnie i w oknie ujrzał z otwartemi od podziwienia ustami starego swojego stryjaszka Ammona, którego raz tylko widział w życiu, ale mu jego rysy na wieki w pamięci pozostały. Zapomina się często ukochanych, lecz rzadko tych, do których się żal zachowało w duszy.

Zobaczywszy tę przykrą twarz surową i zimną, z wyrazem gniewnym i dzikim, z policzkami obrzękłymi i oczyma wypukłemi, których białka jakby krwią były zabiegłe, Simonis się cofnął, odwrócił i chciał iść dalej, gdy grzmiący głos nań zawołał:

— Maks! Maks!

Niepodobna było zbuntować się całkowicie, Simonis

przytem rad był może powtórzyć radcy Ammonowi, iż go wcale nie potrzebuje; przyłożywszy więc rękę do kapelusza, od niechcenia, powolnie zbliżył się ku lektyce.

— Co ty tu robisz? — krzyknął radca — po co tu przyjechałeś?

Kawaler zamilczał chwilę, a potem odparł powoli:

— Przepraszam pana, ale jakiemże prawem bada mnie pan o to!

— Jakiem prawem! — huknął głos z lektyki — jakiem prawem! Ty mnie, młokosie, o prawo będziesz pytał! o prawo! a to przedziwne!...

— Panie radco — zawołał zimno kawaler, umyślnie kładąc nacisk znaczący na ten tytuł, który wszelkie pokrewieństwo wyłączał — panie radco, od naszej pierwszej i ostatniej rozmowy niema między nami nic wspólnego; ja waćpana o nic nie proszę, nawet o radę, a pan mnie nie masz prawa pytać o nic.

To mówiąc, skłonił się i chciał odchodzić, ale radca skinął na tragarzy, którzy podnieśli wieko lektyki i stary, laskę pochwyciwszy, z kapeluszem pod pachą, pogonił za odchodzącym.

— Słuchaj, Maks... ty jakiś — wołał radca — nie bądź... głupim. To, com uczynił, gdym cię pierwszy raz przyjął, było dla twojego dobra. Ale co ty tu robisz? u kata! Mów! Dawno tu jesteś?

— Od godziny — odparł Simonis — i widzę, że mi się w stolicy saskiej powodzić nie będzie, gdy na pierwszym kroku pana radcę spotykam.

Ammon na lasce się podparł.

— Młokosie — rzekł — ha! w Berlinie się nie poszczęściło: ani ładna twarzyczka, ani mowa układna nie pomogła, przyszedłeś szczęścia szukać tu... gdzie? na

dworze? u Brühla? po starych babach! I myślisz, że tu ci pójdzie lepiej?

Simonis uśmiechnął się szydersko.

Nie rad był wydawać się z tajemnicami swemi, ale mu się chciało okrutnie pomścić nad kuzynem.

Jakby obelżywa ta mowa dotknąć go nawet nie mogła, Maks popatrzał z politowaniem na Ammona, rękę jedną wsunął do kieszeni i odezwał się, cedząc wyrazy powoli:

— Nie gonię tu za niczem: mam interesa.

— Saperment! waćpan masz interesa? Jakież to? kieszonkowe? spódniczkowe? czy...

— Moje interesa do mnie należą — odpowiedział żywiej Simonis — ale pan radca, który mi tak wszedłeś w drogę, ażeby mnie znowu połajać, z obowiązków krewnego znając tylko ten jeden karcenia młodzieży, pan radca mógłbyś mi uczynić przysługę, któraby go nic nie kosztowała.

Ammon zmieszał się nieco.

— Potrzebuję adresu pana Beguelina, którego mam polecenie odwiedzić — dodał Simonis.

Między starym Ammonem a Beguelinem, choć obaj byli Szwajcarowie, oddawna wrzała głucha wojna i współzawodnictwo. Ammon miał się za zwierzchnika, a Beguelin go pomijał i wprost się z Berlinem znosił. Nazwisko Beguelina poruszyło starego do najwyższej niecierpliwości.

Przyskoczył do Maksa.

— Na cóż ci ten Beguelin? na co?

— To już rzecz moja, adres-bym tylko chciał wiedzieć.

Stary popatrzał długo, splunął, namarszczył się, ra-

mionami ruszył i, nie powiedziawszy słowa więcej, powrócił do lektyki, którą ku zamkowi nieść kazał.

W tę samą stronę poszedł też zwolna kawaler de Simonis, dosyć rad z siebie, iż się staremu Ammonowi równą monetą wypłacił.

W ciaśniejszej ulicy do zamku wiodącej dosyć było gwarno, śpieszono na koncert i teatr do króla. Lektyki i powozy zdążały wszystkie w tę stronę i kawaler nasz miał sposobność przypatrzyć się przepysznym liberyom, koniom, perukom, służbie galonowanej, a nawet pięknym główkom kobiet, które gdzieniegdzie z karet i portechaise wyglądały.

Wśród tego natłoku pierwszy raz w życiu z podziwieniem dopatrzył też strojów wschodnich, jakich nigdy nie widział, biorąc zrazu panów polskich za jakichś posłów z dalekiej krainy. Mnóstwo ich tu się kręciło, ściągając oczy przepychem ubioru, szabel i powagą twarzy wypogodzonych.

Stanąwszy u muru kamienicy, tak się w ten różnobarwny tłum wpatrzył, iż wcale nie uważał, jak naprzeciw niego stanął młody, ale starszy już od niego mężczyzna, który z równą, jak on tłumowi, uwagą, jemu się przyglądał. Obchodził go z jednej i drugiej strony, badał twarz, zdawał się niepewnym, naostatek przystąpił do niego z ukłonem.

Był to mężczyzna lat trzydziestu może, wystrojony nader wytwornie, woniejący jakimś pudrem fiołkowym, w peruczce cudnie w pukielki małe ułożonej, we fraku aksamitnym lila z białą atłasową podszewką. Pończochy wyciągnięte, jak struny, trzewiki ze srebrnemi klamrami na korkach ponsowych, rękawiczki, z których jedną trzymał w rączce białej, nadawały mu wybitny charakter dworaka i eleganta.

Na koronkami oszytej koszuli wśród piersi błyszczał brylantami osadzony szmaragd, jak liść rośliny z kraju czarów.

Trącił zamyślonego Simonisa.

— Pardon! czyżbym się mylił? kawaler de Simonis?

Usłyszawszy swe imię, drgnął dopiero i oczy skierował na mówiącego Maks.

— Na Boga! — zawołał — Robert Blumli!

Rzucili się sobie na szyję.

— Skądże? Jakże? — sypnęły się pytania.

Blumli był tak samo, jak i kawaler de Simonis, wychodźcem z okolic berneńskich, z tą różnicą, że pieszo wywędrował, umiejąc niewiele i nie wiedząc dobrze, jakiemu się zawodowi poświęcić. Wyszedł stamtąd z młodością i świeżością dziecięcia gór, wykarmionego wonią ziół alpejskich i mleczywem stad szwajcarskich, silny, zdrów, wesół, krzepki; pozostała mu wprawdzie i teraz piękność, przybyło elegancyi, ale ten kwiat świeży nadwiądł nad Elbą.

Blumli wyprzedził Simonisa o lat kilka.

Wzięli się pod ręce.

— Znać, że ci się całe dobrze wiedzie, Robku mój— zawołał rozweselony kawaler — wyglądasz mi na pana!

Smutno się jakoś uśmiechnął Blumli.

— Nie mogę się skarżyć! — odparł cicho.

— Prawdziwe to dla mnie szczęście, żeśmy się spotkali — dodał Simonis — byłeś mi zawsze przyjacielem, mam nadzieję, że i teraz nie odmówisz opieki wędrownikowi. Nic nie potrzebuję zresztą, oprócz obeznania się z miejscowością. Ale ze stroju twojego widzę — dodał — żeś miał plany na wieczór, proszę cię, idź, nie czyń żadnej dla mnie ofiary; znajdziemy się jutro.

— Najmniejszej ofiary nie czynię — rzekł Blumli — wyszedłem właśnie z koncertu, a chciałem odetchnąć świeżem powietrzem: do jedenastej jestem wolny. Zabieram cię więc z sobą, do mnie, a tam rozmówimy się od serca.

Nieopodal stała lektyka pana Blumli, drugą kazał wyszukać dla Simonisa, gdyż, jak się okazało, stał na Pirnajskiem przedmieściu. Pierwszy raz w życiu zapakowany do pudełka, kawaler odetchnął w niem, rad, że mu los nadarzył tego ziomka. Zebrał jednak myśli i postanowił jak najmocniej nie wygadać się z niczem.

Wydobywszy się za mury, lektyki mogły iść obok siebie, ludzie niosący nawykli byli do równego chodu, mogli więc, nie lękając się być podsłuchanymi, dalszą rozmowę prowadzić po francusku. Obu im przypomniał się kraj i więcej na ten raz mówili o Bernie, o młodości, o swych latach spędzonych pod śnieżnemi Alpami, niż o Saksonii i o teraźniejszych swych losach.

Lektyki stanęły u bramy pięknego domu; zadzwoniono; otworzyły się wrota i wniesiono ich obu pod schody, na których dwóch lokajów czekało. Blumli wziął przyjaciela pod rękę i zdumionego dosyć prowadził na górę.

— Nie jesteś przecie żonaty? — zapytał, oglądając się na swój strój podróżny, Simonis.

Blumli się rozśmiał, trzęsąc głową.

— Bynajmniej! — Westchnął, potem spuścił oczy, a wtem drzwi się otworzyły i weszli do bardzo pięknego salonu.

Jedno z przysłów, powtarzających się we wszystkich językach, powiada słusznie bardzo: „Jaki pan, taki dwór“... Ad exemplar pana urabiają się ci, co go otaczają, przyjmują jego upodobania, nabierają niemal fizyognomii. Tak za Augusta Mocnego już świetność, przepych, zbytek, weszły w życie u Sasów; dwór bawił się w płoche miłostki, jak pan, sypał, jak on, pieniędzmi i lubił go, o ile mógł, naśladować. Tak potem syn jego przejął po nim zamiłowanie w przepychu, zabawach, ucztowaniach, w myśliwstwie. Brühl był swojego czasu największym zbytnikiem i marnotrawcą, pomimo że miliony zostawił po sobie, drugie tyle ich przeżył. Dwór jego liczył się na seciny ludzi, a Hennicke, który począł służbę od lokaja, bez czterech w liberyi ludzi u powozu nie ruszał się z domu. Najmniejsi urzędnicy zbytkowali na właściwą skalę, upodobanie w pięknej odzieży, klejnotach, porcelanie, cackach kosztownych było powszechnem.

W tym względzie porównanie życia i dworu króla pruskiego stanowiło najskrajniejszą sprzeczność. Fryderyk II nie miał nigdy nawet półtora tuzina koszul; chodził w brudnej, buty nosił łatane, na wielkich uroczystościach dworu, dla oszczędzenia świec, nie zapalano ich w jednej sali wprzódy, aż goście z drugiej wychodzić mieli, tak, że na weselu którejś z księżniczek długi czas cały dwór stał w ciemnościach, oczekując na światło. W bocznych salach palono po jednej świeczce. Wszystko szło na ten sposób, ale siedemdziesiąt milionów talarów leżało na przypadek wojny i Fryderyk przez czas siedmioletniej walki wprawdzie część sreber posłał do mennicy, wprawdzie bił fałszywe talary, ale u nikogo nic nie pożyczał. Stół, ubranie, utrzymywanie dworu, wszystko było w tym sposobie. Rachunki przeglądał Fryderyk i dopisywał na boku, ażeby kanalie nie kradły! Nauczony tym przykładem dwór wprawiał się do oszczędności, opłacano go bardzo skromnie. W Saksonii zaś, gdzie Brühl żył po królewsku, gdzie jednej opery przedstawienie kosztowało czasem sto tysięcy talarów, wszyscy chcieli naśladować króla i Brühla... Każdy potrzebował

zbytku. I w chwili właśnie, gdy się to opowiadanie zaczyna, Saksonia miała doskonałą operę i piętnaście tysięcy wojska, Prusy mizerny dosyć teatr, na który chodzili żołnierze, i sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi pod bronią; Saksonia miała długów po uszy, a Prusy kapitały. Po skromnych mieszkaniach Berlina apartament takiego małego człowieczka, jak Blumli, zdumiał niewypowiedzianie przybywającego Simonisa. Dwóch lokajów kręciło się po pokojach, niezbyt obszernych, ale jak gniazdeczko miękkie i ciepłe, wygodnie i świecąco wysłanych. Zwierciadła, porcelany, kobierce, obrazy, kazały się zamożności domyślać.

Kawaler de Simonis oglądał się, jakby wszedł nagle do zaczarowanego pałacu.

— Jesteś tu u siebie? — zapytał ziomka.

Blumli uśmiechał się ciągle smutnie, miał minę raczej znudzoną, niż szczęśliwą.

— Tak jest — rzekł — to moje mieszkanie, i wszystko, co w niem widzisz, moje...

— No, to ci winszuję...

— Ach!... — powtórzył Blumli i spuścił oczy. — Dziękuję ci.

Siedli obaj, podano wino, owoce, cukry i ciasta.

— Jesteś więc w urzędzie i widzę, że ważne zajmować musisz miejsce?... — dodał Simonis.

— Ja? jestem jednym z nadliczbowych sekretarzy ministra — cicho odezwał się Blumli, jakby się tego wstydził — ale z tego stanowiska u nas dochodzi się do wszystkiego.

— I wiele musisz mieć zajęcia?

— A! parę godzin z rana w kancelaryi — odparł, urywając żywo Blumli — wieczorami zaś... wieczorami, muszę być... na pokojach...

— Na szczęśliwego człowieka, który się tak rychło dorobił — rzekł, śmiejąc się, Simonis — jakiś mi się wydajesz kwaśny...

Blumli przymuszonym uśmiechem pokrył widoczny zły humor. Nie chciał się więcej tłómaczyć i zwrócił rozmowę.

— Cóż ty myślisz? — zapytał.

— Ja? myślę się rozpatrywać, uczyć, poznawać, i nie pilno mi wcale... Miałem do przybycia tu — dodał, kłamiąc bardzo zręcznie, jak na poczynającego dyplomatę — miałem powód bardzo ważny. Sam osądź! Słyszałeś, że Ammonowie są moimi blizkimi krewnymi. Przyjechawszy do Berlina, stawiłem się u starego radcy, który mnie przyjął, jak psa w kręgielni, i niemal za drzwi wypchnął. Naówczas dałem sobie słowo, że bez pomocy jego potrafię sobie dać radę i, postarawszy się o listy polecające, przybyłem tu właśnie, aby mu się kręcić pod nosem... Ta zemsta tak mi się powiodła szczęśliwie, że dziś, zaledwie wysiadłszy, jużem się z nim na ulicy rozprawił.

Blumli słuchał z natężoną uwagą.

— Wspomniałeś o listach polecających: za pozwoleniem, mogę wiedzieć, do kogo je masz?

Zawahał się nieco Simonis, bo się nawet przed przyjacielem zwierzać lękał.

— Czym mówił o listach? — podchwycił — jeśli tak, to była poetyczna amplifikacya, bo mam w istocie jeden tylko i to do Beguelina.

— Do Beguelina! — z lekceważeniem powtórzył Blumli. — Mój biedny Simonisie, ja tu nic nie znaczę, ale gdybyś list miał do mnie, wyszłoby to prawie na jedno... Do Beguelina! ale cóż taki niby rezydent pruski uczynić dla ciebie może! chyba cię, jako emisaryusza

pruskiego, skompromitować, gdyż my tu wcale nie lubimy Prusaków... My, to znaczy... Brühl, bo Brühl jest tu wszystkiem.

— Ależ ja także za Prusaka uchodzić nie mogę, kiedy stamtąd ze strachu głodnej śmierci wynosić się musiałem... — rzekł Simonis.

Blumli zdawał się namyślać.

— Życzę ci dobrze — odezwał się. — Chcesz się czegoś dorobić? Niema innej drogi, tylko się dać poznać Brühlowi, stać mu się potrzebnym i dworować koło niego.

Blumli spuścił oczy, westchnął i zamyślił się.

— Czy i ty tą drogą doszedłeś? — spytał Simonis.

— Nie inną — szepnął Szwajcar i, podniósłszy oczy, zdał się chwilę przyglądać ciekawie Simonisowi.

Potem wstał, przechadzać się począł, niby od niechcenia, wyglądając przeze drzwi, czy ich kto nie podsłuchuje i, przekonawszy się snadź, iż mógł mówić bezpiecznie, siadł blizko, aby prawie do ucha Simonisowi szeptać:

— Przez kobiety, mój kochany, wiele się tu rzeczy dzieje; wyjąwszy królowę, która się modli i plotkami żyje, reszta tych pań lubi młodzież i szuka w jej towarzystwie rozrywki... Jeżeli serce twe wolne, a podwiędłe i nieco zblakłe wdzięki nie czynią ci wstrętu... próbuj szczęścia.

Simonis uśmiechnął się, nie mówiąc nic długo.

— Hę! — rzekł wreszcie — człowiek, co się fortuny dorabiać musi, drożyć się z sobą nie może. Ja natwet wolę starsze panie, bo te do ołtarza nie prowadzą, a zakuć się w wiekuistą niewolę nie miałbym ochoty.

Rozśmiał się jakoś przymuszonym i niezdrowym śmiechem, a Blumli westchnął.

— Tam — rzekł — na pruskim dworze, kobiety nic

nie znaczą. Królowa siedzi, jak na wygnaniu, Fryderyk nie kocha się nigdy, płeć piękną traktuje, jak żołnierzy na mustrze. Tu u nas, począwszy od starej Faustyny, od niemłodej Moszyńskiej i podstarzałej Brühlowej, baby rej wodzą potajemnie; no, i księża — dodał zcicha.

— Inny świat...

— Nie lepszy! — rzekł Simonis — ale pewnie łatwiej się doń wcisnąć i bezpieczniej w nim żyć.

— Ha! bezpieczniej — przerwał Blumli, krzywiąc usta — bezpieczniej? tam jest Kistrzyn i Spandau, a my tu mamy Koenigstein i Pleissenburg... ba! ba! Jak dla kandydata do faworów, dobrzeby ci historyę Seyferta powiedzieć...

— Jakiego Seyferta?

— Mógłbym ci go jutro gdzie na przedmieściu pokazać, bo dziś już jest wolny, ale mu się w ulicach pokazywać nie godzi. Lat temu sześć, Seyfert miał apartament daleko piękniejszy od mojego, był sekretarzem do spraw wojskowych przy ministrze i hrabina go bardzo lubiła, bo był tak ładnym, jak ty, chłopcem... Dziś, gdybyś go zobaczył, skóra i kości, żółty, przygarbiony, kaszlący, ma lichy domek na przedmieściu i biedę klepie.

— Cóż zawinił? — zapytał Simonis zdumiony.

— Jakby ci to wytłómaczyć! — odparł Blumli. — Zakochał się w garderobianej hrabiny Brühl, bardzo ładnem dziewczęciu. Doniósł o tem zazdrosny współzawodnik... spotkała go niełaska, poszedł precz z sekretarstwa. Prawda, że nieostrożny: chcąc się mścić na Brühlu, pisał listy do Holandyi, aby mu psuć kredyt... listy połapano i Seyfert skazany został na śmierć. Hrabina wstawiła się za nim przez pamięć dawnych stosunków i stawiono go tylko pod pręgierzem na Nowym Rynku, a kat go wypoliczkował...

Blumli zbladł, słów mu zabrakło, popił winem szybko i dokończył:

— Tylko sześć lat wysiedział na Koenigsteinie, ale sześć lat w wilgotnej izbie, bez słońca, bez powietrza, bez nadziei, bez słowa pociechy; sześć lat takich, mój Maksie, nie jest-że to sześć wieków konania? Rozumiesz ty, co to jest z młodością w głowie, z sercem bijącem, z duszą głodną świata, sześć lat pazurami drzeć kamień zimnych ścian więzienia?

Simonis wzdrygnął się cały.

— Daj mi pokój z takiemi łaskami i z taką do fortuny drogą — rzekł głosem złamanym. — To nie dla mnie. Mówmy o czem innem.

Blumli przerwał rozmowę i począł mówić o piękności okolic, o przyjemnościach życia, jakby i on sam też potrzebował zatrzeć wrażenie własnego opowiadania.

— Jakkolwiek — dodał — jeżeli tu posiedzisz, prezentować się trzeba Brühlowi i poznać jego i to, co go otacza. Człek i rzeczy ciekawe... Jako kawaler Maks de Simonis, podróżujący dla nauki i rozrywki, będziesz zawsze dobrze przyjętym. Wprawdzie moja protekcya ci nic nie pomoże, ale nie zaszkodzi przynajmniej.

Po chwili jeszcze rozmowy przerywanej, która wiele dała do myślenia naszemu awanturnikowi, ponieważ godzina nadchodziła, o której Blumli powinien się był znajdować na pokojach ministra, wyszli razem, a Simonis, podług drogi wskazanej, pieszo pociągnął do swojej gospody.

Nazajutrz z rana chciał oddać swe listy polecające, wyszukać Beguelina i baronową Nostitz. Zręcznie bardzo, nie obudzając niczyjej uwagi, oba adresy dostał w aptece na Starym Rynku. Beguelin stał niedaleko na przedmieściu Wilsdrufskiem w małym domku z ogródkiem.

Bosa dziewczyna przyszła drzwi otworzyć. Drewniany, lichy dworek mieścił na lewo kancelaryę rezydenta, a na prawo jego mieszkanie. Sam Beguelin, który za pozwoleniem Fryderyka razem dyplomatyczne zajmował stanowisko i obok tego serami handlował, był starym, niepoczesnym, trędowatym, łysym człowiekiem, żywego i zgryźliwego temperamentu, skąpym i chciwym. Chciano Simonisa oddać na łup kancelaryi, lecz gdy oświadczył, że ma list, który do rąk musi oddać, puszczono go do zabrukanego gabinetu pana radcy. Siedział w brudnym przyodziewku, boso, w pantoflach, z okularami na nosie u biurka, pisząc jakieś rachunki. Gdy Simonis wszedł, przyjął go zrazu z krzykiem:

— Po co? czego? co za list? jakie u dyabła interesa?

Nie odpowiadając nic na to, de Simonis podał mu papier, a gdy Beguelin go rozpieczętował i spojrzał nań, stał się cud. Zagniewana twarz wyjaśniła się, czoło wygładziło, usta przybrały rozmiary do śmiechu właściwe i z wielką gracyą, gubiąc jeden pantofel po drodze, radca wskazał kawalerowi siedzenie na kanapce czarną włosiennicą pokrytej, sam uprzejmie zajmując przy nim miejsce.

— Przepraszam cię, szanowny kawalerze — rzekł, brudną od tłustego sera i atramentu rękę kładąc mu na kolanie — nasze nieszczęśliwe obowiązki narażają nas na ciągłe opędzanie się nieznośnym natrętom. No cóż? cyfry nie mam czasu czytać; odcyfruję ją później. Co słychać w Berlinie?

Simonis odparł, że wiadomości nowych nie przywiózł żadnych.

— Byłem wprawdzie — rzekł dla dodania sobie wagi — w wigilię odjazdu w Sans-Souci i miałem szczęście najjaśniejszego pana oglądać, a nawet mówić z nim...

ale, o ile mi się zdaje, tam właśnie stąd, od Drezna oczekują wiadomości.

Beguelin dał znak ręką, wstał, z okularami zasiadł nad cyfrą, szybko ją porównywając z dobytym z szufladki zamkniętej kluczem; potem opatrzył drzwi, siadł znowu przy Simonisie i, rękę zwinąwszy w trąbkę, puścił mu przez nią w ucho:

— Tu się zbiera na burzę!! tak... niema się co łudzić. Austrya się łączy z Rosyą, a zdaje się i z innymi dworami na nas... Saksonia może jeszcze nie podpisała traktatu, ale to lada dzień nastąpi; Brühl się targuje, ile mu za to dadzą; bo on też pieczeń swoją przy tem upiec musi.

Simonis słuchał z wielką uwagą, ale nie odpowiedział nic.

— Polecono mi listy od hrabiny de Camas składać na ręce pana radcy — rzekł.

Beguelin skłonił głowę.

— Lecz — dodał cicho Simonis, w rolę swoją wchodząc — pozwolisz mi pan radca, abym się tu jak najmniej pokazywał, bo...

— Suffit! — odparł Beguelin.

— Mógłbym się tłómaczyć, żeśmy obaj ziomkowie, bo i ja Szwajcarem jestem.

— A ja byłem! byłem! — poprawił Beguelin i machnął ręką.

— Ponieważ nic przed radcą taić nie chcę — dodał Simonis — muszę i to dodać, że radca Ammon jest moim blizkim krewnym.

Beguelin zerwał się z kanapy, podniósł nogę, zgubił pantofel i porwał się za łysą głowę.

— A to proszę do niego! — I pokazał na drzwi — u mnie tu nie macie co robić.

Simonis się nie poruszył.

— Przepraszam — odezwał się — stary Ammon jest egoista obrzydły, którego znać, z którym obcować, do którego się zbliżyć wstręt mam. To niegodziwy człowiek.

Zdumiony Beguelin podniósł głowę do góry, prychnął i nagle, zbliżywszy się do Simonisa, podał mu obiedwie ręce.

— Suffit! — rzekł — jesteś szlachetnym młodzieńcem. Idź i niech cię bogowie prowadzą po tej chropawej drodze, którą sobie obrałeś.

Już się żegnali, gdy Beguelin do ucha szepnął gościowi:

— Szpiegostwo tu kwitnące: język za zębami, oczy pod powiekami, ręce w kieszeniach trzymać należy, a w pisaniny, bilety i t. p. praktyki się nie wdawać. Kantorki zamykane na klucz nie pomagają... Adieu!

Stąd udał się kawaler de Simonis na Nowy Rynek, gdzie w starej kamieniczce o trzech oknach od czoła mieszkała na drugiem piętrze baronowa Nostitz.

Z opowiadania hrabiny de Camas spodziewał się już kawaler de Simonis znaleźć w niej rówieśnicę swej protektorki. Kamieniczka do niej należała. Zdaleka na drugiem piętrze zobaczył okna poodmykane i klatki w nich ptaszków pełne. W przedpokoju jasnym u okna siedziała niemłoda służąca z pięcioksięgiem protestanckim na kolanach i pończochą w ręku wełnianą. Ponieważ nie dosłyszała, jak się okazało, Simonis musiał bardzo głośno w ucho jej krzyczeć, że przybywa z listem od hrabiny de Camas. Gospodyni snadź to wprzód usłyszeć musiała, niż stara Gertruda, gdyż drzwi od pokoju się otworzyły i jejmość maleńka, pomarszczona, w wysoko stojącym czepku białym, przewiązanym w pół wstążkami karma-

zynowemi, których końce na ramiona jej spadały, wyszła uśmiechnięta, zapraszając gościa do pokoju.

Tu było bardzo ładnie, czyściuchno, a nawet dosyć wesoło.

Ptaszki w klatkach sejmikowały bardzo głośno, słońce złociło stare mebelki, mnóstwo po ścianach portretów w perukach i czarnych wystrzyganych sylwetek za szkło oprawnych. W kącie stał staruszek fotelik na cieniuchnych nóżkach, a na nim leżała gitara z wstążką niegdyś niebieską. Piesek bonończyk, tak tłusty, że zaledwie, kołysząc się na krótkich nóżkach, powoli mógł się z miejsca na miejsce przenosić, wystąpił naprzeciw przybyłego, powąchał go i ziewnął. Staruszka w białym czepcu, uśmiechając się, krzesełko wskazywała. Simonis już jej był list wręczył, z którym poszła do okna. Wyczytanie go nie kosztowało wiele czasu, żwawa gosposia przebiegła oczyma pismo, usta jej przybrały uśmiech pełen uprzejmości i zbliżyła się do kawalera.

— Jakże się ma moja Zośka? — zapytała. — Zdrowa? Reumatyzmy jej nie dokuczają?

Simonis zapewnił ją o dobrem zdrowiu hrabiny de Camas.

— Ot jak to w naszym wieku, ani ja do niej, ani ona do mnie dojechać nie możemy, a tak się kochamy.

Mówiąc to, przypatrywała się z uwagą wielką nietylko twarzy, ale ubraniu i całej postaci gościa; zdawała się go badać i chcieć odgadnąć.

Pochyliła mu się do ucha.

— Cóż was tu sprowadza? — spytała i, palec podniósłszy do góry, położyła go na ustach znacząco. Nie czekając nawet odpowiedzi, szepnęła: — No, wiem, wiem; ale bądźcież ostrożni! bardzo ostrożni!

I schyliwszy się bliżej jeszcze Simonisa, który nagiął się ku niej, poczęła, osłaniając usta rękoma nieco drżącemi.

— Niema wątpliwości, że spisek na Berlin knują. Tak! tak! już się nawet podzielili całą fortuną Fryderyka. Tak! Rosyi mają się dostać Prusy za koszty wojny; Ślązk odbierze Austrya, Magdeburg i Halberstadt dadzą królowi saskiemu, Szwedzi wezmą Pomeranię, Francya Neufchatel; a i na resztę znajdą się amatorowie.

To mówiąc, załamała ręce i, jak w tęczę patrząc na Simonisa, głową kiwała.

— Maż to tak być? — dodała, ożywiając się — ja się nie spodziewam po moim Brandeburczyku, ażeby na to pozwolił... Zobaczymy.

Szybko nachyliła się do ucha Simonisowi.

— Brühl jeszcze nic nie podpisał. To ja wiem — dodała tajemniczo — ale nie żeby mu na ochocie zbywało. O! nie! chciałby coś dostać za to! Biedne człowieczysko, tyle potrzebuje na te zbytki, a bez tych zbytków, jakżeby żył!

Kręciła się staruszka na kanapce, mówiąc to i coraz przypomniawszy sobie coś, pochylała się do ucha słuchającego.

— Wojska tu nie mają — rzekła — nie mają; jest tam tego z kilkanaście tysięcy do parady, ale więcej oficerów, niż żołnierza. Nasi grenadyerowie pruscy zjedzą ich na śniadanie! Ale sza! sza!

I, jakby jej coś znowu na myśl przyszło, poczęła dopytywać żwawo:

— Słuchaj-że, kawalerze! cóż tu myślisz robić? z kim żyć, którędy chodzić? nawet gdzie mieszkać?

— Mieszkania nie mam jeszcze!

— Brawo! — zawołała baronowa. — Wprawdzie na trzeciem piętrze, ale nogi masz młode, dwa pokoje jak

stworzone dla was, u mnie tu! Przecież balów dawać nie będziesz?

Simonis ramionami ruszył, staruszka z szuflady dobyła pęk kluczy, wyjrzała do przedpokoju, pokazała je Gertrudzie, która się domyśliła, o co chodziło, i Simonisa poufale po plecach poklepała odchodzącego z nią.

— Idź, zobacz; podoba ci się; będziesz miał tanio.

Już odchodził, gdy go za rękę pochwyciła.

— Grasz na jakim instrumencie?

— Trochę na skrzypcach i na klawicymbale, ale muzykę porzuciłem.

— Bobyś mi w nocy spać nie dał, a tego ja nie lubię — żywo rzekła pani Nostitz. — W dzień sobie graj, ile chcesz, ale wy młodzi macie zwyczaj do księżyca przygrywać, a ja tego znieść nie mogę.

Gertruda poprzedziła Simonisa na trzecie piętro, gdzie znalazł dwa pokoiki z małą antykamerą, całe wesołe i miłe. Zachodziło pytanie, co miały kosztować, gdyż z innych względów świadectwo staruszki było bardzo pożyteczne.

Niepytana stara służąca oświadczyła mu, że kancelista, który zajmował dawniej to mieszkanie, płacił za niego po trzy talary miesięcznie z usługą. Cena więc przystępną była. Składało się wszystko jak najszczęśliwiej. Baronowa potwierdziła wracającemu Simonisowi cenę i układ został zawarty pocałowaniem ręki. Poufne informacye, tyczące się nierozlewania wody na posadzkę, nierobienia dziur w ścianach, oszczędzania sprzętów i restytucyi szkła, któreby stłuc się mogło, udzieliła jeszcze staruszka przyszłemu lokatorowi i Simonis pobiegł się przenosić.

Jakoż wieczorem był już we własnem swem mieszkaniu i, nie czekając dłużej, wszystkie pochwytane tu wia-

domostki spisywał jak najstaranniej dla hrabiny de Camas, tak, że drugiego dnia, rano, Beguelin, mocno zdziwiony, odebrał list do przesłania. Zakłopotał go ten pośpiech widocznie.

— Kawalerze kochany — rzekł — miałbym ci jedną uwagę do uczynienia... jesteś nadto gorliwym, nauczysz ich wymagać wiele, a niezawsze krowy mleko dają. Przytem wiatr nosi po ulicach takie śmiecie czasem, że tego posyłać nie warto.

Simonis zmilczał i list został wysłany.

IV.

Był to czas największej ministra Brühla potęgi i nikt jeszcze nie przeczuwał, jak skała Tarpejska Kapitolu może być blizko. Wiedziano, że w Saksonii po ojcu Mocnym panował August III, spokojny, pobożny, lubiący operę i polowanie, szlafrok i fajkę; lecz widywano go tylko, gdy do Hubertsburga puszczał się na łowy, lub w loży kaplicy, albo w teatrze. Saksonią rządził nie z bożej, ale królewskiej łaski Brühl i, po kilku próbach strącenia go z tronu, naostatek przyszli wszyscy do tego przekonania, iż póki życia króla, dopóty panowania Brühla.

Król, który jadł, pił, spał wyśmienicie, strzelał dowoli i bawił się operą i błaznami swymi, galeryą obrazów, a jak najmniej nudną polityką, nie mieszał się do niczego. Zapytywał czasem o pieniądze i usypiał spokojny zaręczeniem, iż jest ich nad miarę i potrzeby.

W istocie z nieporównaną sztuką i zręcznością pieniądze dobywano z pod ziemi. Opodatkowane było szczelnie wszystko, tak, że pono nawet żebracy od jałmużny podatek płacili; nikt mruknąć nie śmiał, w ostateczno-

ści pożyczano grosza u Holendrów, brano go, gdzie tylko się nawinął, i wprawdzie wojsko było niepłatne, ale opera stała świetnie.

Ostatnie odniesione przez Brühla zwycięstwo nad hrabią Lynarem dowiodło, iż w walkę z nim wdawać się było niepodobieństwem.

Hrabia Maurycy Karol Lynar, za cesarzowej Anny poseł w Petersburgu, po ustąpieniu z tej posady, bez zajęcia mieszkał w Dreznie z tytułem radcy tajnego. Minister wiedział bardzo dobrze, iż zbierał przeciwko niemu wiadomości i grawamina, które chciał do uszu królewskich przynieść dogodną porą, ale król był obsadzony tak, iż bez pozwolenia ministra nikt do niego dostąpić nie mógł, a Lynarowi zawsze towarzyszył przez grzeczność sam Brühl, wprowadzał go i wyprowadzał.

Wojsko naówczas od dwudziestu ośmiu miesięcy płatne nie było. Lynar znalazł śmiałego pułkownika, który stan armii jak najdobitniej opisawszy, w suplice do tronu wzywał litości pańskiej. Manewrowano tak jakoś zręcznie, iż mimo szpiegów, króla otaczających, suplika znalazła się na stoliku w takiej chwili, gdy królowi nic ją przeczytać nie przeszkadzało.

Można sobie wystawić przerażenie Augusta, gdy, marząc o operze, paląc fajkę, odczytał nagle to pismo okropne, a tak stanowcze podające fakta, cyfry i dowody, iż ich nic zbić nie mogło.

Król pobladł strasznie i natychmiast kazał przywołać Brühla, który się niczego nie domyślał. Była to chwila odpoczynku. Minister, otoczony swoimi, w najlepszym humorze zabawiał się wesoło, gdy paź wpadł, wołając go natychmiast do króla. Brühl najpewniejszy był, iż wojna między Włochami ojca Guariniego i Faustyny wybuchnąć musiała. Ubrał się szybko i zaniesiono go

na zamek. Jedno spojrzenie na króla dostatecznem było do przekonania, że coś nieskończenie ważniejszego zajść musiało. Król, nie mówiąc słowa, podał mu suplikę pułkownika. Kto inny uczułby się przybitym, okazał pomieszanie, dał poznać po sobie trwogę. Brühl zawsze był przygotowany do odegrania takiej sceny dramatu życia, jaką okoliczności nakazywały. Nie drgnął jeden muskuł jego twarzy. Spokojnie odczytał do ostatniej litery i, złożywszy papier, schował do kieszeni.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł — wiernie służąc Waszej Królewskiej Mości, zasłaniając go piersiami memi, dzień i noc pracując, aby najlżejsza chmurka nie zaćmiła horyzontu, musiałem razem z łaską Waszej Królewskiej Mości zarobić sobie na nienawiść zazdrosnych, występnych, niegodziwych ludzi. Ci nie wahają się nawet potwarzą mnie obrzucać, byle obalić mogli i w oczach Waszej Królewskiej Mości oczernić, aby mi serce jego odebrać. Jest to najnikczemniejsze kłamstwo! ofiaruję się do jutra dostarczyć Waszej Królewskiej Mości dowody najautentyczniejsze, iż wojsko żołd aż do ostatniego miesiąca co do grosza odebrało.

Król spojrzał zdumiony i odetchnął.

— Brühl, i to prawda?

— Najjaśniejszy Panie, stawię głowę.

— Więc to nikczemna potwarz?

— Albo formalna waryacya! Nie rozumiem — dodał Brühl. — Zaklinam Waszą Królewską Mość, aby to wieczornego strzelania nie przerywało, ani dobrego humoru: jutro się wszystko wyjaśni!

Skłonił się i wyszedł, ucałowawszy podaną rękę królewską. W przedpokojach podwojono najściślejsze straże, aby się żywa dusza do króla dostać nie mogła. Brühl kazał się nieść do ministeryum wojny. Pracowano tam

całą noc, jak? niewiadomo. Dosyć, że z ostatnich miesięcy pokwitowali wszyscy płatnicy pułkowi, jako żołd odebrali. W nocy Hennicke zjawił się u pułkownika, który niespokojny czekał skutku swojej supliki. Otaczała go rodzina, siostry, żona, dzieci w trwodze śmiertelnej.

Hennicke zażądał pomówić z nim na osobności.

— Panie pułkowniku! — rzekł — oto są kwity z zapłaconych wojsku żołdów aż do ostatniego miesiąca. Mam rozkaz aresztowania go i zawiezienia na Koenigstein, dopóki się sprawa podanej przez niego supliki i oskarżenia nie wyjaśni.

Pułkownik zbladł, ale rzekł:

— Jadę...

— Panu pułkownikowi wiadomo — dodał Hennicke — że o ile wrota jadącemu do Koenigsteinu szeroko się otwierają, o tyle wyjść przez nie trudno. Gdy tego można uniknąć... Idzie o bardzo małą rzecz; pułkownik podpisze tylko oto to zeznanie, iż czasami miewa napady melancholii i marzenia czarne: to nikomu krzywdy nie czyni.

— Nigdy w świecie! — zawołał pułkownik.

— Jedziemy więc na Koenigstein...

Rodzina nieszczęśliwego, słuchająca pode drzwiami, na samo imię Koenigsteinu przerażona wpadła, płacząc i ręce łamiąc.

Hennicke zbliżył się do żony.

— Pani — rzekł — mnie was żal, niech pułkownik darmo nie ginie. Proścież go, niech papiery podpisze, a będzie wolny.

Dzieci, żona, krewni otoczyli pułkownika, który, złamany ich prośbami, zeznanie, iż bywał na umyśle nieprzytomny, podpisał. Nazajutrz tryumfujący Brühl kwity złożył królowi, wstawiając się usilnie za nieszczęśliwym

pułkownikiem, aby mu się nic złego nie stało. Wymógł też na królu, iż mu dano prostą dymisyę z pensyą dożywotnią i naznaczono mieszkanie w dalekiej mieścinie w górach.

Hrabia Lynar śmiał się z tego cały wieczór i odtąd prób obalenia Brühla nie przedsiębrał więcej.

Opowiadanie to w parę dni po przyjeździe swym kawaler de Simonis usłyszał od Blumlego. Tegoż dnia, ponieważ minister z królem na łowy pojechał był pod Schandau, Blumli przyrzekł Simonisowi okazać wszystkie wspaniałości pałacu i rezydencyi ministra.

W istocie było tam co widzieć i czemu się dziwować. Sama przestrzeń, zajęta gmachami, pałacem, ogrodami, galeryą, belwederem, ogromne sumy kosztować musiała. Widok stąd na Elbę i na wyniosłe brzegi okryte lasami był zachwycający.

Trzynaście domów z ogrodami zakupić było potrzeba, aby na ich ruinach tę monarchiczną wznieść rezydencyę, którą Balkonem Drezna nazywano. Jeden z najzdolniejszych budowniczych, Knöfele, dawał plany gmachów, na które kosztu ani zachodu w doborze materyału nie żałowano. Brühl miał tu teatr, galeryę, bibliotekę, kioski, posągi i fontanny, jak król na Zwingrze.

Simonis zdumiał się, przebiegając sale pałacu, powybijane chińskiemi materyami, gobelinami, złoconą skórą, wśród których marmurowe medaliony, olbrzymie zwierciadła, a nad niemi sufity malowane w blasku najżywszych farb jaśniały. Wszystkie kominy były z porcelany, najwytworniejszemi ozdobami okrytej; wszystkie piece zdawały się starożytnymi jakimiś pomnikami. Porcelana była wszędzie, od podłogi począwszy do świecznika u sufitu i figur na gierydonach.

W osobnym składzie mógł admirować osłupiały

Szwajcar sławny serwis, który milion talarów był ceniony. Ile tam ludzkiej pracy w tem misterstwie utonęło, ile dni poszło na te zabawki, ile sztuk wyszafowano marnie na niedojrzane drobnostki!

W każdej sali, w każdym pokoju inny zegar kunsztowniejszy coraz ściągał oczy, a wszędzie kapało złoto, bo niem i drzwi, zamki i okna były wykładane.

Sprzęty drogocenne i fraszki same były nieobliczonej ceny.

Blumli, który znał się ze wszystkimi, pokazał mu teatr, zaprowadził do stajen, w których stało trzysta koni, i szepnął po cichu, że ta cała ciżba sług należała do pierwszego ministra. Dwunastu kamerdynerów, dwunastu paziów, marszałek dworu, koniuszowie, berejterzy, kucharze, pisarze, lokaje, w liczbie okrągłej stu głów, zapełniali wszędzie przedpokoje i podwórza. Większa część dworzan składała się ze szlachty niemieckiej i polskiej. Wolano naówczas służbę Brühla, niż królewską. W kredensach stosy złoconych i srebrnych talerzy, pucharów, dzbanów, roztruchanów, przypominały skarby królewskie.

Weszli nareszcie do garderoby.

Brühl był jednym z pierwszych, jeśli nie najwybredniejszym z elegantów ówczesnych. Suknie wszystkie sprowadzał z Paryża. Każdy ubiór miał właściwe do barwy i smaku: zegarek, tabakierkę, trzcinę i szpadę. Dwie sale ogromne ledwie starczyły na pomieszczenie sukien ministra. Na stole oprawna w safian leżała książka, w której wszystkie stroje w miniaturach były odmalowane; Brühl wskazywał tylko, który sobie wybierał. Ceniono te dwie sale na pięćdziesiąt tysięcy talarów. Spis, który Simonis mógł przejrzeć, zawierał pięćset ubrań, z których blizko dwieście szytych, stokilkadziesiąt szamerowanych, sześćdziesiąt przeszło bogatych bardzo, czterdzieści jedwabnych, trzydzieści kilka aksamitnych i t. p. Do tego należały niezliczonych kształtów kapelusze, stosy piór do nich, futra, zarękawki, masy koronek, przeszło sto zegarków, osiemset tabakierek, szpady, laski, flaszeczki i trzysta flasz wody de la reine d'Hongrie, bez której zapasu minister żyć nie mógł.

Przepych był olśniewający; ten pierwszy sługa króla Augusta III wspanialej daleko żył, niż król Fryderyk II, który chodził w butach podartych. Blumli zaprowadził go jeszcze do osobno stojącej biblioteki w ogrodzie, złożonej z 70,000 tomów, której katalog sam sześćdziesiąt jeden foliantów składały. Nietykany ten skarbiec odziany był cały w safian ponsowy i szamerowany złotem, jak suknie ministra. Brühl musiał mieć wszystko i to, co miał, najwspanialszem być musiało. Ponieważ hrabia Henryk von Bünau-Dahlen pod Dreznem mieszkający w Nöthnitz przepyszną słynął biblioteką, przy której Winkelman był sekretarzem i zawiadowcą, Brühl, nie dając mu się prześcignąć, skupił księgozbiór i trzymał do niego uczonego Heynego. Ponieważ król lubił i kupował obrazy, minister także musiał mieć galeryę mistrzów, którą tak, jak król, sztychować kazał.

Galerya mieściła się w budynku osobnym, w którym niekiedy wielkie dawano obiady i wieczerze. Sala miała długości przeszło półtorasta łokci, i co sobie naówczas powtarzano ze zdumieniem, była o całe osiemnaście łokci dłuższą od słynnej galeryi zwierciadlanej w Wersalu. Obrazy w złoconych ramach z herbami pana wisiały tylko naprzeciw ogromnych okien, wychodzących ku Elbie. Pomiędzy oknami temi ściany wykładane były zwierciadłami do sufitu, a przed każdą z nich na marmurowym postumencie stały posągi i popiersia starożytne.

Król niekiedy przychodził się bawić widokiem tych pięknych płócien, o których wiedział, że mu je Brühl testamentem swym przeznaczył, choć później los zrządził inaczej.

Przebiegając ogród, pałac, gmachy, kawaler de Simonis osłupiał, oniemiał i zaczynał nabierać takiego pojęcia o potędze Brühla i Saksonii, że mu się Prusy wydały zuchwałemi, śmiejąc się porywać na te splendory. Ci, co je posiadali, musieli przecież myśleć o ich zachowaniu i obronie. Niepojętem i to było dla niego, że gdy w Sans-Souci i kołach wyższych nad Sprewą wszystko się zdawało zbierać na wojnę i do niej gotować, tu nic widać nie było, coby ją przeczuwać dozwalało. Zabawy i sprawy podatkowe, to jest ssanie pieniędzy, a utrzymanie karności i posłuszeństwa, były jedynem zajęciem stojących u góry urzędników. Blumli zaraz mu dał uczuć, iż po nawyknieniu do pewnej swobody gęby i mowy w Berlinie, gdzie król śmiał się z satyr i pamfletów, dozwalał paplać, co się komu przywidziało, byle słuchał i płacił, — Saksonia wymaga nowej nauki życia. Tu mówić de publicis, a wogólności co się w urzędowym języku nazywało „raisonniren", najsurowiej było wzbronione. Rezonujący, szczególniej o podatkach i o sprawach polskich, dostawali się bez sądu do Koenigsteinu. Nicht raisonniren! było hasłem i maksymą! Za śmiałe słowo Fryderyk karcił czasem kijem, częściej śmiał się z niego, bo słowo dlań nie miało wagi. Sam on słowem tem kunsztownie władał i znał, ile ono waży i może, a jak długo trwa. Nieposłuszeństwo karał śmiercią, paplaniną pogardzał. Tu inny świat, cały zbudowany z fikcyi i na kłamstwach, lękał się prawdy, pękającej jak bomba, któraby tę budowę wątłą w gruzy obrócić mogła. Z jednej strony był cynizm posunięty do najostatniejszego kresu, bo do bezwstydu i szyderstwa z wszelkiego sromu; z drugiej fałsz ubrany za boginię pełną wdzięku, malowaną, całą w szychach, w farbowanych strzępach pokrywających łachmany i uśmiechach sączących z siebie śmierć i truciznę...

Dwa takie światy musiały z sobą wystąpić do walki, choćby Ślązka do zdobycia i utrzymania, Czech do zawojowania, Saksonii do wyssania nie było. Zło w dwóch odmiennych postaciach musiało wystąpić do boju i niszczyć się wzajemnie. Brühl był reprezentantem najidealniejszym kłamstwa, Fryderyk cynizmu; ani dziw, że się nienawidzili... Ale Brühl nienawiść swą okrywał głębokim na pozór poszanowaniem; Fryderyk nazwiska nawet pierwszego ministra nie chciał wymówić nigdy, jednego tylko z wierzchowych koni przezwał Brühlem. Brühl spiskował przeciwko niemu po cichu, ostrożnie, wykrętnie, ściągając krok stanowczy do chwili ostatniej; Fryderyk, gniewny, nie chcąc go znać ani widzieć, zemstę zań kładł na barki Saksonii.

Mając za sobą Austryę, Francyę, Rosyę, Szwecyę, pierwszy minister był pewny, że pokona łatwo Brandeburczyka. Nie trwożyło go to, że nad 15,000 wojska nie miał więcej; kilkakroć sto tysięcy otoczyć miało na dany znak Fryderyka. Spać więc na Brühlowskim tarasie, w tem złocistem gnieździe, mógł spokojnie. Tak mu się zdawało...

W Dreznie nie zadawano sobie nawet pracy zbyt skrzętnie dowiadywać się o to, co się działo w Berlinie. Tajemnica spisku i aliansów zdała się doskonale zachowaną. Nie domyślano się wcale, iż Fryderyk miał wszędzie swoich, co mu o najdrobniejszych donosili wypadkach; że z kancelaryi samego Brühla szły kopie wszystkich aktów i listów do Berlina; że najmniejszy ruch,

myśl, ledwie się zrodził, był zdradzonym. W Berlinie był niepokój pokrywany pozorem obojętności i zaufania w sobie, w Dreźnie ślepota dziwna i zarozumiałość niesłychana.

Ale nad Sprewą oddawna w najściślejszej tajemnicy czyniono przygotowania; bataliony i pułki ciągnęły nieznacznie na granice, małymi oddziałami, nocami, rozpierzchłe, tak, aby w kraju o nich nie wiedziano prawie. Główna armia kupiła się pod rozkazy króla i jego wodzów; w przedpokojach paziowie szeptali już o Ślązku: lecz poza taras w Sans-Souci nie wyszło stąd nic. W Dreznie tymczasem kupowano obrazy, gotowano się do nowej opery i król polował, a Brühl pieniędze przesypywał oblane łzami i potem biednych ludzi.

Simonis, który był chłopakiem pojętnym, patrząc na to, co się tu działo, doznawał dziwnego wrażenia. To bezpieczeństwo, ta obojętność zdawała mu się na czemś opartą, a więc straszną. Lękał się więcej o Berlin, niż o Drezno.

Sardanapalowski przepych ten onieśmielał go i przerażał.

Poza nim nie mógł ani domyślić się, ani uwierzyć w taką lekkomyślność olbrzymią, w takie zaślepienie niepojęte, jakie w istocie miał przed sobą. Blumli pozapoznawał go z urzędnikami, otaczającymi Brühla i Brühlową: byli to wszystko panowie tak dumni, strojni, ukameryzowani, uperfumowani, wyzłoceni, jak ich pan i pani. Pieniądz zdawał się tu nie mieć wartości, a zdobycie jego było rzeczą silnej woli. Z rozmów pochwytywał, że, gdy potrzeba gwałtowniejsza wypadła, urzędnik akcyzy lub poborca jechał z oddziałem żołnierzy na prowincyę i wracał z sumą żądaną.

Co chwila szeptał mu Blumli:

— Oto ten nie miał przed dwoma laty koszuli na grzbiecie, a dziś ma dwóch kamerdynerów i karetę.

Przebywszy ranek cały ze Szwajcarem, Simonis, zbogacony wrażeniami i pochwytanemi plotkami, pośpieszył do domu, gotując się do obszernej korespondencyi. Już miał wejść na trzecie piętro, gdy drzwi się otworzyły na drugiem i głucha Gertruda dała mu znak, że jej pani prosi go do siebie.

Staruszkę zastał tym razem już nie w owym domowym czepcu białym ze wstążkami, ale w wysoko napiętrzonej peruczce, ubraną starannie, z mnóstwem pierścieni na palcach i wachlarzykiem w ręku. Stała w progu, kiwając na niego. Poza nią widać było młodziuchną, rumianą, śliczną twarzyczkę dzieweczki lat może osiemnastu, której puder jeszcze świeżości i barwy dodawał. Dalej stał poza nią w mundurze gwardyi saskiej oficer młody, niepowabnej ale marsowej twarzy, blady, żółty, jakby wymęczony, z konwulsyjnemi jakiemiś poruszeniami, które mu nie dodawały uroku. Dzikie wejrzenie, wydymanie ust, ściąganie twarzy jakby mimowolne, długo nań bez przykrości patrzeć nie dozwalały. Rzuciwszy nań zdala tylko wzrokiem, Simonis poczuł jakiś wstręt i obawę. Za to ta różyczka z oczyma niebieskiemi, biała i różowa, jak cukierek, drobnych kształtów, śliczniuchna, zachwyciła wchodzącego. Oczu od niej nie mógł oderwać. W pośrodku saloniku stół był właśnie na trzy osoby, a Gertruda, snadź domyśliwszy się sama, czwarte niosła nakrycie.

— Chodź-że waćpan, kawalerze de Simonis — odezwała się baronowa — ale chodź: czatowałam na niego. Mam tu gości, a czwartego do stołu nam brakło; musisz zły obiad zjeść z nami. — I poczęła go prezentować, a potem, wskazując na panienkę, odezwała się: — Synowica

moja, panna Pepita Nostitz (włoskie imiona były w modzie), tak zapalona Saksonka, jak ja jestem Prusaczką. A to — dodała — mój dobry przyjaciel, pan kapitan baron Feulner.

Simonis skłonił się obojgu, ale na piękną Pepitę patrzał, jak w tęczę, a że był młody i wiele miał też wdzięku, baronówna obdarzyła go wcale uprzejmem wejrzeniem. W każdym razie, wolała pewnie patrzeć na niego, niż na niespokojnie wywijającego twarzą barona Feulner'a, który tymczasem cienkiego wąsa pokręcał, nie mając co począć z rękoma. Staruszka kazała zaraz siadać do stołu i rozporządziła tak, że po prawej ręce miała synowicę, po lewej Simonisa, naprzeciw barona. Gość więc nasz wystawiony był na ogień tych oczu niebieskich, na pozór łagodny, pociągający, ale rodzący niepokój jakiś i prawie obawę.

Panna, pomimo młodości swej, a może właśnie dlatego, że była niedoświadczoną, patrzała tak śmiało, uśmiechała się tak swobodnie, jakby ją nowy przybysz wcale nie obchodził.

— Mów-że nam waćpan — odezwała się stara — gdzieś był? co widziałeś, kogoś poznał?

— Jeszcze myśli zebrać nie potrafię — odparł Maks — po tylu wspaniałościach na Brühlowskim dworze, w głowie mi się zawraca.

Staruszka i Feulner spojrzeli po sobie znacząco.

— Tak — wtrącił Feulner — jeżeli się nie mylę, pan jakiś czas bawiłeś w Berlinie; po tamtej stolicy dziwnie się to wydawać musi. Przyznam się, że dla Saksonii wolałbym koszary, niż teatr, i obóz, niż galeryę.

Stara pogroziła na nosie.

— Kapitanie, Nicht raisonniren! Ostrożnie! Wprawdzie Gertruda głucha, ja milcząca, kawaler de

Simonis obcy, Pepita, to papla i Prusaków nie cierpi. Myślę nawet, i mnie kochać nie może, jakby powinna, dlatego, żem się Prusaczką urodziła.

— Ależ, kochana stryjenko — przerwała porywczo ładna panienka — ja tak mało znam świat, że do nikogo nienawiści mieć nie mogę; — że swój kraj kocham i że mi się tu wydaje lepiej, ładniej, milej, czyż to grzech?

Staruszka pocałowała ją zdaleka.

— Ja tobie wszystko przebaczam.

Gertruda wniosła zupę i rozmowa się przerwała na chwilę, ale oczy kawalera de Simonis prowadziły ją dalej z panną, która się wcale nie obawiała tej wymiany wejrzeń i nie spuszczała powiek przed natrętem. Czy się to kapitanowi Feulnerowi podobało, nie wiem; ale krzywił się straszliwie. Zaczęto mówić o dworze.

Pepita należała do frejlin królowej.

— Cóż tam porabiacie? — pytała stara.

— Modlim się i zbieramy plotki, bo czemżebyśmy żyły? — odpowiedziała baronówna — nie wesoło u nas, za to na tarasie u ministra wszystko wesele się chroni...

— Masz słuszność. O! udało ci się — zawołała staruszka — w istocie i wesele i życie, i bogactwo tej biednej Saksonii pochłania...

Dziewczę się rozśmiało i przerwało stryjence:

— A! nicht raisonniren!

Baronowa się też rozśmiała.

— Masz słuszność, o tem mówić nie wolno; choć stara, mogłabym pójść na wygnanie.

Kapitan Feulner jadł zupę, a z pod oka wpatrywał się w Simonisa. Znalazł sposobność wkrótce, pochyliwszy się ku niemu, zapytać:

— Dawno z Berlina?

— Dni parę!

— Tam co słychać?

— A! — rzekł Simonis — w Berlinie zupełnie nic nie słychać... oprócz maszerowania żołnierzy...

— A w Sans-Souci?...

— Jeszcze mniej: charciki króla szczekają.

— Żadnych nowin politycznych?

— Cisza zupełna...

Feulner się zamyślił.

— Dziwna rzecz: u nas nigdy się tak nie krzątano, jak dzisiaj, choć niema koło czego.

Spojrzał na baronową.

— Nie dziwiłbym się wcale, gdyby tam cisza pokrywała jakąś robotę, a nasza krzątanina osłaniała próżniactwo...

Spojrzenie starej gospodyni zamknęło mu usta. Pepita spytała Simonisa, czy się bawiono nad Sprewą.

— O balach i zabawach nie słychać wcale — odparł Simonis — królowa czasem przyjmuje po obiedzie... u księcia Henryka bywają zabawy huczne, ale na samym dworze nie byłoby się komu bawić!...

— A stary Pöllnitz żyje też? — spytała baronowa.

— W najlepszem zdrowiu, może dlatego, że mu król gorzkich pigułek nie szczędzi — rzekł kawaler.

Kapitan Feulner zapytał o generała Lentulusa i Warnery, baronowa o lorda Marichal, a po nich z kolei imiona Winterfeldta, von Anhalta, Coccejego wyrywały się z ust, tak, że widać było, iż dwór Fryderyka nie był pytającym obcy.

— A widziałeś-że pan kanclerzową Coccei? — spytała baronowa.

— Miałem raz to szczęście — rzekł Simonis.

— I wiesz waćpan, kto ona jest? — szepnęła pani Nostitz.

— Niegdyś słynna Barberini.

— Tak, tak, słyszeć musiałeś jej historyę — dodała z gadatliwością wiekowi właściwą baronowa — ja naówczas byłam w Berlinie i wiem ją najlepiej. Niech tylko Pepita nie bardzo słucha, to ją opowiem. — Uśmiechnęła się baronowa. — Mówią o Fryderyku, że się nie kochał nigdy, no, ale bałamut z niego, jak i drudzy... Któż nie wie, że z Drezna sobie Formerę zabrał i w Orzelskiej był na zabój zakochany... A pani Wrech?... Tylko że u niego miłość zawsze trwa krótko. Już nie wiem, kto królowi zachwalił tak tę baletnicę, która się naówczas popisywała w Wenecyi... tę signorę Barbarę de Campanini, którą u nas przezwano Barberiną. Prawda, że Campanini naówczas już nietylko w Wenecyi, ale w Paryżu i Londynie w teatrze Common Garden zbierała oklaski. Zdaje się, że Bielefeld nią królowi nabił głowę. Pruski rezydent w Wenecyi już ją był umówił i kontrakt podpisał, na 7,000 talarów rocznie, gdy się jej za Szkota Mackenzie za mąż wyjść zachciało. W Berlinie czekano na nią, a tymczasem... fru! panna uciekła. Król sobie nie pozwala uchybiać łatwo, nawet baletniczkom. Bawił naówczas na terytoryum pruskiem przeznaczony posłem do Londynu od rzeczypospolitej weneckiej cavaliere Campello. Fryderyk zasekwestrował mu bagaże, pókiby mu Barberiny nie wydano. Stał się hałas okrutny. Wzięto jejmościankę pod wartę i rzeczpospolita odprawiła ją do granicy austryackiej, skąd uprzejmi Austryacy odwieźli ją na granicę saską, a Sasi wręczyli ją w całości naszym Prusakom. Mackenzie jechał, wzdychając, za nią. Tymczasem przybyła z matką do Berlina. Kazano jej wystąpić: podobała się królowi. Zamiast siedmiu, dano jej dwanaście tysięcy talarów i kawaler szkocki został odprawiony. Barberini nietylko była piękną, zręczną, ale roztropną, dowcipną, wesołą i król do niej przychodził na

wieczorki. Miała szczęście być zapraszaną do „Confidenztafel“ razem z panią Brand i wdową po hrabi Truchsessie. Na maskowych balach u dworu król też do niej chodził do loży. Nie przyznał się do tego Fryderyk nigdy, ale „charmante Barberina“ tkwiła mu w sercu i listy od niego często odbierała. Kochali się w niej na zabój wszyscy, miała w kim wybierać. Rottenburg, hr. Algarotti, cavaliere Chazot, bez miary Włochów, Francuzów, Rosyan, Anglików padało przed nią. Prawda, że była uroczą. A co Coccei dla niej wyrabiał! Na jednej reprezentacyi w teatrze dworskim signora tańcowała... Coccei zawsze stawał w pierwszym rzędzie, żeby żadnego ruchu jej pięknych nóżek nie stracić. Pewnego razu obok siebie spostrzega drugiego takiego zapaleńca, który oczy wywraca i od przytomności odchodzi... Barberini kilka razy spojrzała na niego. Tego już Coccejemu było zanadto. Pochwycił go w olbrzymie ręce i cisnął, jak piłkę, na scenę pod nogi Barberinie. Fryderyk patrzał z loży, wszyscy struchleli; sądzono, że Coccei zginął! Ojciec poleciał na klęczkach błagać o przebaczenie... posłano go tylko do Głogowa do twierdzy, aby ostygł nieco... Coccei jest dziś jej mężem, ale czy on szczęśliwy, i czy ona nie wzdycha, nie wiem.

Staruszka zmordowana zamilkła wreszcie. W czasie tego opowiadania, którego nie wiem, czy Simonis słuchał z uwagą, oczy jego ciągle były zwrócone na piękną Pepitę, tak, że choć mało mówili z sobą, zrobili wszakże, jeśli nie blizką znajomość, to przygotowanie do niej, wiele obiecujące...

Staruszka, która lubiła mówić o przeszłości, już miała począć drugą historyjkę podobną, gdy kapitan Feulner sprowadził rozmowę na domowe sprawy.

— Panna baronówna — rzekł — musisz to wiedzieć

najlepiej: wszak się nie mylę, ktoś z Wiednia w tych dniach musiał być u królowej?

— Nie wiem dobrze o tem — odpowiedziała baronówna. — Zresztą nie byłoby nic dziwnego, bo między królową a jej rodziną muszą istnieć stosunki.

— Słyszałem — dodał Feulner — że nigdy one częstsze i gorętsze, niż w tej chwili, nie były.

Popatrzał na baronową znacząco.

— Ja o tem sądzić nie umiem — szepnęła Pepita.

Tymczasem obiad skromny zbliżał się do końca, baron zdrowie gospodyni wypił z Simonisem... przyniesiono owoce.

— Król Fryderyk ma najpiękniejsze w Niemczech gruszki, brzoskwinie i winogrona — odezwała się baronowa — i pewnie ich więcej spożywa, niż którykolwiek z jego poddanych.

Na tem się skończyła pogadanka u stołu, gdyż wstawać trzeba było, a Gertruda dawała do zrozumienia, iż dłużej czekać nie może. Podnieśli się więc wszyscy.

Kapitan zbliżył się do gospodyni, którą na chwilową, cichą rozmowę odciągnął ku oknu, a Simonis korzystał z tej sposobności, aby się zbliżyć do baronówny i słów kilka z nią zamienić.

Oboje z naiwnością dziecinną niemal nie taili przed sobą, że się podobali sobie. Pepita spytała, czy zabawi w Dreznie; kawaler miał odwagę wyznać, iż radby ją widzieć znowu, a nie wie, gdzie będzie mógł spotkać.

— O! wszędzie! — odpowiedziało dziewczę — a najłatwiej u stryjenki...

Maksowi, nieskłonnemu wcale do łatwego zawrotu głowy, tym razem i serce biło, i młodość czuć się dała ze swą gorączką. Dziewczę tak było ładne, a tak zdawało się przystępne i miłe...

Wśród bardzo żywej rozmowy, wpadła, śmiejąc się, gospodyni i zawołała:

— O! o! proszę mi tylko nie bałamucić synowicy... bardzo proszę.

Z drugiej strony kapitan Feulner wziął go pod rękę i szepnął:

— Chodźmy, mamy do pomówienia z sobą.

Kawaler się żegnał z paniami, choć niechętnie, gdy baronowa przystąpiła do niego i cicho na ucho dodała:

— Polecam wam kapitana!!? To n a s z dobry przyjaciel.

Z tem wyszli; kawaler nie dobrze zrozumiał, co miało znaczyć to wyrażenie, gdy baron zażądał, aby razem wstąpili na górę. Simonis zgodził się na to chętnie. Milcząco przeszli schody, i gdy się w pokoju na spoczynek wygodny u okna rozsiedli, kapitan, obejrzawszy się dokoła, pochylony ku Simonisowi, mówić zaczął głosem zniżonym:

— Baronowa mówiła mi o panu... wiem, że mu zaufać mogę. Nie potrzebuję od niego żadnych zwierzeń, ale sam usłużyć może potrafię informacyą potrzebną...

Simonis zdziwił się trochę.

— Niech to pana ani trwoży, ani zdumiewa — spokojnie począł baron — we wszystkich warstwach, u góry i u dołu, znajdziesz pan ludzi, którym ten stan kraju dokuczył i których sympatye są gdzieindziej. Jest nas tu więcej, niż sądzisz, co pracujemy, aby nieznośnemu uciskowi i wyzyskiwaniu kraju przez niegodną gawiedź koniec położyć... Myśmy protestanci, dwór jest katolicki; ale niechby był, czem chciał, byle Boga miał w sercu. Gdybyś przejechał Saksonię i zobaczył jej nędzę, a postawił ją przy tym zbytku i marnotrawstwie, jakie tu panuje, pojąłbyś dopiero, co mamy w duszy. Muzyka

odzywa się nam jękiem, myśliwskie rogi chrapaniem konających... Po tych galonach złotych płyną łzy ludzkie. Tak dłużej być nie może. Król nie winien nic, to stare dziecko, które kołyszą, aby nie płakało, a gdy zapłacze, dają mu niedźwiedzia, tak jak dziecinie lalkę...

Baron wstał i odetchnął, a czoło potarł.

— Jestem wojskowym — dodał — wojsko bezpłatne, umiera z głodu... z głodu nęka włościanina i miasta... Wolno mu wszystko, byle się o żołd nie upomniało. Wojsko to nic nie jest warte... Ubrane w paradne mundury, może zdaleka błyszczeć, ale dwóch kampanii nie wytrzyma...

Simonis słuchał, nie śmiejąc się odezwać.

— Możesz mi wierzyć, że mówię prawdę, i na wiarę słów moich p i s a ć.

Tym wyrazem dał uczuć Simonisowi, iż jest wtajemniczony. Kawaler chciał zaprzeczać, Feulner się roześmiał.

— Pochwalam waszą ostrożność, ale ona ze mną nie jest potrzebną — dodał. — Skądżebym wiedział o was, gdyby mi znać nie dano, że otwarcie mówić mogę. Na mnie, na wielu innych rachujcie — dodał kapitan. — W Berlinie wiedzieć powinni wszystko. Na nas tu są oczy zwrócone, wy jesteście tu obcy, przez was płynąć tam powinny informacye... Ostrożność jednak nie zawadzi. Słodki Brühl nie waha się sprzątnąć człowieka, gdy mu zawadza, a potem w katolickim kościele i w ewangelickim odprawi zań nabożeństwo. W przyszłym liście piszcie, co słyszycie i widzicie. Zapewnijcie, że traktat w imieniu Saksonii nie jest podpisany, ale ta formalność nic nie znaczy... Brühl związany jest z Austryą i Francyą, to nie ulega wątpliwości. Jeśli Fryderyk da im czas

wojsko zgromadzić i obsaczyć siebie, zginął, a z nim i monarchia pruska.

W ten sposób, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, kapitan Feulner mówił długo jeszcze, wreszcie wziął za kapelusz i, pożegnawszy Simonisa, wysunął się od niego.

Rozmowa ich z sobą trwała z godzinę; dzień był jeszcze jasny, piękny, i kawalerowi nie chciało się wziąć do pisania, które rad był odłożyć do nocy. Po krótkiem więc wahaniu, wyjrzawszy oknem i widząc, że kapitan był już daleko, Simonis wziął za kapelusz, myśląc pójść obejrzeć okolice. Mówiono mu wiele o bażantarni... Było to wspaniałe dzieło Augusta Mocnego, jego Parc aux cerfs, w którego pustych teraz domkach dwóch Jezuitów i kilku Włochów zamieszkiwało.

Już się spuszczał zwolna ze schodów i minął drugie piętro, gdy za nim drzwi się otworzyły, zaszeleściała suknia jedwabna i serce mu powiedziało, wprzód nim się obejrzał jeszcze, że piękna Pepita wychodziła.

W istocie ona to była... Stara, głucha Gertruda, otulona chustką, służyła jej za towarzyszkę. Simonis się zatrzymał, podnosząc kapelusik, i chciał ją puścić przodem, aby mieć przyjemność jeszcze raz spojrzeć w te prześliczne oczy... Panna baronówna przyśpieszyła kroku, spojrzała nań i, zrównawszy się z nim, po chwili wahania, zaczęła iść powoli, miejsce mu zostawiając obok siebie.

Simonis nie śmiał jej zaczepić słowem, dziewczę było odważniejsze od niego.

— Rada jestem, że się spotykamy, kawalerze de Simonis — rzekła nieco zniżonym głosem. — Przyznam się panu, nie bierz tego ze złej strony, ani zbyt pochlebiaj sobie. obudziłeś pan sympatyę we mnie.

Simonis zarumienił się cały. Pepita spojrzała nań i rozśmiała się dziecinnie.

— Ta sympatya jest powodem, że pana przestrzedzbym chciała. Tak: przestrzedz... chociaż się wydaję takim młodym trzpiotem, jak mnie pan widzisz: przy dworze prędko się ludzie starzeją. Otóż! jakby to powiedzieć panu? Stryjenka nadto lubi Prusaków... jej to wolno... lękam się, aby kapitan także nadto się w nich nie kochał. Niezmiernie mi łatwo się domyślić, co pan tu robisz i po co przyjechałeś w tej chwili.

— Pani! Ja podróżuję! ja nie mam innego celu nad miłe przepędzenie czasu i naukę...

— Och! och! — rozśmiała się panna — a przybyłeś z listem do stryjenki? Nie mówmy o tem: ja dużo widzę, choć młode mam oczy. Mówią o nas, że tu wszyscy ślepi... że się tak szalenie bawimy, iż nie poczujemy, jak nam pod stopami runie posadzka balowa. Może to być... potrosze; ale są ludzie, co patrzą i czuwają. Stryjence się nic nie stanie; kapitana Feulnera już bardzo mają na oku; wiem o tem, ale go przestrzedz nie mogę... Co mi tam! Pana-by mi żal było... gdybyś się tam dostał — szepnęła ciszej — skąd powrócić trudno... trudno.

Spojrzała mu w oczy.

— Pan jeszcze może nie jesteś w niebezpieczeństwie, ale za jutro nie ręczę. Szkodaby mi was było.

To mówiąc, wstrzymała się, jakby przestraszona, obie ręce przyłożyła do ust; potem jedną z nich chwyciła rękę kawalera i rzekła żywo:

— Słowo rycerskie, że mnie pan nie zdradzisz!

— Pani, byłżebym najnikczemniejszym z ludzi? Przysięgam!

— Bądź ostrożny...

I szybko, tak, że osłupiały Simonis gonić jej nie

mógł, zbiegła po schodach na dół, nie oglądając się nawet. Gertruda, mrucząc i chwytając poręcze, przeklinając trzpiotowatą młodość, zeszła za nią, a Simonis powoli, nie mogąc przyjść do siebie, spuścił się za niemi i, wyszedłszy w ulicę, już ani śladu pięknej panny i jej towarzyszki nie znalazł; ukryły się gdzieś za kamienicami.

Niespodziana ta przestroga, równie jak rozmowa z kapitanem, dawały mu tyle do myślenia, iż nie rychło się poruszył, aby iść dalej. Maks nie był nazbyt odważny, a z natury przebiegły raczej, nawykł był każdą czynność obrachowywać wprzód bacznie. Wdzięczen był pięknej panience, lecz przestroga ta szyki mu mieszała; potrzebował surowo roztrząsnąć wprzódy, co mu dalej czynić wypadnie. Uspokajało go to jedno, że na pokrycie skrytych celów podróży miał znajomość z Blumli i stosunki, jakie ten mu przyrzekał wyrobić na dworze Brühla. Ostrożność kazała może opuścić mieszkanie u baronowej, ale z niem razem potrzeba się było wyrzec spotykania i widzenia z piękną Pepitą, a niebieskie jej oczy nadto głęboko tkwiły mu już w młodem sercu. Nawet ta przestroga tak śmiała mocniej go jeszcze przywiązywała do niej. Cóż począć było? Czy wzgardzić niebezpieczeństwem, czy uchodzić od niego?

Nie szło tu zresztą o osobę samego pana kawalera, choć i ta wielce mu była drogą, ale o sprawę, którą zdradzićby musiał, o zawód, jakiby uczynił. Jakkolwiek obrachowany i przygotowany do dorabiania się w świecie jakimkolwiek kosztem stanowiska, Simonis jeszcze poczuwał się do obowiązku wierności tej sprawie, której raz się był podjął.

Na słońcu i owiany powietrzem, spojrzawszy na wesoły świat, odetchnął jakoś swobodniej; groźba, w ciemnych schodach na ucho mu rzucona przez ładną panienkę, wydała się czczym postrachem! Pięknej Pepicie przywidywało się chyba. Wszystko, co dotąd tu widział, okazywało taką obojętność, taką apatyę jakąś, iż szpiegowanie obcych wydało mu się niepodobieństwem.

Poradzić się nie miał z kim.

Beguelin nie był człowiekiem do rady i nie budził zaufania; kapitanowi tak świeżo poznanemu zwierzyć się było niepodobieństwem. Simonis rozmyślał jeszcze, gdy na zawrocie z rynku, który przechodził powoli, spostrzegł owego milczącego staruszka, współtowarzysza podróży z zaciśniętemi usty, z którym razem przybył do Drezna. Przybrany był teraz daleko wytworniej i przedstawiał się jako poważny stary urzędnik, co najmniej radca gabinetowy, a mina, z jaką poglądał na ludzi, świadczyła, że nad nich wiele wyższym się mniemał. Szedł zwolna, nie śpiesząc, opierając się na lasce z gałką złoconą, jak człowiek, który nie ma nic do czynienia i któremu wcale nie jest pilno. Oczyma powlekał po domach ulicy, przechodniach, a niekiedy machinalnie sięgał do kieszeni, dobywał z niej tabakiery i pociągał hiszpanki, której ślady starannie z kamizelki strzepywał.

Zagadkowa ta postać postrzegła snadź i poznała towarzysza podróży, z uwagą w niego wlepiła oczy, i zdawała się nawet chcieć przybliżyć. Simonis, nie doświadczywszy w drodze najmniejszej ze strony jego grzeczności, nie myślał wcale zabierać znajomości. Lecz, że z zasady był grzeczny dla wszystkich, pamiętając, iż go uczono, jako nigdy przewidywać nie można, kto kiedy komu przydać się może, mijając starego dziadka od orzechów, przyłożył rękę do kapelusza i pozdrowił go, idąc dalej.

Stary oddał ukłon ten daleko uprzejmiej, niż się po jego obejściu w podróży spodziewać było podobna, przyśpieszył nieco kroku i dogonił kawalera.

— Jakże panu podróż posłużyła? — zapytał dziwnym głosikiem cieniuchnym — jak się nasze Drezno podoba?

Zdziwiony trochę Simonis odparł, że czuł się zdrów i że stolica Saksonii, którą znał mało, wielce mu się zdawała powabną.

— A tak! tak! my, Drezdeńczycy, możemy się nią pochlubić — rzekł stary. — Jak mnie pan widzisz, z dziadów-pradziadów tutejszy jestem, rzadko wyjeżdżam, a i tym razem — tu zniżył głos — tym razem przypadkiem tylko byłem w Berlinie, odwiedzić chorego przyjaciela. Co gorzej — szepnął zafrasowany — będąc urzędnikiem, pojechałem bez pozwolenia, bez wiedzy moich zwierzchników, i radbym, żeby o tej podróży nie wiedziano wcale. Dlatego to ośmieliłem się go zaczepić. W przypadku, gdybyśmy się gdzie w świecie spotkali, obliguję mocno, abyście mnie nie wydali.

— A! panie — rozśmiał się Simonis — nie mam szczęścia go znać, mało gdzie bywam i wątpię, ażebyśmy się spotkali. Daleko prędzej inni towarzysze podróży...

— O! co! — rozśmiał się stary — to są ludzie ze sfer innych: rzemieślnik, aktorka, z temi się pewnie nie znajdę nigdy razem i o tych mi nie idzie.

— Co do mnie — rzekł Simonis — możesz pan być spokojny.

— Pan tu długo myślisz pozostać? — spytał stary— i, jeśli wolno spytać, jaki cel jego podróży?

— Na pierwsze pytanie odpowiedzieć mi dosyćby było trudno — odparł Simonis — co do drugiego, odgadniesz pan łatwo. Jestem młody, szukam zajęcia. Nie znalazłem go w Berlinie, któż wie?

— Masz pan znajomych?

— Ziomków — rzekł de Simonis. — Jestem Szwajcar, nas wszędzie pełno. Piękny kraj nasz mało daje chleba, instytucye republikańskie pozbawiają nas dworu. Młodzież nasza służby po świecie szukać musi.

Stary słuchał z uwagą.

— Tak, tak! — rzekł głosem suchym — mamy dwór liczny, a jego ekscelencya pierwszy minister żyje też po monarchicznemu. Dlaczegoby się pomieszczenie znaleźć nie mogło? Talenta pewnie są...

— Młodość! siły! ochota! — odpowiedział Simonis.

Rozmawiając tak, szli dalej ku bażantarni i już się znajdowali wśród pola, które przegradzało las od miasta, gdy w ulicy bocznej zjawił się kapitan Feulner... i niezmiernie zdziwiony, zobaczywszy Simonisa w towarzystwie starego, podniósł obie ręce do góry.

— Jakto, panie radco, już i wy tego kawalera znacie? a to przedziwnie!

Twarz starego pobladła, jedną ręką dał jakiś znak mówiącemu, drugą machinalnie sięgnął, nic nie odpowiadając, po tabakierkę.

Simonis stał zdumiony.

— Zupełnie przypadkowe spotkanie — odezwał się powoli radca — zupełnie przypadkowe: pierwszy raz w życiu! Ani ja nie wiem, z kim miałem honor rozmawiać, ani szanowny ten pan.

— A to więc chyba Opatrzność was zbliżyła — zawołał Feulner — pan radca Mentzel senior; kawaler Maks de Simonis. Mocno go panu radcy polecam: jest domownikiem baronowej Nostitz, to dosyć.

Radcy się twarz nieco rozjaśniła, ale usta stały zaparte. Feulner wnet zmienił przedmiot.

— A propos — dodał — ta dzierlatka, która nam przy stole swobodniej się rozgadać nie dozwoliła, przestrzegam cię, kawalerze, abyś się jej zbałamucić nie dał.

Trzeba być ostrożnym. Dziewczyna, choć synowica baronowej, a raczej jej męża, ale wcale odmienne ma przekonania. Ciałem i duszą przy dworze. A umysł żywy! domyślne dziecko i zapalone. Więc miejcie się za ostrzeżonego.

Radca pochylił się do ucha kapitanowi, poszeptali coś z sobą i skłonił się raz jeszcze Simonisowi.

— Ale czy we trzech, moi panowie, bezpiecznie nam tak wędrować o białym dniu? jak myślicie? — zapytał.

— Panowie na to lepiej odpowiedzieć potraficie — odezwał się Simonis — ja się do ich rozporządzenia zastosuję.

Prawdę mówiąc, i jemu się nie bardzo chciało narażać od czasu otrzymanej przestrogi; namyśliwszy się więc, dodał:

— Jak tylko taka wątpliwość zachodzi, czy nie lepiej iść z osobna?

Feulner ruszył ramionami.

— A, zapewne, chociaż to mi wszystko jedno.

— Mnie zaś—mruknął Mentzel—zupełnie nie jedno.

Simonis już podniósł kapelusik i dokoła się żegnał, nadrabiając uśmiechem, chociaż niebardzo był spokojny i niezbyt wesoły.

Na dobitkę stary Mentzel z myślą czy bez myśli, wskazując odkryty z miejsca, w którem stali, widok na Szwajcaryę saską, rzekł niby obojętnie:

— Patrzcie-no, panowie, wszak to tam we mgłach, hen! hen!... widzicie, to Königstein.

— Tak, to Königstein — mruknął, ramionami ruszając, Feulner.

Simonis się mimowolnie zatrzymał.

— Ilu to tam człowiek miał i ma znajomych — mruczał Mentzel, jakby dla nauki Simonisowi — baron

von Beneda-Netzky, siostrzeniec hrabiny de Bellegarde, z domu Rutowskiej. Wszak znajomy i wam, kapitanie Feulner.

— Towarzysz broni! — bąknął lakonicznie kapitan.

— Jan August Heerwagen, syn radczyni Hausius, już powtórnie; znajomy także.

— Od dzieciństwa! — rzekł kapitan.

— Kamerherr i obristleitenant hrabiny Kolowrath, synowiec hrabiny Brühlowej; hm! — chrząknął stary.

— Czyż być może? — wyrwał się Simonis.

— Jak mnie pan widzisz żywym — odparł Mentzel spokojnie — ale mój regiestr wspomnień nieskończony. Hrabia Chrystyan — mówił dalej, jakby czytał z papieru — Traugott Holzendorf, syn hrabiego i nadradcy konsystorza, szwagier syna hrabiny Cosel, chorąży od dragonów, pewnie znajomy wam, panie kapitanie?

— Towarzysz broni — rzekł z pogardliwym uśmieszkiem Feulner.

— Dalej, czekajcie, panowie, mam jeszcze kilku, zaraz — mówił stary, stukając laską o ziemię — pułkownik Henryk Levin von der Osten, mówią, że skradł pieniądze pułkowe; ale, kapitanie Feulner, czy też to być może?

— Trudno, bo od lat trzynastu pułki nasze żadnych pieniędzy nie widziały.

Mentzel począł się śmiać.

— Nie wiem o tem — rzekł — ale na honor, kilka jeszcze imion przychodzi mi na pamięć. Kapitan Peter Ernest L'Hermet, baron du Cailau, za jakąś historyę adulterii et blasphemiarum! To jeszcze szczęście — dodał Mentzel — bo in puncto adulterii prosty człowiek głową nakładał wedle prawa, ale baronowie...

Feulner przerwał:

— Potwarz na niego rzucono: to mój przyjaciel.

— Winszuję — dokończył stary — ale to jeszcze nie koniec. Nie liczę panów von Roebel i von Zedtwitz, bo ci już muszą być wolni, ale nie mogę opuścić kapitana d'Elbée i junkra Abels, syna mojego dobrego przyjaciela pana radcy wojennego.

Kończąc to, wskazał jeszcze raz na Koenigstein, zdjął kapelusz i rzekł z przyciskiem:

— To... Koenigstein. Żegnam panów moich.

Kapitan wszedł w boczną ulicę, a Simonis pozostał sam jeden.

V.

Była godzina szósta rano. Okno gabinetu pierwszego ministra, wychodzące na ogród i na taras, na Elbę i zielone łąki u jej brzegów, było otwarte; świeże powietrze poranku niem się wciskało; wspaniały widok na Nowe Miasto, na dalekie góry stąd się roztaczał.

Brühl, który tylko co był wstał z łóżka i wdział przepyszny szlafrok z materyi chińskiej, a na głowie miał peruczkę ranną bez pretensyi, jedną z półtora tysiąca, jakie zawsze były w zapasie, patrzał machinalnie na krajobraz, ale twarz miał jakąś posępną i zamyśloną.

Na stoliku leżał list otwarty, do którego kilka razy powracał; brał go w rękę, czytał i rzucał z pewnym rodzajem gniewu, jakby go zrozumieć nie mógł.

Na twarzy wszechwładnego ministra lata ubiegłe mało zostawiły śladu: miała ona jeszcze jakiś fałszywy odblysk młodości, chociaż zarysowywały się na niej fałdy i cera przybierała ten pozór miękkiego grzybka, którym piętnuje człowieka znużenie i zużycie.

Na zegarze Nowego Miasta właśnie dobijała szósta.

Gabinet był widocznie do pracy i dla interesów przeznaczony. Ogromne biuro cylindrowe, w tej chwili otwarte, pełne stało porozrzucanych papierów, na stołach także leżały pliki. Brühl zdawał się oczekiwać na kogoś. Zapukano do drzwi i gdy się te otworzyły, wsunął się raczej niż wszedł o kiju, nogami już powłóczący, zestarzały, z dobrotliwym uśmieszkiem na ustach, w szarym, długim cywilnym surducie pater Guarini.

Brühl podbiegł prędko i, chwyciwszy go za rękę, pocałował w nią, a Jezuita dotknął ustami jego ramienia i oczy nań podniósł zwolna.

Minister podsunął mu krzesło, które starzec zajął prędko.

— Piękny dzień — rzekł cicho — bellissima giornata.

— Tak — bezmyślnie odparł minister, który stanął przed nim — ale i piękne dni chmury mają. Nim nadejdą ci, których wezwałem, kochany ojcze, nie mam dla ciebie tajemnic; spojrzyjcie, co Fleming już mi po raz drugi z Wiednia pisze.

Ojciec Guarini dobył szybko okularów i, włożywszy je, z uwagą podane pismo odczytywać zaczął. Na twarzy jego przebiegały niezrozumiałe jakieś wrażenia, które pismo wywierało; wykrzywiała się, przeciągała, marszczyła; ale, nie rzekłszy słowa, ramionami ruszył i, list oddając Brühlowi, rzekł:

— Nie rozumiem.

— Ja także — ręce rozkładając szeroko, zawołał minister — potwarz, intryga, chęć pochlubienia się wielką zręcznością; kłamstwo może.

— Nie, Fleming-by nie kłamał — dodał pater Gua-

rini — słyszałem u królowej, że jej coś podobnego pisano z Wiednia.

Brühl się nasrożył.

— Cóż to do królowej jejmości należy?

— Ona się też do tego nie miesza — rzekł ojciec — ale gdy jej piszą... Mój Brühlu, zdrajców jest pełno, mogą być i u ciebie.

Zamilkł na chwilę i dodał:

— Dio mi guardi da quella gatta, che davanti mi lecca e di dietro mi sgraffia... (Niech mnie Bóg strzeże od takiego kota, który z przodu mnie liże a z tyłu mnie drapie).

Zapukano do drzwi i pogodna, roztropna, pełna sprytu, ale niemiłego wyrazu twarz wice-królem zwanego Globiga ukazała się we drzwiach. Z nim razem szedł drugi powiernik ministra, Hennicke.

Brühl odwrócił się ku nim.

— Panie radco — odezwał się do ostatniego — uczyńcie mi tę grzeczność, zapowiedzcie, aby nikogo nie wpuszczano tu więcej. Tajemnica status... wezwałem panów na poufną radę.

Hennicke na chwilę się wychylił i powrócił niemniej szybko.

— Nim zaczniemy o tem mówić — odezwał się Brühl z powagą przybraną i wymuszoną — proszę panów, abyście te dwa listy hrabiego Fleminga odczytali. O pierwszym nie mówiłem nikomu, lekce to ważąc, drugi nas zmusza do narady.

Globig z wprawą człowieka, który długiego pisma nie potrzebuje całego czytać, by odgadł treść jego, szybko przebiegł oczyma podane sobie papiery. Stojący za nim Hennicke, zmrużywszy oczy, oblizując się, również

szparko szukał treści... Brwi mu się namarszczyły. Ojciec Guarini wpatrywał się w obu, milcząc.

— Krótko mówiąc — podchwycił Brühl — rzecz jest następująca: Fleming donosi nam z Wiednia, jako rzecz pewną, niezawodną, dowiedzioną, że wszystkie nasze depesze tajemne, jakie odbieramy od posłów z Wiednia, z Petersburga, Paryża, Londynu, słowem zewsząd... w kopiach są z naszej kancelaryi udzielane sekretnie do Berlina.

Globig wykrzyknął:

— Kłamstwo! to nie może być!

— Nie może być! — ponuro powtórzył Hennicke — a naprzód, jakżeby o tem wiedziano w Wiedniu?

Brühl mówił dalej namarszczony:

— Kancelarya cesarzowej jejmości ma, albo przynajmniej chwali się takimi stosunkami, iż wie, jak trawa rośnie w Berlinie i co jego królewska mość Fryderyk II wieczorem w Sans-Souci mówi generałowi Lentulusowi na ucho!

Ruszył ramionami.

— Cesarzowa, jak mi pisze Fleming, obawiając się, czy wiedeńskie depesze po drodze gdzie nie są przejmowane, nakazała najsurowsze śledztwo; czyniono je w Wiedniu i w Pradze: najmniejszego nie znaleziono śladu.

— Ale i u nas się nie znajdzie śladu — zawołał Globig gorąco — mnie idzie o mój i o honor moich urzędników. To wprost być nie może. Szafa, w której się mieszczą depesze sekretne dyplomatyczne, jest pod moim kluczem, klucz ten na chwilę mnie nie opuszcza.

To mówiąc, Globig dobył z kieszeni pęk i wskazał misterny spory klucz, który natychmiast schował.

— Depesze — dodał żywo — mogą być gdzieindziej łapane; nie wiem... ale nie z pod tego klucza. Co

więcej, szafa stoi w sali, w której kilku kancelistów pracuje. Tajny kancelista Mentzel prawie jej nigdy nie opuszcza.

— A jednak... — rzekł Brühl.

— A jednak — powtórzył Guarini — si muove qualche cosa.

Hennicke rękoma strzepnął jakby z rozpaczy.

— Rzecz dla nas najwyższej wagi — mówił Brühl— nieskończonej doniosłości... Jeżeli w Berlinie wiedzą o układach, traktatach, umowach... cały nasz plan rozbić się może.

— Ba! — przerwał Hennicke — w Berlinie czego nie wiedzą, to odgadną. Szpiegostwo tam jest, jakiem się żadna stara ani młoda monarchia poszczycić nie może.

— Przepraszam cię, panie radco—odezwał się Brühl. — Cesarzowa jest jeszcze zręczniejszą od Fritza, bo Fritz u nas kradnie depesze, a ona odkradzione otrzymuje od złodziei. Toć przecie jeszcze większa sztuka. U nas, przypuściwszy, że się coś podobnego dzieje, łatwo ze szlachetności naszej, dobrej wiary i zaufania korzystać, ale podchwycić u Fritza! Ha! ha!

Guarini się rozśmiał, Globig i Hennicke stali milczący.

— Jednakże — odezwał się Guarini — powinniście się w ludziach waszych rozpatrzyć; Fleming i Kaunitz kłamać nie mogą, a dar la lattuga in guardia ai paperi (zamknąć wilka w oborze)...

— Nie może być! — zawołał Globig — wszystkich w myśli przebiegam, na nikim cieniu podejrzenia widzieć nie mogę.

— Ani ja — rzekł Brühl, przechadzając się. — Ta denuncyacya nie od dzisiejszego dnia datuje; psują mi nią uszy dawno. Prosiłem Kaunitza, aby mi na dowód przysłał z tego źródła choćby jedną depeszę... odmówił.

— To dowód, że prostym wierzą plotkom — zawołał Globig — u nas zdrajcy być nie może.

Jezuita się uśmiechnął.

— O sancta simplicitas! — rzekł cicho — Chrystus miał kilkunastu apostołów i wśród nich znalazł się zdrajca; wy macie kilkuset urzędników i ręczycie, że między nimi niema Judasza!

Zamilkli wszyscy.

— Mości panowie — odezwał się Brühl — jeżeli tajemnice gabinetu naszego zdradzone zostaną; jeżeli zawcześnie, nim cesarskie wojska zbliżą się ku granicom, a francuskie wysłane zostaną, Fritz zwietrzy robotę naszą; jeżeli się domyśli, jaki ja w tem udział miałem: Saksonia ucierpieć może...

Chwilę chodził niespokojny.

— Nie żebym się obawiał tego królika, którego korona pozłacana jeszcze wyschnąć nie miała czasu. Prusy... nie podołają nam; monarchia ta z rzędu mocarstw europejskich wymazaną być musi. Tak jest. Zachodzi fizyczne niepodobieństwo, ażeby się nam Fritz obronił. Liczmy... Austrya daje sto osiemdziesiąt tysięcy żołnierza z Piccolominim i Bour'em. Sto czterdzieści tysięcy Rosyan idzie już ku granicom, tyluż mieć będziemy Francuzów, naszych Sasów niech tylko dwadzieścia do trzydziestu tysięcy, Szwedów osiemnaście; złączonej armii cesarstwa dwadzieścia, Wirtemberczyków dwanaście... proszę zliczyć... Przypuszczam, że Fritz wypędzi do ostatniego parobka i złoży półtorakrocstotysięczną armię. Jakże się potrafi oprzeć napaści ze trzech, ze czterech stron? Jest zgubiony — mówił żywo Brühl — to rzecz oczywista, na dłoni... ani pieniędzy, ani ludzi, ani żywności nie ma. Zgubiony, powtarzam... Ale trzeba, aby nasze plany doj-

rzały, abyśmy mieli czas nastawić pułapkę na tego szczura.

Guarini patrzał na mówiącego z uwagą. Minister się rozgrzewał, zapalał i zwycięstwo już go zawczasu rozpromieniało. Globig i Hennicke słuchali, potrząsając głowami.

— Na wszelki wypadek — odezwał się Globig nieśmiało — o naszem wojsku pomyślećby też potrzeba.

— Zawcześnie jeszcze — rzekł lekceważąco Brühl — zawcześnie. Fleming mi zaręcza, że w ciągu tego roku nic się nie pocznie, mocarstwa sprzymierzone planu jeszcze nie zakreśliły i tak rychło na Prusy nie napadną. Czego się mamy śpieszyć? Wojsko nasze jest w stanie świetnym, zaręczał mi to generał Rutowski; sam widzę...

Doradcy zamilkli.

— Do wiosny nie mamy się wcale czego lękać; czas jeszcze na wszystko.

Domawiał tych wyrazów, gdy do drzwi pukać zaczęto.

Brühl się rozgniewał.

— Mówiłem, by nie wpuszczano nikogo.

Hennicke pobiegł do drzwi i wrócił z kopertą, wielką pieczęcią zalepioną.

— Depesza z Wiednia!

Niecierpliwie ją rozpieczętowując, Brühl poszedł do okna. Ze zwykłą sobie szybkością przebiegł ją oczyma; ojciec Guarini, który na niego patrzał, dostrzegł, że brwi mu się ściągały.

— Oni tam w Wiedniu jakiejś dostali gorączki — odezwał się Brühl — Fleming mi donosi, że król pruski zapytuje już ich o przyczynę przygotowań wojennych. Zwietrzył więc coś... Mogą mu odpowiedzieć przecież, że żadnych nadzwyczajnych nie robią. Ruchy wojsk zawsze się dają tranzlokacyą tłómaczyć.

— Wszystko się daje tłómaczyć — szepnął Guarini — m a q u e s t o d i a v o l o niczemu nie daje wiary.

Minister chodził po pokoju zamyślony, jakby już myślami był gdzieindziej. Globig i Hennicke szeptali między sobą.

— Radco Globig — odezwał się Brühl — proszę o największą tajemnicę co do naszych depesz; ale trzeba mieć oko na wszystkich, na wszystkich... Czas, abyśmy i my, jak Fritz, nauczyli się nie wierzyć nikomu.

Hennicke przyszedł coś mu poszepnąć do ucha.

Guarini, oparty na lasce, dumał milczący. Globig, ręce pod frak włożywszy, przechadzał się po gabinecie. Milczenie trwało dobrą chwilę, poczem wice-król z Hennickem pożegnał się i wyszedł.

Brühl, ziewając, padł na kanapę, na białych rękach składając znużoną głowę.

Ojciec Guarini patrzał na niego z jakiemś uczuciem, którego natury trudno było odgadnąć.

— A — odezwał się Brühl — służba ta prawdziwy krzyż, ludzie zazdroszczą, nikt nie wie, co ona kosztuje i jak cięży. Ma to pozory świetne, a ani chwili pokoju.

— O n u s p r o p e c c a t i s ! — uśmiechnął się Jezuita — dałbyś pokój, ja-m to już słyszał... Cóż dziś? opera, koncert, polowanie, strzelanie do celu?...

Brühl spojrzał na notatkę, leżącą na stole.

— Opera — rzekł.

— A! to moja sprawa potrosze — począł Guarini — alem ja już ociężał nawet do tego. Namby nowych sił potrzeba, nowych śpiewaków i śpiewaczek.

— Król starych swych lubi najlepiej.

— Ale ci chrypną coraz, jak ja — dodał Guarini i wstał powoli z fotelu.

— O której idziesz do króla?

— Jak zwykle, przed dziewiątą.

Guarini zabierał się do wyjścia, Brühl go przeprowadził aż do drzwi salonu. Zaledwie wrócił do gabinetu, gdy bocznemi drzwiami wsunęła się niepocieszna figurka. Liberya królewska wskazywała, że to był prosty lokaj z przedpokoju, ale lokaje naówczas nadzwyczaj ważne grali role.

Z większą daleko uprzejmością, niżby się spodziewać było można, Brühl zbliżył się do wygalonowanego służalca.

Był to jeden z tych, co pod pozorem służby króla jegomości pilnowali, aby się do niego nikt docisnąć nie ważył, nikt nie przemówił, nikt papieru nie podsunął. Po cichu poszeptał z ministrem i zniknął.

Szeregiem potem zjawiać się zaczęli: brat ministra tajny radca Fryderyk Wilhelm, za nim wielki koniuszy dworu Jan Adolf Brühl, generał Brühl, szwagier ich Berlepsch, hrabia Kolowrath i mnóstwo innych kreatur wszechmogącego człowieka. Każdy jakiś raport, żądanie, radę, plotkę przynosił.

Na srebrnych tacach przyniesiono jeden list od hrabiny Moszyńskiej, drugi od hrabiny Sternberg, żony posła austryackiego. Na chwilę zjawił się też z uśmiechem na ustach, piękną i pełną życia twarzą młody syn ministra Alojzy, a gdy wszystko to przeciągnęło, i trzy kwadranse na ósmą zegar wydzwonił, czas się było ubierać. Tualeta zajmowała okrągłą godzinę, a przed dziewiątą Brühl już u króla być musiał.

Gdy czas ten nadchodził, August się niecierpliwił, patrzał na drzwi, brakło mu faworyta i rad też był odbyć swą pańszczyznę, to jest popodpisywać, co mu przynoszono do podpisu.

Ceremonia ta odbywała się codziennie jednakowo:

August, zobaczywszy stos papierów, wzdychał, siadał do stolika, próbował pióra i, nie zaglądając wcale, ani pytając o treść aktów, z wielką pilnością a żwawo opatrywał je w podpisy. Z twarzy jego królewskiej mości widać było, iż czuł, jak ogromnie pracował. Czasem za dwudziestym „Augustem“ wzdychał i spoglądał na Brühla. Brühl się uśmiechał z kondolencyą.

— Trudy panowania, Najjaśniejszy Panie — szeptał.

I król, westchnąwszy raz jeszcze, pisał dalej z wielkiem poczuciem świętości obowiązku, jaki spełniał.

Tego dnia też zupełnie się to prawidłowie odbywało. Ojciec Guarini, przypatrując się manipulacyi tej, na stołeczku siedział.

Za piętnastym podpisem, jakby go co tknęło, August podniósł dobroduszną twarz i spytał żywo, jak zwykle:

— Brühl, mam ja pieniędze?

— A jakże, Najjaśniejszy Panie!

Szło tedy dalej swym trybem.

O Austryi, o przymierzach, o Fritzu i tym podobnych fraszkach wcale tu mowy nie było.

Gdy ostatni arkusz został podpisany, królewska twarz wyjaśniła się wyraziście, oczy zabłysły, rzucił pióro i wstał z pewnym rodzajem tryumfu, po dokonaniu wielkiego dzieła.

— Brühl — rzekł — teraz o najważniejszych sprawach... Potrzebuję pieniędzy; Giovanni mi cuda obiecuje z Bolonii. Ten obraz Bagnacavalli znam, trzeba mi go nabyć koniecznie; Algarotti ma też piękne rzeczy.

— Algarotti za wiele żąda za nie — odezwał się minister.

— Za takie cuda i arcydzieła sztuki za wiele żądać nie można! — rzekł August żywo. — Crespi kupił dla

mnie Ninusa i Semiramidę Guido Reniego. Trzeba się za to księdzu kanonikowi wywdzięczyć. To arcydzieło!

I, mówiąc to, król ręce złożył jak do modlitwy.

— Wszystkie rozkazy Waszej Królewskiej Mości będą spełnione — rzekł z nizkim ukłonem minister.

— Inne wydatki... fraszka, mój Brühl; ale ty to pojmujesz! to sposobności jedyne: drugi raz się nabycie takie nie trafi... Ja to muszę mieć...

— Wasza Królewska Mość będziesz to miał...

— Dziesięć tysięcy skudów to nic! to bagatela za takie arcydzieło.

Brühl potakująco głowę schylił.

— Najjaśniejszy Panie — przerwał, zbliżając się, Guarini — dziś mamy Cleofidę.

— A! a! — zawołał August — bardzo lubię tę operę, ale Solimana więcej jeszcze. Hasse w nim sam siebie przewyższył, Amorevoli, Monticelli, Puttini i „la diva" jak w nim śpiewają!

Twarz królewska przybrała taki wyraz błogości, ekstazy, zachwytu, iż tylko Guarini i Brühl mogli na to pełne, okrągłe oblicze, żywym rumieńcem oblane, a tak dziwnie rozpromienione, patrzeć bez uśmiechu politowania i szyderstwa.

Rozmowa i zachwyt zmęczyły wreszcie najjaśniejszego pana, który fajkę sobie podać kazał. Siadł w krześle i z oddaniem się tej nowej fantazyi dym z niej łapczywie puszczać zaczął. Nie godziło mu się błogiego tego a niewinnego zajęcia przerywać nudziarstwem politycznem. Brühl przystąpił do ucałowania ręki pańskiej i zniknął.

W przedpokoju zaleciwszy mocno, aby nikt nie śmiał pokoju najjaśniejszego pana zamącić i aby doń nie do-

puszczano nikogo, Brühl pojechał z zamku do hrabiny Moszyńskiej.

Nieubłagane lata, które się tak łaskawie obeszły z samym Brühlem, nieskończenie surowsze były dla pięknych pań, które niegdyś ozdoby saskiego dworu stanowiły. Ale hrabina Moszyńska, mimo dojrzałości, piękną jeszcze była, jak żyjąca dotąd jej matka, która dobrowolnie teraz na stolpeńskim zamku dożywała dni swoich.

Była ona Egeryą tego Numy w peruce i, gdyby nie owe czasy i nałogi, z pod których wpływu i ona oswobodzić się nie mogła, byłaby może łodzią saską pokierowała baczniej i szczęśliwiej, niż ten, co stał u jej steru, myśląc tylko o pieniędzach na zbytki i pokrycie przed królem tego, co się działo w kraju. Około południa już z pałacyku Moszyńskiej minister do domu powracał.

Tu z przepychem królewskim, z usługą strojną i wygalonowaną podawano obiad, który się ciągnął godzin parę. Dnia tego właśnie czekały na smakosza sprowadzone z Paryża i Strasburga pasztety, gdyż łakocie zwożono mu z całego świata, a czekolady musiał mieć z Rzymu.

Właśnie wtawsano od stołu, przy którym, oprócz pięknej jeszcze, majestatycznej hrabiny, królowała też hrabina Sternberg, a kilku cudzoziemców zaproszonych dowcipami je zabawiało, gdy żona ministra dała mu znak, że z nim ma coś do pomówienia na osobności.

Stosunek tego małżeństwa zmieniły lata również jak fizyognomie: hrabina przestała okazywać mężowi ten rodzaj wzgardy i lekceważenia, jakim go zrazu od siebie odpychała. Pewien rodzaj rozejmu zawarty został między niemi i żyli na stopie, jeśli nie bardzo czułego małżeństwa, to przynajmniej dobrych i wyrozumiałych na wzajemne słabości przyjaciół. Brühl potrzebny był hrabinie,

hrabina niemniej mężowi; zbliżali się więc, oddalali, widywali częściej lub rzadziej, ale powierzchownie było to pożycie dwojga małżonków wielkiego świata, takie, jakich naówczas trafiało się tysiące.

W charakterze i obyczaju ministra była najwyszukańsza grzeczność, okazywał ją nawet tym, na których zgubę pracował; szafował nią dla wszystkich wogóle i tak nawykł do niej, że chcąc nawet może, zupełnie grubiańskim i ostrym okazaćby się nie mógł. Dla hrabiny zawsze był nadskakującym.

I tym razem pobiegł posłuszny na skinienie. Piękna pani stanęła w gabinecie, wsparta z wdziękiem na kominie marmurowym. Brühl w wyszukanej pozycyi, gotów na rozkazy, stał przed nią.

— Co mi Frania rozkaże? — zapytał.

— Mam prośbę, nie rozkaz.

— Prośby jej są rozkazami...

Hrabina ramionami ruszyła.

— Musisz mieć miejsce sekretarza wolne?

Brühl spojrzał zdziwiony.

— Ośmiu ich jest, a dziesięciu na wakanse czeka.

— Niech czekają! — rozkazująco odezwała się Brühlowa — otaczasz się Sasami, którzy cię zdradzają wszyscy... Ja mam młodego, bardzo zdolnego człowieka, którego mi Blumli zalecił. Widziałam go, podobał mi się, ręczę: będzie ci użytecznym.

Chwilę milczał Brühl, podniósł powoli głowę.

— Ale czyż koniecznie ma być sekretarzem? — rzekł — ci panowie nadto o sobie mówić dają. Nie będę ci czynił przykrości, przypominając Seyferta.

Hrabina zżymnęła się na to imię i zarumieniła.

— Daj mi z tem pokój — zawołała. — Chcesz go wziąć czy nie?

— Ale niechże go poznam i zobaczę — rzekł Brühl zafrasowany.

A po chwili dodał cicho:

— Gdybyś też cokolwiek, cokolwiek mogła być ostrożniejszą.

Brühlowa ruszyła ramionami i odeszła od komina milcząca. Gniew widać było na jej twarzy.

— Mniejsza o to — odezwała się — miejsce dla niego znajdziemy. Proszę mi wierzyć, tu nie idzie o żadne fantazye, choć mam prawo je mieć i nie zapieram się ich wcale. Waćpan potrzebujesz wierniejszych sług, niż ich masz tutaj. Sasi cię wszyscy zdradzają. Głośna to rzecz w Wiedniu, że stąd depesze przedają do Berlina...

Brühl ręką dał znak gwałtowny, aby zamilkła.

— Ani słowa o tem! — odezwał się — bardzo proszę. Skąd pani wiesz?

Brühlowa nie odpowiedziała, zakręciła się po gabinecie, wzięła ze stolika wachlarz, przejrzała się w zwierciedle i posunęła ku salonowi, urywając rozmowę.

Lecz Brühl nie dał jej wyjść z tym złym humorem.

— Niech mi go Blumli jutro rano przyprowadzi!

Hrabina na znak zgody głową tylko skinęła i, nucąc, wyszła do salonu.

Brühl, otoczony dworem swym, już rozpoczynał rozmowę tak obojętną, jakby mu nic nie ciężyło na głowie.

Cudzoziemców prowadzono do ogrodu galeryę oglądać.

VI.

Kawaler de Simonis jeszcze rozmyślał o niespodzianem tego ranka spotkaniu z hrabiną Brühlową, które Blumli urządził, wcale mu o tem wprzód nie mówiąc, gdy

kartka nadeszła po obiedzie, że jutro rano przedstawić się ma ministrowi.

Wszystko to działo się jakoś tak szybko, tak mimo woli naszego kawalera, iż sam dobrze nie wiedział, co począć z sobą, a oprzeć się, nie ściągając na siebie podejrzeń, nie było podobna. Blumli aż nadto uprzejmy, nie obiecawszy mu nic, nie oznajmiwszy rano tego dnia, zaprowadził go z sobą do ogrodu Brühla. Miało to pozór spokojnej przechadzki, wśród której znaleźli się niespodzianie w kiosku. Hrabina Brühl właśnie się po nim przechadzała sama jedna w rannym stroju. Blumli przedstawił jej swojego ziomka i przyjaciela.

Simonis z pewnych oznak domyślił się łatwo, iż spotkanie było przygotowane, umówione. Rozmowa hrabiny zdradzała co chwila, że o nim wiedziała wprzódy.

Chociaż duma i ton pański nigdy owej niegdyś tak pięknej, a dziś jeszcze dosyć miłej Frani nie opuszczały, dla kawalera de Simonis okazała się bardzo uprzejmą. Ładny chłopak ujął ją widać młodością swą i łagodnym twarzy wyrazem. Zaczęła go rozpytywać o przeszłość, z której cały ostatni rok spędzony w Berlinie utaił jakoś kawaler, pokrywając go ogólnikiem podróży po Niemczech; potem badała o zdolności, o upodobania, o powołanie, jakieby był życzył obrać sobie. Simonis, zawsze nadskakujący kobietom, tym razem jeszcze był staranniej grzecznym dla żony pierwszego ministra. Usiłował się jej podobać, może już nie w widokach i rachubach przyszłości, ale przez próżność samą. Udało mu się to zupełnie: hrabina się ożywiła, pół godziny trzymała go na rozmowie, paliła go oczyma czarnemi, które nie straciły blasku, czarowała dowcipem, była naprzemiany złośliwą, czułą, mądrą, smutną i wesołą; a że w tym rodzaju kobiety kawaler de Simonis w życiu jeszcze nie spotkał, wziął to zjawisko za coś cudownego.

Gdy hrabina wreszcie, rzuciwszy nań urok ten, odeszła rada z siebie, Simonis długo stał w miejscu, jak wkuty, nie mogąc się ruszyć, nie umiejąc przemówić, i Blumli musiał go uderzyć po ramieniu, aby do przytomności przywrócić.

Spojrzeli sobie w oczy: Blumli śmiał się z politowaniem starego strzelca, który spogląda na pierwszy raz w pole wychodzącego fryca.

— Kochany Maksie — rzekł — a jakżeś ty młody jeszcze!

— Jakto? dlaczego? — odparł Simonis.

— Jesteś zachwycony...

— Ale jakże nim być nie mam! Kogożby ten blask nie olśnił...

Blumli ramionami ruszał, wziął go pod rękę i wyszedł z nim do ogrodu.

— Mój drogi Maksie — rzekł — niezmiernie szczęśliwy jestem, żem ci mógł sprawić przyjemność, chociaż postąpiłem podstępnie trochę. Nie miałbym sumienia teraz, gdybym cię nie ostrzegł o niebezpieczeństwie. Hrabina Brühl, to wszystkim wiadomo, kochała raz w życiu człowieka, który umarł na Koenigsteinie. Z tą miłością zmarło jej serce, odtąd miewa fantazye. Możesz być bohaterem jednego z tych małych poematów... ja byłem nim też i widzisz, jakie z tego szczęście wyniosłem. Życie mi obrzydło, świat zmierziłem... Seyfert, o którym pewnie słyszałeś, z pokoju hrabiny, gdzie spędzał słodkie godziny, dostał się pod pręgierz na Nowym Rynku... O innych nie mówię.

Zamilkł. Simonis szedł z głową spuszczoną.

— Proszę cię, nie odejmuj mi złudzenia — rzekł — jeśli to ma być złudzeniem tylko...

— Gorzej, niż złudzenie, bo nader smutna rzeczywistość, pokryta trochą świecideł. Lecz młodość jest ciekawą nowych krajów... dlaczegożbyś i ty nie miał się puścić, jak Förster, na odkrycia, jeśli się rozbicia okrętu nie lękasz i zjedzenia przez dzikich.

Przechadzali się jeszcze dosyć długo, aż Simonis powrócił do domu, pożegnawszy przyjaciela. Tu ledwie miał czas zebrać myśli, gdy odebrał bilet, oznaczający na jutro godzinę przedstawienia się ministrowi.

Opanowała go jakaś niepewność i trwoga, jak ma postąpić. Pod nogami jego coraz grunt zdawał się mniej bezpiecznym. Z jednej strony groziło odkrycie jego posłannictwa, z drugiej tajemne doniesienie do Berlina o stosunkach, które tam mogły wzbudzić podejrzenie. Hrabina w rozmowie z nim napomknęła już, iż mógłby łatwo za jej pośrednictwem otrzymać posadę sekretarza, o którą się tak ubiegano. Wiodła ona w najgorszym razie do stanowiska urzędowego, do dostatków, do dostojeństw. Simonis w razie, gdyby mu ofiarowano to miejsce, ani wiedział, czy je może przyjąć, i czy je bezpiecznie odrzucić. W tej niepewności, nie mając nikogo, zbiegł na drugie piętro do baronowej, aby jej wszystko wyznać i z nią się poradzić.

Była to godzina, w której szanowna matrona, pieska trzymając na kolanach, po obiedzie odprawiała drzemkę w sorgenstuhlu wygodnym. Przerywać się jej nie godziło nikomu.

Wygodne to krzesło stało obok saloniku w sypialni, od której drzwi były przymknięte. O tem wszystkiem, pukając u wnijścia, Simonis nie wiedział wcale, a że głucha Gertruda drzemała także, pukać musiał długo,

nim się po cichu otworzyły drzwi i baronówna Pepita, która także czekała na przebudzenie stryjenki, ukazała się w całym blasku zdumionym oczom pana Maksa.

Nie mogło na świecie być skuteczniejszego lekarstwa przeciwko urokom hrabiny Brühlowej nad tę świeżą, jak podmuch wiosny twarzyczkę, z której tryskał dowcip i szlachetność. Simonis stanął jak przykuty...

— Stryjenka śpi — odezwała się baronówna wpół cicho — ale za pięć minut Fidel się obudzi i ona także nigdy nie drzemie dłużej. Jeśli pan chcesz widzieć się z nią, chodź i cichuteńko posiedź ze mną w saloniku.

Simonisowi zdało się to znowu najwyższem szczęściem.

Miał tę młodzieńczą żywość wrażeń, które dozwalają co pół godziny uwielbiać inną piękność z najmocniejszem przekonaniem, że obojętność byłaby grzechem... Niebieskie oczy Pepity zupełnie zatarły wspomnienie owych czarnych, około których, niestety, snuła się już tkanka pajęcza przyszłych zmarszczek. Weszli więc razem do saloniku po cichu.

Baronówna czuła się w zastępstwie gospodyni powołaną do bawienia gościa.

— Gdzieżeś pan był? kogo poznałeś? — zapytała.

Simonis przyznał się prawie do wszystkiego, do przyjaciela Blumli, a nawet do rannej rozmowy z hrabiną i jutrzejszego przedstawienia u Brühla.

— Jakże pan to pogodzisz — zapytała go śmiało Pepitą — z innymi obowiązkami?

I spojrzała mu w oczy z dziecinnem zuchwalstwem.

— Z jakimi? — zapytał Simonis.

— Z tymi, o których mu mówić nie wolno, choć mnie się ich niepodobna nie domyślać.

Simonis stał zmieszany, udając, że nie rozumie; Pepita śmiało patrzała mu w oczy. Nie było to płoche dziecko,

pomimo pozoru niedoświadczonej młodości. Matka surowa wychowała tę jedynaczkę, wlewając w nią swoją duszę, i Pepita dojrzalszą była od rówieśnic swoich. Umysł jej poważny dziwił wszystkich, a kawaler Simonis, jeszcze nie mając sposobności poznać go lepiej, już ulegał jego sile, i dziwnie czuł się małym, onieśmielonym przy tem dziewczęciu.

Pytanie, które mu zadała, było dalszym ciągiem przestrogi na schodach rzuconej. Oczy, zwrócone nań, z politowaniem jakiemś go badały.

— Nie wymagam od pana wyznań żadnych — dodało dziewczę — ale mi was żal szczerze. Możecie uniknąć niebezpieczeństwa, o którem mówiłam; ale jakże z dobrej woli rzucać się chcecie w otchłań taką? I co was zmusza do tego?

Zapytanie było zuchwałe, a młodość dziewczęcia czyniła je niepojętem.

— Będę z panem bardzo otwartą, bobym pana uratować chciała — mówiła, zmierzywszy go oczyma, baronówna. — Nie potrzeba było wielkiej przenikliwości, ażeby odgadnąć, z czem pan tu przybyłeś. Stryjenka jest rodem z Prus, sprzyja Prusakom i życzy dobrze Fryderykowi. Wszyscy, co stamtąd do niej wylądowują, są posłańcami Fryderyka. I pan nim jesteś.

— Pani! — przerwał Simonis — pani się mylisz; król mnie tu nie posłał.

— Król, czy hrabina de Camas, od której list miałeś, to wszystko jedno — żywo zakończyła Pepita. — Przybyłeś tu nas badać, o nas donosić...

Simonis się zarumienił.

— O! przecież ja was nie wydam — zawołało dziewczę — bobym stryjenkę zgubiła... a was mi żal bardzo.

— Pani! — zaprotestował Simonis.

— Nie mów pan nic, nie uwierzę — mówiła baronówna — to jasne, jak na dłoni. I w tem położeniu będąc, starasz się o miejsce u ministra, o wciśnięcie się tam, o zdobycie naszych tajemnic, aby je wydać nieprzyjacielowi.

Simonis stał struchlały: słów mu zabrakło, twarz jego bladością się okryła.

— Cóż mi do tego? — odezwała się, lekko ruszając ramionami Pepita — co mi do tego? Powinnabym milczeć i nie wdawać się wcale w sprawy cudze; ale powtarzam: młody pan jesteś, żal mi go. Niesiesz głowę swoją na ofiarę nie dla kraju, bo to kraj nie wasz, nie dla wiary, nie dla rycerstwa i sławy, ale dlaczego? dlaczego?...

Założyła ręce i pilno patrzała mu w oczy. Nigdy w przykrzejszem położeniu nie był jeszcze Simonis, nawet gdy Ammon za drzwi go wypędził grubiańsko. Stał i milczał.

Piękna Pepita z założonemi rękoma, jak sędzia surowy, nie spuszczała go z oka; niekiedy lękliwie spojrzała tylko ku drzwiom, za któremi spała stara baronowa, jakby się lękała jej przebudzenia i chciała mieć czas dokończenia tej przykrej rozmowy.

Simonis miął kapelusz w ręku.

— Pojmuję zresztą — odezwała się baronówna — służbę czyjąkolwiekbądź, gdy się służyć musi; ale dwom nieprzyjaciołom służyć, jest to narażać się na to, aby jeden z nich na was się pomścił. O! żal mi was! żal mi was! — dodała, potrząsając główką.

— Daję pani słowo — zebrał się na odpowiedź Simonis — że u nikogo nie przyjąłem służby, a u hrabiego Brühla ani się jej mieć spodziewam, ani podobna, żeby mi ją ofiarowano.

— Owszem, masz pan wszystko za sobą, jesteś cudzoziemcem — z bolesnym uśmieszkiem dodała piękna

panna. — My, Sasi, nawykliśmy do tego, że nad nas przenoszą wszędzie Marcolinich, Cerrinich, Piattich, Chiaverich, Guarinich i nie wiem tam kogo jeszcze. Tytułem dla was, że nie tutejsi jesteście. Jeśli jutro Brühl wam da miejsce, których nie brakuje, cóż dalej, kawalerze de Simonis? komu się sprzeniewierzycie?

Nielitościwe dziewczę mówiło z coraz większym zapałem i niemal ironiczną pogardą.

Pod pręgierzem jej oczu stał nieszczęśliwy, wijąc się i męcząc.

— Pani — zawołał — nic się jeszcze nie stało: ja jutro zaprezentuję się ministrowi, a wieczorem opuszczę Drezno.

Dziewczę spojrzało nań.

— O! tej siły mieć nie będziecie! — rzekła. — Cóż mnie do tego! radziłabym wam tymczasem tylko jedną obrać drogę i prostą, bo dwiema nigdzie nie zajdziecie.

To mówiąc, odwróciła się szybko i przeszła w drugi koniec salonu. Simonis, odebrawszy tę naukę, stał w milczeniu ponurem. Kilka razy spojrzał ku niej, ale jej oczu nie spotkał; unikała widocznie wejrzeń jego, patrząc po ścianach i przyglądając się ze zbytnią uwagą sylwetkom na nich pozawieszanym. Kawaler się namyślał, co ma począć, i już nawet zabierał się do wyjścia, nie czekając przebudzenia baronowej, gdy drzwi od drugiego pokoju otworzyły się powoli: wtoczył się najprzód tłusty Fidel, a za nim zdziwiona nieco gośćmi, którzy czekali w salonie, staruszka. Zobaczywszy synowicę w jednym końcu pokoju, a kawalera u okna, parsknęła śmiechem i załamała ręce.

— A cóż to za skromna i grzeczna młodzież, że się nawet bez pozwolenia starszych zbliżyć nie śmie do siebie — poczęła staruszka. — Doprawdy! Oczom mi się wierzyć nie chce! Miałażbym wnosić z tego, że się państwo

aż nadto blizko wprzódy spotkali i chcecie tylko starego gderliwego oszukać Argusa?

Pepita przyszła wesoło pocałować w rękę staruszkę, rzucając z ukosa szyderski wzrok na kawalera.

— Obawialiśmy się rozmową przerwać sen baronowej! — rzekła.

— I dawnoż to trwała ta cicha zabawa?

— Przybyłem przed kwadransem — odezwał się kawaler.

— A ja przed półgodziną — dodała Pepita.

— Cóż słychać u królowej? — spytała baronowa ciekawie — ty wiesz, jak ja plotki lubię, a nigdzie ich niema tyle, jak u najjaśniejszej pani.

— Nic, oprócz że znowu Żydóweczkę z Lipska chrzcić będziemy.

— Któraż-to od przeszłego roku? — zapytała staruszka.

— Zaraz, zaraz! W marcu w roku przeszłym chrzciliśmy matkę z córkami, pamięta stryjenka? zaraz po śmierci księżny Lubomirskiej, w czerwcu parę znowu, we wrześniu dziewczynkę, a w grudniu, po narodzinach naszego księcia Antoniego, jeszcze jedną.

— I królowa to wszystko wyposaża?

— Nie sądzę, żeby jej to za złe wziąć można — odparła Pepita.

— Tak! — mruknęła staruszka cicho — nawróconych obsypują złotem, a z biednych chrześcijan ostatni grosz ciągną.

— Ale nie królowa — szepnęła Pepita.

Baronowa zamilkła, Simonis patrzał się w okno, ażeby się do rozmowy nie mieszać.

— A wy, kawalerze — spytała gospodyni — jakże się tam wam powodzi?

— To ja stryjence powiedzieć mogę — odezwała się Pepita.

— Ty, a to skąd?

— My u królowej wszak wiemy wszystko. Kawaler de Simonis dziś zrana miał szczęście prezentować się hrabinie Brühl, a jutro ma się przedstawić ministrowi. Jeżeli się nie mylę, czeka go na dworze jego ekscelencyi świetna karyera.

Baronowa spojrzała zdziwiona, jakby żądając potwierdzenia: Simonis stał ze spuszczonemi oczyma.

— Ale, kochana stryjenko — dodała głośno Pepita, patrząc z boku na delikwenta — dziwne mi się to wydaje. Kawaler de Simonis przybywa z Prus, jakże tak odrazu nawykłemu do berlińskiego powietrza ważyć się na karmienie saskiem, które jest zupełnie inne? Jak o tem stryjenka trzyma?

Baronowa kiwała głową.

— Ty bo jesteś złośliwa i długojęzyczna, ty żmijko — rzekła zmieszana — gdybyś nie była moją synowicą, nienawidziłabym cię, ale że kochać muszę... wybaczam tę paplaninę.

— Właśnie przybyłem tu — odezwał się Simonis — aby prosić o radę pani baronowej. Kazano mi się prezentować ministrowi.

— Więc już o was wiedział? cóżby to znaczyć miało? — niespokojnie spytała staruszka.

— A! w tem niema nic dziwnego — odezwał się Maks — niespodzianie wcale zastałem tu, oprócz innych ziomków moich, także przyjaciela lat młodych, niejakiego Blumli, który jest sekretarzem przy ministrze. Czasem tacy gorliwi bardzo przyjaciele niewygodni bywają. On mnie wprowadził wczoraj do kiosku i zaprezentował ministra żonie, i on, nie pytając mnie wcale, wyrobił na jutro audyencyę u ministra.

— A o czem pan nie wiesz, a co już u królowej po obiedzie wiedziano, to, że hrabina wstawiała się do męża, aby pana wziął do swego boku.

I Pepita uśmiechnęła się szydersko. Stara baronowa dziwnie pokręciła głową.

— Teraz proszę stryjenki pozwolić mi puścić trochę cugle wyobraźni — mówiła Pepita. — Pan kawaler de Simonis nie napróżno rok jakiś przeżył w Berlinie, musi tam mieć dobrych znajomych, serdecznych przyjaciół, ziomków... musi też do nich pisywać! to rzecz naturalna! Będąc u tego boku ministra, z którego wiele widać, nuż się wypisze w liście do Berlina z jaką wiadomością ciekawą... Ponieważ w Wiedniu wiedzą wszystko, co kto czyta w Berlinie, list przyjdzie w kopii do Kaunitza, od niego do Fleminga, od tego do Brühla i kawaler de Simonis dostanie bezpłatnie pokoik w Koenigsteinie.

To mówiąc, dygnęła i rozśmiała się głośno. Kawaler de Simonis stał ze spuszczoną głową, stara zacisnęła usta i zamyśliła się głęboko, nie mówiąc słowa.

Pepita zaś, wypaplawszy się z tem, co na sercu miała, zbliżyła się do ściany i zaczęła pilnie bardzo przypatrywać się sylwetkom.

Milczenie trwało chwilę. Dziewczę, które czuło, jakie wrażenie uczynić musiało, udało, że nie przywiązuje wagi do słów swoich, i zwróciło się do stryjenki.

— Ten rok już nie dorównywa przeszłemu — rzekła. — Gdybyś pan tu był w przeszłym przyjechał, gdy grano Artemizę Hassego, w której trzystu tancerzy występowało w balecie!... albo gdy w styczniu, w zapusty przedstawiono Ezio (Aëtius) z takim przepychem... Nawet stryjenka dała się zaprowadzić do loży. Oprócz Włochów artystów, mieliśmy na scenie szesnaście koni, osiem wielbłądów, muły, wozy, całą stajnię i menażeryę. Cudne to było i nie więcej jak sto tysięcy kosztowało.

Wprawdzie — dodała, szczebiocząc ciągle — ja taka jestem dziecinna, że, wykradłszy się do Gewandhausu, gdy grano dla ludu... pana von Habenichts, więcej się nim bawiłam, niż zwycięzcą nad Attylą; ale ja...

— O! ty! ty! — przerwała stryjenka, grożąc — kto ciebie zrozumie, kto twój języreк wstrzyma i kto ci da pomiarkowanie!

Pepita przybiegła pocałować ją w ręce i gderanie skończyło się uściskiem.

— Wiesz jednak, kochany kawalerze de Simonis — rzekła stara — ten trzpiot, papląc tak co mu ślina do gęby przyniesie, czasem i do rzeczy coś powie. Otóż i dziś...

Spojrzała nań, dając mu znak.

— Co wy na to?

— Właśnie na wypadek, gdyby... czego się nie spodziewam, zbyt gorliwy przyjaciel miał mi w istocie postarać się o nieproszone miejsce, radzić się chciałem, co mam czynić?

Pepita, milcząc, z założonemi na piersiach rękoma patrzała na niego i na stryjenkę; czekała, co powie baronowa: ta byłaby może wcale inaczej radziła Simonisowi, gdyby nie synowica i wszystko, co poprzedziło pytanie.

— Nad tem się namyślić potrzeba — rzekła cicho.

Domawiała tych wyrazów, gdy w przedpokoju hałas się wszczął jakiś, jak gdyby cisnął się ktoś, kogo dopuścić nie chciano. Usłużne dziewczę wybiegło do Gertrudy, ale nie wróciło rychło. W przedpokoju słychać było głos gruby męski, sprzeczający się ze sługą.

Niespokojna baronowa sama już gotowa była wynijść się dowiedzieć, gdy żołnierz w dosyć nędznem ubraniu, w zabłoconych butach wdarł się do salonu, obejrzał z obawą jakąś, dostrzegł gospodynię, wcisnął jej prędko

w rękę kawałek papieru i prędzej jeszcze uszedł; tak, że nim baronowa oddaną kartkę otworzyć czas miała, słyszeć już było stukanie jego ciężkich butów po schodach.

W tem wszystkiem było coś tak przerażającego, niezwykłego, że nawet powracająca od Gertrudy śmiała Pepita blada była i przestraszona.

Baronowa drżącemi rękoma, rzuciwszy się na fotel, usiłowała brudną rozerwać kartkę, którą jej żołnierz oddał. Ale przestrach i zdziwienie nie dozwoliły jej tak łatwo, ani rozpieczętować, ani bladego pisma odczytać. Domyślała się już w tem czegoś takiego, czego przy Pepicie nie rada była czytać, a ciekawe dziewczę stało nad nią, oczyma usiłując odkryć, co na kartce stało.

— Moje okulary! — odezwała się baronowa.

Pepita chciała iść po nie, ale stara ręką ją zlekka odtrąciła i weszła drżącym krokiem do drugiego pokoju, drzwi zamykając za sobą.

Pepita i Simonis zostali znowu sam-na-sam, a Fidel powlókł się za panią. Wtem lekki wykrzyk dał się słyszeć z gabinetu baronowej i jakby ciężkie upadnięcie na krzesło. Pepita pobiegła do stryjenki. Przez drzwi otwarte Simonis mógł tylko dojrzeć staruszkę na fotelu, w ściśniętej ręce trzymającą konwulsyjnie papier, z obawy zapewne, aby Pepita go nie pochwyciła.

— Co się stało? co stryjence jest?

Baronowa miała czas się opamiętać.

— Nic, nic; bądź spokojna: moja stara przyjaciółka, dawna sługa, Barbara Tuchlaubin, chora.

Pepita spojrzała stryjence w oczy i nie odpowiedziała nic. Czy uwierzyła nowinie, trudno było poznać; minkę zrobiła dziwną, jakby urażoną trochę... Simonis, widząc, że wcale tu jest nie potrzebny, chciał odejść; ale widząc, że się żegna, pani Nostitz dała mu znak potajemny, aby pozostał. Posłuszny, zatrzymał się nieco, a ba-

ronowa, ochłonąwszy, wróciła do salonu. Synowica spojrzała na zegar, potem na Simonisa, i ze stolika chwyciła chusteczkę, którą narzuciła na włosy.

— Ja muszę iść — rzekła. — Niech stryjenka nie troszczy się zbytnio Tuchlaubinową, ja jej poślę doktora.

I zdala tylko główką skinąwszy Simonisowi, wybiegła żywo.

Po jej wyjściu czas jakiś panowało milczenie; staruszka zdawała się wyczekiwać, aby Pepita wyszła z domu, i dopiero usłyszawszy drzwi zamykające się za nią, zwróciła się, łamiąc ręce, do Simonisa:

— Nie wiecie nic! dziś w nocy Feulnera wzięto i na Koenigstein zawieziono. Któż wie, co znaleźć u niego mogli? On był tak nieostrożny!

— Ale wczoraj jeszcze — zawołał strwożony i zbladły Simonis — jeszcze wczoraj...

— Dają mi znać! niema wątpliwości... Kawalerze de Simonis, bądź mi pomocą: potrzeba palić papiery; mogą napaść i na mnie. Ktoś nas zdradził.

Simonis podał rękę drżącej staruszce i z nią razem przeszedł do gabinetu; musiał wydobyte z osobnej szkatułki papiery palić z nią na kominku, stojąc na straży, aby Gertruda nie weszła w czasie tego palenia, bo baronowa i jej się obawiała. Gdy ostatni kawałek listu dogorzał i popioły zostały zmiecione, baronowa odetchnęła. Lecz po wzruszeniu doznanem, ani rozmawiać, ani radzić już nie mogła i skinieniem ręki pożegnała gościa, który wyszedł na palcach.

Na progu znalazł się Maks jeszcze mniej pewien tego, co ma począć, i więcej przelękły, niż gdy tu szedł, aby od baronowej zasięgnąć światła. Nie mając po co wracać do mieszkania, z gotowym listem do hrabiny de Camas, który miał w kieszeni, pociągnął do Beguelina. Chciał go się pozbyć co prędzej.

Wywiezienie Feulnera, z którym niedawno zabrał poufałą znajomość, kazało mu się obawiać wszystkiego. Każda twarz nieznajoma, z którą się spotykał, każdy człowiek, idący za nim, zdawał mu się podejrzanym: oglądał się z trwogą. Przyszło mu na myśl dziwnie prorocze zakończenie rozmowy ze starym Mentzlem, wyliczającym kapitanowi wszystkich wysłanych do Koenigsteinu. Była to jakby przepowiednia!

Pośpiesznym krokiem, o ile znajomość miasta dozwalała, mniejszemi uliczkami przerznął się do dworku Beguelina. Obawiał się go nie zastać, ale z okna po prawej stronie wyjrzał radca i drzwi mu sam otworzył.

Blady był i poruszony mocno.

Milcząc, wpuścił go do swojego gabinetu i nierychło po przywitaniu usta otworzył. Simonis też musiał niezbyt wesoło wyglądać.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Co słychać? — rzekł Beguelin.

— Nic nie wiem, oprócz... oprócz, że niejakiego kapitana Feulnera na Koenigstein zawieziono — rzekł Simonis — a przyznam się panu, że mnie to tembardziej obeszło, iż właśnie z nim byłem zabrał znajomość.

— A! a! a! — wykrzyknął Beguelin i obejrzał się dokoła. — Nie dobrze jest — rzekł — coś zwąchali... mnie i nas wszystkich śledzą; do nikogo się zbliżyć, zagadać nie mogę nawet. Jesteśmy my wszyscy Prusacy tu jak zapowietrzeni! Cóż u kata! Wojna nie wybuchła żadna! Stosunki dyplomatyczne nie są zerwane!

Ledwie tych słów domawiał, gdy do okna od dziedzińca zapukano szybko. Beguelin pochwycił Simonisa za barki i, nie mówiąc słowa, wepchnął go przez ciasne drzwiczki do drugiej izby, zamykając je na klucz.

Kawaler de Simonis znalazł się niespodzianie w obszernej drewnianej salce, jakby na prędce skleconej, w któ-

rej z jednej strony leżały sery, bo nimi Beguelin z Neufchatelu handlował, z drugiej książki kancelaryjne. Zapach tłustości i stęchlizny papierowej pomieszany razem wcale nie był przyjemny. Chwilowe to więzienie, oświecone małemi dwoma okienkami zakratowanemi u góry, smutne było i brudne. Próżne pudła, porwane sznurki leżały na ziemi i siąść nawet nie było na czem.

Od kancelaryi Beguelina dochodził głos żywej rozmowy.

Simonis nie uczuł się wcale grzesznym, oko przykładając do dziurki we drzwiach i nadstawiając pilnie ucha.

Głos był mu znajomy, nierychło jednak potrafił szczupłym otworem dojrzeć tego staruszka Mentzla, który tak dziwnie prorokował kapitanowi. Stał on tu blady, przelękły, oglądając się i łamiąc ręce.

— Jestem zgubiony, panie radco! zgubiony przez was! tak! przez was, którym za psie pieniędze służyłem. W waszej kancelaryi cesarzowa ma szpiegów; wszystkie depesze, które ja wam dałem, jej posłano; kazała Flemingowi ostrzedz Brühla. Już dziś zamki opatrywano, mnie egzaminowano, szafę badano... Rozumiesz to pan?...

— Ale rozumiem — rzekł Beguelin.

— Oni mnie powiesić gotowi! — dodał Mentzel, ręce łamiąc — za te nędzne wasze pieniądze.

Bezmyślnie Szwajcar powtórzył:

— A gotowi, a gotowi!

— I ja nawet uciekać nie mogę! ja mam żonę, dzieci, dom, familię...

Załamał ręce.

— Kusiliście mnie, jak dyabli — wołał Mentzel, zapominając się i głos podnosząc. — Opierałem się. Nie mogłem przecież tej zamczystej szafy palcem otworzyć, toście mi dwa razy po pęku kluczów przysyłali z Berlina, póki licho nie nadało i jeden z nich nie otworzył. Więcej jak cztery razy nie sięgnąłem do tej nieszczęsnej szafki, i to trzeba niedzieli czekać lub czwartku, a południowe godziny wybierać, kiedy w izbie nikogo oprócz mnie nie było. Daliście mi słowo, że depesze w kieszeni u króla zostaną, że nikt o tem wiedzieć nie będzie, a sekretarz Plassmann posyłał je panu Benoit, a Funka depesze petersburskie już w Wiedniu znają. I coście mi za to dali? co?

— A, ja nie wiem! — rzekł Beguelin — wyście się sobie układali z baronem Maltzanem; ja umywam ręce...

— Ale ja stąd nie wyjdę krokiem bez tysiąca talarów! — zawołał Mentzel — darmo! Któż wie? gotówem żonę i dzieci porzucić, aby życie ratować. Brühl mnie zetnie lub powiesi, albo ćwiertować, albo kołem bić każe. Ja! ja!...

Zabrakło mu tchu.

— Tysiąc talarów! ale ja nie mam pieniędzy! To do mnie nie należy. Idźcie sobie do hrabiego Beesa, do Ammona, do dyabła — krzyknął Beguelin — ja wam nie dam nic... nic... nic...

Mentzel stał przybity; usta mu się skrzywiły, zacisnął pięści, przyłożył je niemal do twarzy radcy, potrzymał tak chwilę, plunął i, drzwiami trzasnąwszy, wyszedł.

Beguelin zamyślony stał chwilę, dopóki pukanie we drzwi Simonisa nie przypomniało mu, że powinien był otworzyć więźniowi. Nie śpieszył z tem jednak, dopóki nie był pewien, że Mentzel, który przez ogrody się tu wdrapał, nie odszedł bezpowrotnie.

Naówczas wypuścił kawalera, przepraszając go.

— Spodziewam się, że mi tego za złe nie weźmiecie — rzekł. — Z tym dyabłem Mentzlem nie można sobie dać rady. Nie chciałem, aby was widział u mnie. Gdy

go złapią i dadzą na męki, gotów śpiewać wszystko, co wie i co mu na język ślina przyniesie.

Simonis zbierał się na odpowiedź, gdy na mostku, prowadzącym do dworku od ulicy, stąpanie żywe słyszeć się dało i nim Beguelin po raz wtóry z serami zamknąć pośpieszył kawalera, wszedł Ammon.

Zobaczywszy krewniaka, zdumiał się mocno. On i Beguelin byli w stosunkach najnieprzyjemniejszych, zetknęli się więc, jak dwa jeże. Simonis, który jeszcze się był nie pozbył listu, stał na boku. Zamiast się zwrócić ku radcy, Ammon wprost skierował się na kuzynka.

— A waćpan tu co robisz? — zapytał.

— Nie widzę obowiązku tłómaczenia się — rzekł Simonis.

Ammon obrócił się do Beguelina.

— Mam w interesie urzędowym do pomówienia z waćpanem. Zlecenie jest pilne. Nie mogę go spełnić przy tym jegomości, a czekać, aż mu się podoba wyjść, nie mam czasu.

— Ja także mam tak jak urzędowy interes do radcy Beguelina — odezwał się Simonis — i oddalić się nie mogę.

— Fanfaron! patrzcie go! — krzyknął Ammon — on ma interes urzędowy! Ktoby go takiemu świszczypałce polecił...

Beguelin przybrał postawę poważną.

— Przepraszam pana radcę — rzekł — kawaler de Simonis w istocie jest mi poleconym z Berlina.

— Co za kawaler? skądże wziął u dyabła to kawalerstwo? Przyśniło mu się: prosty Simonis...

— Panie radco! — zawołał Maks.

— Mości Maksie! — odparł Ammon.

Zanosiło się na scenę nieprzyjemną, gdy Beguelin szybko kantorek swój zamknął na klucz i odezwał się:

— Kawaler de Simonis zaczeka tu na mnie, a radcę proszę do biura.

Nie mówiąc słowa, Ammon rzucił tylko okiem wzgardliwie na kuzyna i wyszli.

Maks padł na krzesło znużony i gniewny. Wszystko, co się z nim działo od wyjazdu z Berlina, wprawiało go w rodzaj gorączki. Czuł, że to przejście do czynnego życia niemal siły jego przechodziło. Żal mu było spokojnej izby u cukiernika i dni tam na marzeniach spędzonych. Po kwadransie tych rozmyślań ujrzał wreszcie oddalającego się Ammona: Beguelin powrócił chmurny. Nie czekając dłużej, Simonis list mu wręczył.

Radca zważył go na ręku.

— Mam polecenie od hrabiny do pana — rzekł — jest to właśnie chwila, gdy wszystko, co się tu dzieje, niezmiernie nas obchodzi. Trzeba się docisnąć do wojskowych, na dwór, do Brühla. Każde słowo pochwycone drogocenne. Wiemy, że na papierze mają trzydzieści tysięcy. Hę? ale nas upewniają, że niema go więcej w istocie nad połowę, a generałów półtorasta, oprócz Rutowskiego niewiele wartych. Waćpan się musisz prawdy dobadać; to wasza rzecz.

— Ale niebezpieczeństwo!...

— Hę? — spytał Beguelin — albożeś waćpan nie wiedział, jadąc tu, czem to pachnie?? Zresztą, niebezpieczeństwo niewielkie, byleś się waćpan wykręcał kilka tygodni jeszcze.

— Jakto, kilka tygodni? — spytał Simonis.

— A tak! — odparł Beguelin, ręce zakładając w kieszenie. — Za kilka tygodni (tu do ucha mu się nachylił) my tu panami będziemy.

Simonis zamilkł ze zdumienia. Beguelin śmiał się.

— Jak mnie waćpan żywego widzisz — rzekł — dlatego ja moje sery radbym spieniężył wprzódy, nim

nasi przyjdą, bo je gotowi wziąć nawet ode mnie w kontrybucyi. Jużciż wolałbym, żeby je na kwitki wzięli u kupców, niż u mnie. Zobligujesz mnie, miły kawalerze, jeśliby ci się trafiło kupca mi na sery nastręczyć. Nie śmiej się z tego, że dyplomacya pruska serami handluje: bardzo nam licho król płaci, nie tak, jak August Brühlowi. Co pan chcesz? u Herzberga na korytarzu mleko sprzedaje baba na jego rachunek, a hrabiemu Lusi w Londynie pozwolono olejem handlować:*) czemubym ja nie miał serem?

Beguelin rozśmiał się i, pozbywając Simonisa, skłonił się i drzwi mu otworzył.

VII.

Mrok był w ulicy, gdy nasz Maks wydobył się od radcy, handlarza serami, i odetchnął lżej, odbiegłszy spory kawał od jego dworku. Był już pewnym, że dnia tego przygody szczęśliwie przebrnął. Mentzel jednak ze swymi żalami i zdradzoną tajemnicą, kapitan Feulner wywieziony, Pepita, która go odgadła i zawstydziła, Brühlowa z oczyma czarnemi, jutrzejsze posłuchanie u ministra, uwijały mu się po głowie. Szedł tak ze spuszczonemi oczyma, kierując się machinalnie ku domowi, gdy nagle uczuł się potrąconym.

Naprzeciw niego niosło dwóch w kanarkowych frakach tragarzy lektykę, która go właśnie mijała. Z okna wychyliła się głowa w kilkopiętrowej peruce i okrzyk dał się słyszeć: „Halt! halt!“

Tragarze stanęli. Simonis mimowolnie się zatrzymał przez ciekawość, chociaż ani przypuszczał, ażeby miał

*) Historyczne.

być przyczyną zatrzymania lektyki. Wpatrując się dopiero uważniej w twarzyczkę zbyt jaskrawą, białą i różową, aby naturalnymi kolory tak jaśnieć mogła, poznał w niej swą towarzyszkę podróży, czułą Doris, która, przybywszy z nim ową budą, w Dreznie dobiła się lektyki... Była nawet bardzo wystrojoną, a na twarzy, o ile róż i bielidło dozwalalały, malowała się radość jakaś i rozpromienienie.

Lektyka stała już na miejscu, jak wryta, a panna Doris, wychylona z niej, domagała się gwałtownie od towarzysza podróży, aby się do niej przybliżył.

— A! jakżem szczęśliwa, że pana spotykam! Chodź pan... słówko tylko! muszę panu opowiedzieć moją historyę. Powiodło mi się nader szczęśliwie. Znalazłam tu przyjaciółkę dawną, od serca, która mi miejsce wyrobiła w teatrze. To kobieta, która co chce, może... Przez nią ja wam nawet dać mogę protekcyę.

Tu się uśmiechnęła.

— Tak! tak! Poczciwa Mina mnie przytuliła. Wiecie, kto jest Mina?...

— Nie, pani — rzekł Simonis, trochę szczebiotaniem tem onieśmielony i przestraszony — nic nie wiem, kto jest Mina.

— Tak, boście wy tu obcy! Przecież to cały świat wie, że minister oprócz żony, której kochać nie potrzebuje, bo ją tam inni za niego kochają, ma hrabinę Moszyńską w sercu, hrabinę Sternberg w uwielbieniu, dla rozrywki w czarnych godzinach Terenię Albuzzi, a najulubieńszą mu ze wszystkich jest moja Mina, Mina Tennert. Żebyś wiedział pan, jaką kamienicę postawił dla Miny!

Tu nachyliła mu się do ucha:

— Nie bardzo ona mu jest wierną, ale jemu o to nie idzie; chce, gdy się zmęczy, znaleźć twarz wesołą

i szczebiotanie miłe. Mina umie doskonale rozerwać, a Mina jest moją przyjaciółką od serca. Kochamy się, jak dwie Lesbianki.

Kawaler wyrażenia tego nie zrozumiał, i radby był zwierzeń dalszych uniknąć; zbywał więc milczeniem pannę Doris, gdy ta, obawiając się, aby jej nie uszedł, zatrzymała go, chwytając ręką.

— Jadę właśnie do Miny, a waćpan musisz mi towarzyszyć: nic nie pomoże.

— Kiedykolwiekbądź, ale nie dziś! — zawołał Simonis.

— Nieodmiennie dziś! koniecznie dziś! Wieczorem u niej nikogo nie będzie. Minister ma jakieś kłopoty, które go zatrzymują w domu. Powiem panu pod sekretem: Mina się kocha w sekretarzu Brühla, w Szwajcarze Blumli. On wiele może, ja pana z nim poznam.

Simonis aż drgnął, chciał się właśnie z Blumlim zobaczyć.

— A! jeśli Blumli będzie, służę! — zawołał.

— Widzisz! widzisz waćpan, jak jesteś niegrzeczny, dla mnie-byś nie poszedł, a dla tego...

— To mój przyjaciel, rodak.

Doris skinęła na tragarzy.

— Idź waćpan przy mnie! — rzekła. — Jak mnie pan dziś znajdujesz? Nieprawda, że mi w tych włosach do twarzy? Fryzyer królewski zaklinał mi się, że nie dałby mi lat dwudziestu!

Tu westchnęła.

— Winnam Minie, że mi i wesołość i młodość wróciła.

Tak szczebiocząc i nie puszczając Simonisa od siebie, Francuzka zaprowadziła go do domu zajmowanego przez sławną śpiewaczkę, Wilhelminę Tennert.

Jak Albuzzi, dla której Brühl wzniósł sławną rotundę, panna Tennert miała jeśli nie pałac, to wcale pokaźną kamienicę z ogrodem na Wildrufskiem przedmieściu. Tam, gdzie minister spędzał czasem wieczory, nie mogło być zbyt ubogo i skromnie. Na mniejszą skalę był to pałacyk wielkiej pani lub słynnej artystki. Na schodach, u dołu, stały dwie marmurowe postacie, trzymające lampy w podniesionych do góry rękach. Były to napół obnażone kobiety, obwite wieńcami kwiatów i liści. Dwóch lokaików w liberyi seledynowej przyjęło gości na dole. Doris, wyszedłszy z lektyki, wiodła jeńca swojego na pierwsze piętro. W przedpokoju stał lokaj w takichże seledynach i peruce przepysznej, ten otworzył im drzwi do niewielkiego saloniku, który był prawdziwem cackiem. W białych ze złotymi promykami ramach, okrywało go obicie atłasowe w kwiaty bukietami rzucane. Do tej bieli, złota i kwiatów stosowało się wszystko: ramy zwierciadeł porcelanowe, komin podobny, pająk z kwiatów, ptaków i motylów, sprzęt okryty takimże atłasem.

Pod oknami w ogromnych wazonach z porcelany rozpierały się bujno wyrastające kwiaty żywe, a wpośród nich stała właśnie piękna Mina, rozmawiając z Blumlim.

Mina, choć już dawno minęło jej lat dwadzieścia, trzymała się jeszcze, jakby więcej nad nie nie miała. Był to typ prawdziwie niemieckiej piękności: włosy złoto-blond, oczy niebieskie, cera biała i przezroczysta, wzrost ogromny, coś niby przypominającego Tusneldę dziką, której dłoń mogła napiąć łuk i dźwignąć pałkę w potrzebie. Majestatycznie wyglądała, lecz niewieściego wdzięku jej brakło i chłodna otaczała ją atmosfera. Nie można było nie uznać jej piękną, a Simonisowi zdało się, iż w tej piękności chyba znużony minister dla odmiany mógł się zakochać. Mówiono, że głos miała bardzo ładny i potężny.

Zobaczywszy ją, Doris rzuciła się ku niej z ognistymi objawy przyjaźni, jak gdyby się lat kilka nie widziały. Blumli, zobaczywszy idącego za nią Simonisa, niezmiernie się zdumiał.

— Złapałam tego pana, którego poznałam w podróży, bardzo miłego, aby go tu przyprowadzić, kochana Mino. Spodziewam się tembardziej, iż mi tego nie weźmiesz za złe, bo jest przyjacielem twojego przyjaciela.

Piękna Mina, obejrzawszy Szwajcara zdala, dosyć go zimno powitała. Nie była wogóle rada gościom, mając u siebie swego Blumli. I Blumli jakoś chłodno przyjął Simonisa, ale Doris, nie zważając na nic, w najlepszym humorze gospodarowała już po salonie.

Kawaler wytłómaczył się w kilku słowach przed panią domu i Blumlego wziął na stronę.

— Nie mogłem się oprzeć tej babie — szepnął mu w ucho — widzę, że nie jestem tu gościem pożądanym, ani ja, ani ona; lecz potrzebowałem kilka słów pomówić z tobą i natychmiast się wymknę.

— Gdybyś i starą tę doryndę zabrał z sobą! — zawołał Blumli — ale takiego heroizmu wymagać po tobie nie mogę.

— Jakimże sposobem stało się, iż jutro już mam być ministrowi przedstawiony? — zapytał Simonis.

— Najprostszym w świecie: wpadłeś w oko hrabinie, kazała, aby cię poznał i dał ci miejsce u dworu.

— Ale ja, ja miejsca przyjąć... ja nie umiem — zmieszany odparł Simonis.

— Dlaczegóż? — rzekł zadziwiony Blumli — odpychasz szczęście, które cię spotyka. Hrabina ci się podobała, jesteś wolny, obowiązki sekretarza będziesz, zdaje mi się, pełnił więcej w jej kancelaryi, niż w naszej. Cóż może być pomyślniejszego!

— Będę otwartym — odezwał się Simonis — namyślilem się. Nie życzę sobie losu Seyferta, pręgierza i Koenigsteinu. Jestem młody, za serce ręczyć nie mogę.

Blumli nań patrzał z uwagą.

— Nie rozumiem cię — rzekł — coś innego stać musi na przeszkodzie; znam cię z dawniejszych czasów i z pierwszej rozmowy, byłeś innym. Cóż to? nastraszono cię?

— Tłómacz to, jak chcesz!

— Jużciż cię stary szkielet Dorydy nie zbałamucił! — rozśmiał się Blumli. — Ha! postąpisz, jak zechcesz, zmusić cię przecież nie mogę, ani ja namawiać będę. Przedstawienie się ministrowi do niczego nie obowiązuje.

Simonis zmilczał i rozmowa na chwilę przerwana została. Dosyć zręcznie potem kawaler nasz potrafił ją przeprowadzić na przedmiot inny.

— Cóż to jest, com słyszał w mieście? — szepnął cicho — aresztowano jakiegoś Feulnera.

Blumli ruszył ramionami.

— Chleb powszedni — rzekł obojętnie — kapitanów codzień ślą do fortecy, bo dokazują wielce, o tym coś bąkają, że się z Prusakami zwąchał, a my dziś na to jesteśmy drażliwi. Wyobraź sobie — dodał — iż nam Prusacy depesze kradną z przed nosa. Brühl jest bardzo grzeczny, ale kto się w jego białe rączki dostanie, tego można pożegnać na zawsze.

Piękna Mina dopomniała się o swojego faworyta i odebrała go Simonisowi, dając mu w zamian niebezpiecznie dnia tego ożywioną Doris, której przy kawalerze przychodziły śmieszne reminiscencye młodości. Simonis, nie mając ochoty grać w nich żadnej roli, zabawił krótko i umknął jak mógł najprędzej.

Księżyc przyświecał mu w drodze do kamienicy pani baronowej. O tej porze wszystkie już domy w mieście, oprócz publicznych lokalów, były pozamykane, ale kawa-

ler, obyczajem drezdeńskim, opatrzony był kluczem, który mu wrota otworzył.

Noc przeszła więcej na niespokojnych marzeniach, niż na śnie, który ledwie nad rankiem skleił powieki.

Posłuchanie wyznaczone było na niezbyt wczesną godzinę; Simonis, skromnie ale ze smakiem przybrany czarno, poszedł do kancelaryi do Blumlego. Było to właściwie ognisko, z którego rozkazy na całą rozchodziły się Saksonię.

Brühl kierował tylko głównemi rozporządzeniami, środki wykonania zostawiając podwładnym. Tych ośmiu panów sekretarzy panowało w istocie z mocą nieograniczoną. Znać było to uczucie ich potęgi po twarzach młodych panów, wyrażających najzupełniejszą wzgardę dla rodzaju ludzkiego.

Gdy Simonis wszedł na próg, oczy wszystkich zwróciły się na niego raczej ciekawie, niż życzliwie. Widzieli w nim współzawodnika a może niebezpiecznego faworyta. Wprawdzie panowie ci kręcili się tu z rękoma pod poły fraków i za żaboty u kamizeli pozakładanemi, niekiedy spoglądali na robotę młodych kancelistów, ale interesa bieżące wcale się ich nie zdawały obchodzić. Mówiono o Faustynie, o Teresie, o Minie i o mnóstwie innych kobiet, o teatrze, o polowaniu, tylko nie o nudnych sprawach administracyi.

Simonis wszedł w chwili, gdy z rozkazu ministra wykomenderowywano jednego z radców, dając mu w pomoc szwadron konnicy, dla ściągnięcia zaległego podatku w górnych powiatach, gdzie ludność odmawiała należnej panu daniny, pod pozorem nieurodzaju i głodu. Rozkazy były wyraźne; podatek ściągniętym być musiał dla samego przykładu i wpojenia tej zdrowej zasady, którą Brühl się zawsze kierował: Nicht raisonniren.

Rezonowaniem zwała się każda wymówka od spełnienia świętych obowiązków.

Z okien później mógł się Simonis przypatrzyć, jak radca jechał otoczony konnicą, wioząc za sobą pisarzy dla protokułów, pachołków dla przytrzymania rezonujących i gawiedź sądową, aby forma legalna w domierzeniu słusznej kary była zachowaną. Blumli, chodzący jak inni z rękoma w kieszeniach, o naznaczonej godzinie udał się z kawalerem de Simonis do gabinetu ministra.

Brühl niezmierną i bardzo słuszną przywiązywał wagę do pierwszego wrażenia, jakie miał wywrzeć na obcym człowieku. Wszystko u niego było obrachowanem: tło, na jakiem się miał malować, akcesorya obrazu, wyraz twarzy, strój, poza. Tym razem siedział w fotelu rozparty z nogą założoną na nogę, cały w jedwabiach, szytych srebrem, w koronkach, w peruce, którą amorki chyba fryzować musiały, a której wdzięk nie uwłaczał powadze. Ciężar spraw kraju i polityki europejskiej spoczywał na czole osłoniętem lekką chmurą.

W białej, pulchnej rączce trzymał na kolanie spartą tabakierkę emaliowaną. Przed nim leżał stos listów. Nieinaczej byłby usiadł do portretu dla potomności. Gdy Blumli drzwi otworzył i Simonisa wprowadził, minister zrazu nie posłyszał nic i nie spostrzegł, zatopiony w głębokich kombinacyach polityki europejskiej, którą był pewnym, że ukryty w Saksonii kieruje; dopiero za zbliżeniem się ich, przybrał nader uprzejmą postać i z gibkimi ruchy, pełnymi elegancyi, dając poznać w sobie człowieka wielkiego świata, godnego dworu Ludwików, przyjął Simonisa protekcyonalnym uśmiechem. Machinalnie otworzył tabakierkę, patrząc w niebo, palcami rozstrzępionymi, aby na nich solitery tego dnia będące na dyżurze widać było, wziął szczyptę i poniósł ją roztargniony, rozmawiając, do pięknego nosa. Usta tymczasem

wyginały się z całą gamą stłumionych różnych wyrazów, odgrywając z wdziękiem nieporównanym.

— Bardzo się cieszę z poznania pana — rzekł, cedząc powoli — bardzo się cieszę.

Oczyma tymczasem egzaminował młodzieńczą postać filuta, który z mniejszą wprawą grał, już jak wirtuoz wielkich nadziei, swą pierwszą rolę na dworze. Brühlowi wydał się skromnym i naiwnym.

— Bardzo się cieszę — powtórzył minister. — Kraj Helwetów dostarcza nam najzdolniejszych we wszystkich zawodach urzędników, artystów, uczonych.. A pan jakiemu się powołaniu chcesz poświęcić?—dodał z uśmiechem.

Simonis namyślał się nieco.

— Właśnie chciałbym samego siebie doświadczyć i wypróbować — rzekł skromnie — jestem młodym i niewprawnym.

— Wyznanie pełne skromności — ciągle się w niego wpatrując, mówił minister — daje to o waćpanu najlepsze wyobrażenie. Cieszyłbym się, gdybym mógł go tu zużytkować.

— Byłoby to dla mnie największem szczęściem, w usługach tak znakomitego męża stanu, jak Wasza Ekscelencya, pierwsze stawić kroki, ale nie czuję się do tego zdolnym.

To mówiąc, skłonił się dziękczynnie. Brühl uśmiechnął się; skromność przypadła mu do smaku.

— Ja też bardzobym rad zdolnego i tak pełnego nadziei młodzieńca mieć przy sobie — odparł, zbliżając się — ale powiedz-że mi, kawalerze, otwarcie, do czego się przykładałeś?

— Ja? Wasza Ekscelencya ciężkie mi do odpowiedzi dajesz pytanie — rzekł żywo Simonis — uczyłem się potrosze wszystkiego, a umiem niewiele. Kilka języków posiadam nieźle, lubię muzykę, rysowałem trochę, nie jest mi obcą matematyka; lecz wszystko to potrzebuje bez wątpienia wprawy i dopełnienia.

— A! — zawołał Brühl — jakże z kaligrafią? charakter wyraźny?

— Starałem się o to — odparł Simonis.

Minister, który snadź był nawykł, że mu się inni kandydaci zbyt przechwalali, zdumiony był nieco.

— Będę miał miejsce w mojej kancelaryi — rzekł — możebyś je waćpan chciał zająć przy korespondencyi zagranicznej.

Simonis skłonił się nizko.

— Wielkie to i niespodziane dla mnie będzie szczęście, pracować pod zwierzchnictwem tak wielkiego ministra, którego Europa cała wielbi i podziwia; ale Wasza Ekscelencya raczysz mi dozwolić choć miesiąc czasu, abym się obeznał ze stosunkami miejscowymi.

— Prawdziwie, zachwycasz mnie waćpan taktem i rozumem nad wiek! — zawołał Brühl. — Proszę bardzo, masz waćpan od dziś dnia wstęp wolny do mnie, dla obeznania się z porządkiem, a rozpoczniesz pracę, gdy zechcesz.

Zażył tabaki, strzepnął starannie koronkowe mankietki i spojrzał w zwierciadło boczne, które mu poświadczyło, że postawę i minę miał Richelieu'go lub Mazarina.

— Masz waćpan familię? — spytał.

— Nikogo, oprócz siostry, którą w Berlinie zostawiłem.

— Stosunki? znajomych?...

— Bardzo mało, a głównie pan Blumli jest i był łaskawym moim opiekunem. Nie będę też tail przed Waszą Ekscelencyą, jegomość pan radca Ammon jest mi krewnym, ale on mnie a ja jego nienawidzę.

— A! a! — zawołał zdumiony Brühl — a toż dlaczego? Radca Ammon jest człowiek wielce szanowny.

— Tak, ale mnie, przybyłego po radę, przyjął jak włóczęgę, a uczucie osobistej godności nie dozwala mi mieć z nim stosunków.

Brühl się zamyślił i machinalnie sięgnął do tabaki.

— Wielka szkoda — rzekł — wielka; na ten raz byłoby mi się to wielce przydało. Ale, zdaje mi się, że ja panów do siebie przybliżę.

To mówiąc, spojrzał na zegarek.

— A zatem, szanowny kawalerze — dodał — zrozumiejmy się: vous êtes des nôtres, daję panu tylko urlop na miesiąc.

Simonis zaczął dziękować, ale Brühl już się odwrócił, ręką okazując, że tego nie wymaga. Pobiegł z pośpiechem do biurka, jakby przestraszony nawałem pracy, która go czekała. Simonis wyszedł.

Zaledwie się zamknęły drzwi, minister papier wzięty do ręki rzucił i głęboko się zamyślił. Gdzie myśli jego błądziły, któż odgadnie? Wzdychał niekiedy. Zbliżała się godzina, w której dziś wyjątkowo u króla być musiał, bo najjaśniejszy pan po niego przysyłał, dając mu znać, że czeka w interesie niecierpiącym zwłoki.

Już miał zadzwonić o lektykę, gdy bez zapukania wpadł wysokiego wzrostu, piękny i Augusta Mocnego twarzą i postawą przypominający, w wojskowym mundurze mężczyzna. Był to generał Rutowski, syn ostatniego króla, wojskowy z powołania i z upodobania, żołnierz, galant, rycerz, którego nawet Brühl szanował, bo nie obawiał się z jego strony żadnej intrygi, a rachował nań w przypadku wojny.

Na tej nieumiejącej nic ukryć twarzy człowieka, charakteru z natury otwartego i żywego, każde wrażenie malowało się, jak w zwierciedle. Spojrzawszy nań, Brühl poznał odrazu, iż coś musiało go wzburzyć i zaniepokoić. Nie mówiąc słowa, Rutowski wziął za rękę ministra i poprowadził go do okna.

— Kochany ministrze — rzekł — wiesz ty dokładnie, co knują w Berlinie?

— Jakto? cóż oni knuć mogą? to my (entre nous) knujemy; ale ten nieszczęśliwy Fryc obsaczony jak niedźwiedź, co on może?

— Pewien jesteś tego?

— Kochany hrabio! racz pomyśleć: my tego człowieka mamy w matni... Ale cóż mogło was tak zaniepokoić?

— Powiem ci: mam wiadomość z Berlina — rzekł Rutowski — mam ją pewną. Fritz skupia czterdzieści tysięcy wojska, które, nim my się zbierzemy ku obronie, do Saksonii wkroczą.

Brühl szczerze się rozśmiał.

— Ale, kochany hrabio, jesteście znakomitym wodzem, nie przeczę, godnym uczniem Wiktora Amadeusza, jednak w polityce chyba uczniem. Możnaż wkroczyć, nie wypowiedziawszy wojny? Byłoby to przeciwko wszelkim prawom pacis et belli. Nie mamy z kochanym sąsiadem naszym najmniejszego zatargu, siedzą u nas jego rezydenci i agenci; uśmiechamy się do siebie przez granicę. Jakżeby mógł, jakżeby śmiał?

Rutowski pomyślał.

— Tak, to prawda — rzekł — ale znasz-że ty Fryderyka II-go? — zapytał.

— Pochlebiam sobie, że jego grubiańsko-królewską mość znam choć trochę — odparł minister. — W chwili, gdy pół Europy się na przyjaciela Imć pana de Voltaire szykuje, nie zdaje mi się, aby dobrowolnie chciał się postawić sam hors la loi? Pogorszyłby sobie sprawę — rzekł Brühl z uśmieszkiem — i moglibyśmy mu nawet Brandeburgię odebrać, ogłosiwszy go au ban de l'Em-

pire. Ale, mój hrabio — dodał — to są czcze, dziecinne strachy. Austrya go tego roku nie zaczepi, a sam, ręczę wam za to, wojny nam nie wyda; król Fritz nadto jest przebiegły, by mógł się tak unieść. Allons donc!

Rutowski pomyślał trochę.

— Masz słuszność — odparł, podając mu rękę — ja dyplomatą nie byłem, nie jestem i być nie chcę. Jestem żołnierzem! Nie rozumiem tych spraw, uląkłem się niepotrzebnie. Ale, ale, jakże chcesz, doniesiono mi to z takimi szczegółami...

— Naprzykład? — zapytał Brühl szydersko trochę.

— Doniesiono mi, że część wojska jedna ma pozostać pod wodzą feldmarszałka Lewalda na obronę kraju i stolicy, jeśliby weszli Rosyanie. Główne siły rozdzielone są na trzy korpusy, z których jednym dowodzi książę brunświcki, drugim sam król, trzecim książę Bevern.

Brühl się uśmiechał.

— I te trzy korpusy na nas mają być przeznaczone?

Zaczął się śmiać coraz głośniej.

— Ha, chyba na rok przyszły.

Rutowski stał zmieszany.

— Wyście to naturalnie daleko lepiej ode mnie wiedzieć powinni — rzekł — jestem więc spokojny i przepraszam, żem was napróżno nudził.

Brühl, chwytając go za rękę, poskoczył ku niemu.

— Generale — zawołał — na miłość bożą, ani słowa o tem przed królem jegomością, aby go napróżno nie męczyć. Jest to wprost niemożliwe.

— A! wiesz przecie, że plotek nie noszę! — odezwał się Rutowski.

Podał mu rękę i wyszedł żywo. Brühl ramionami ruszył, spojrzał na zegarek; godzina królewska się zbliżała: zaledwie miał czas kazać się zanieść na zamek

— Kłusem! — zawołał na tragarzy, i dwaj silni chłopcy ponieśli lektykę, jak piórko.

W przedpokoju minister prawie się przeląkł, niespodzianie postrzegłszy oczekującą ciżbę; ale obawa trwała chwilę tylko, wprędce bowiem rozpoznał, że ta gromada osób składała się przeważnie z dzieci Muz i Apolina, z artystów i znawców sztuki. Stał wśród nich, z włosami na ramiona rozpuszczonymi i żywemi oczyma, Rafael Mengs, obok niego skromny, szydersko jakoś uśmiechnięty Dietrich; dalej profesor i miłośnik starożytności Lippert i wielki znawca kunsztu, erudyt i intrygant, spekulator i krytyk zarazem, niegdyś jeden z sekretarzów Brühla, dziś dyrektor akademii Heinecken. Oprócz nich kilku Włochów, Anglik Hamilton, malarz scen myśliwskich i inni.

Brühl spojrzał na to zgromadzenie, zwołane bez jego wiedzy, i zapytał Heineckena:

— Co to jest?

— Król nas zawołać kazał; nie wiemy — odparł dyrektor.

Nie czekając dłużej i zostawiając tych panów w antykamerze, minister wbiegł do królewskiego pokoju. August zamyślony siedział w fotelu, naprzeciw którego na ogromnym trójnogu stał obraz: było to owo sławne Guido Reniego dzieło, nabyte przez kanonika Luigi Crespi z Bolonii od rodziny margrabiego de Tanara.

Na widok Brühla król jakby rozbudzony powstał.

— Brühl! opóźniłeś się — zawołał — tu idzie o rzecz największej wagi. Czy są wezwani znawcy?

— Czekają na rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

— Wprowadzić ich, chcę raz mieć stanowczy wyrok w tej mierze.

Szambelan, stojący u drzwi, otworzył je i skinął na oczekujących, którzy z kolei wsunęli się do pokoju, od-

dając nizki pokłon królowi i stając rzędem jedni za drugimi.

August przybrał twarz uroczystą.

— Panowie — rzekł — chciejcie się bacznie przypatrzyć arcydziełu temu, ręki cnego Guido Reniego. O autentyczności wątpliwości niema. Boskiego mistrza znać na nim dotknięcie. Ale rodzi się wątpliwość straszna, okropna, niepokojąca. Dyrektorze von Heinecken, profesorze Lippert, patrzcie! Tradycya rodziny Tanarów mówi, że obraz wystawia Salomona i królowę Sabę; tymczasem słyszałem drugich gorąco obstających przy tem, że to jest Ninus i Semiramis.

Wszyscy oczy na obraz zwrócili, milczenie wielkie, uroczyste jakieś, ledwie oddechami uczonych mężów przerywane, trwało minut kilka. Król patrzał po twarzach, twarze nie mówiły nic. Każdy oczekiwał zdania pańskiego, aby się do niego zastosować, a z własnem ani się myślał odezwać. Nie szło nikomu o to, czy to był Salomon i Saba, czy Ninus i Semiramida, ale wszystkim chodziło o to wielce, ażeby się najjaśniejszemu panu nie sprzeciwić.

Brühl, usta wydąwszy, zatopiony był na pozór w kontemplacyi obrazu, chociaż w istocie o czem innem myślał. August III, powoli obracając głowę, patrzał po tych osowiałych mężach, zdających się co najmniej ważyć losy świata. Wszystkich fizyognomie, wyjąwszy nieco szyderską Dietricha, były nadęte, zadumane, pomarszczone od wysileń mózgowych. Król, uśmiechając się, oczekiwał. Nareszcie odezwał się:

— Brühl, ty się znasz; hm? Co mówisz?

— Przychylam się do zdania Waszej Królewskiej Mości — zawołał żywo minister.

— Ale ja właśnie zdania nie mam — rzekł król, uśmiechając się.

— Ja także, wyznaję — odparł Brühl — zdania mieć nie mogę. Jakżebym śmiał je mieć, gdy Wasza Królewska Mość, daleko większym będąc znawcą, nie raczysz go wyrzec.

— Hm! otóż to; ale jak sądzicie?

Brühl, obawiając się skompromitować, ruszył ramionami.

— Pan dyrektor Heinecken mógłby być w tej mierze sędzią najlepszym — odezwał się Brühl, spoglądając na niego.

Heinecken był jednym z najzręczniejszych dworaków; powołany, skulił się, zgarbił, głowę skłonił, ręce roztworzył i koniec końców rzekł:

— To kwestya!

— Tak, to kwestya! to kwestya! — zawołał król, uśmiechając się — wielka i ważna kwestya, ale kto ją nam rozwiąże?

Spojrzano na profesora Lipperta, bo każdy rad był pierwsze słowo zrzucić na kogo innego. Lippert, to zrozumiawszy jako podstęp i zdradę, ramionami ruszył, na bok odstąpił i krótko rzekł:

— Nie wiem!

August ręce zacierał i śmiał się.

Na widok tego uśmiechu, zaczynali się i inni uśmiechać po cichu, a nareszcie Dietrich prychnął. Ze zgrozą obróciły się nań oczy: trzymał dłoń przy ustach.

— Dietrich! ty szyderco jakiś! niedowiarku! chodź mi tu zaraz — zawołał król. — Co ty mówisz? hę? z kogo się ty śmiejesz?

— Najjaśniejszy Panie! — nizko się kłaniając, rzekł malarz — proszę mi przebaczyć. Śmiałem się ze wszystkich, oprócz majestatu Waszej Królewskiej Mości i Jego Ekscelencyi.

— Ale cóż ty mówisz? — nalegał król.

— Ja? — spytał Dietrich.

— Tak, ty.

— Ja? — zamyślił się ponuro i westchnął malarz. — Najjaśniejszy Panie! — rzekł — ja mówię, że czy to jest Ninus i Semiramis, czy Salomon i królowa Saba, obraz—arcydzieło i to mi wszystko jedno.

Król w ręce klasnął.

— Brawo! Dietrich, brawo! è vero! Ślicznieś powiedział bardzo, ale tu idzie o katalog, tu idzie o wyrozumienie przedmiotu, tu idzie o dojście prawdy.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwał się Dietrich — starożytni malowali prawdę nagą i wychodzącą ze studni; ale mnie się zdaje, że ona zawsze tak w szlafroki pozawijana, tak osłonięta i spowinięta, że jej jeszcze nikt na oczy nie widział.

August III aż się za boki wziął od śmiechu.

— O! jakiż on przedziwny ten Dietrich, jaki on przedziwny!

Malarz skromnie już się wyrejterował w tył i schował za drugich.

Na przodzie stał jakoś Anglik Hamilton, znakomity malarz, władający jednak daleko wyborniej pędzlem, niż językiem, a do tego dystrakt.

— Panie Hamilton, co wy na to? — spytał król — hę?

Anglik głową zaczął kiwać, rękę jedną podłożył pod łokieć i sparł brodę na drugiej: myślał.

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie — rzekł — może to być Salomon i Semiramis, a może być Nimus i królowa Saba! Wszystko może być.

Król homerycznym parsknął śmiechem z omyłki, inni prychali tak, jakby na panewkach proch spalał. Anglik pomiarkował, że się szkaradnie omylił, i poprawił się z wielką powagą:

— Przepraszam, może być Ninus i Salomon, albo Semiramis z Sabą.

Śmiech jeszcze większy. Hamilton się nasrożył i cofnął. Nastąpiło głuche milczenie.

August spojrzał po zgromadzeniu prawie zafrasowany.

— Tylu tu widzę mężów uczonych, panowie, nie może być, ażeby żaden z was nie miał o obrazie zdania. Proszę o nie, bardzo o nie proszę, moi panowie; będę za nie wdzięczny.

Profesor Lippert pokiwał głową.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł — obraz nabyty jest od rodziny Tanara.

— Tak — rzekł król — i mieliśmy z nim kłopotu niemało, gdyby nie ten poczciwy ksiądz kanonik Crespi, któremu trzeba posłać za to wazon porcelanowy, gdyby nie on, nie miałbym tego obrazu. Tak jest, przywiązywano do niego cenę nadzwyczajną, że chciano dziesięć tysięcy skudów, co się dało zredukować do trzech tysięcy dukatów w złocie, ale młody markiz de Tanara zaprotestował przeciw sprzedaży tej familijnej pamiątki, tego drogiego klejnotu i nie chciał go wypuścić. Kanonik Crespi musiał u jego świętobliwości ojca świętego wyrabiać breve, a Academici Clementini di Bologna wydali zgodne świadectwo, że to dzieło Guida. Ale cóż mówisz, profesorze?...

— Familia de Tanara musiała mieć tradycyę: wszak dla niej obraz był malowany! Academici Clementini musieli w świadectwie wyrazić przedmiot.

— E vero!—zawołał król żywo.— Tradycya mówi o Salomonie, świadectwo o Salomonie, ale jest kwestya, jest kwestya.

Wszyscy znowu oczy zwrócili na obraz i stali niemi. Brühl się skłonił.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwał się — niema tu między nami znawcy nad Waszą Królewską Mość, a co nasz Pan wyrzecze, to będzie sądem ostatecznym.

Król głową potrząsł i chytrze się jakoś uśmiechnął, szepnąwszy cicho:

— Ja nie powiem!

Położenie dworaków stawało się niesłychanie przykre. Z tym dowcipem, jaki go charakteryzował, minister odgadł swojego króla. Milczenie, według niego, nie mogło co innego znaczyć nad Ninusa i Semiramidę.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się po namyśle — gdybym miał odwagę przyznać się do mojego zdania...

— Miej ją! proszę! — wtrącił król.

— Sądzę, że i familia zapomniała i akademicy się omylili. To Ninus i Semiramis.

Wszyscy spojrzeli na ministra, podziwiając jego odwagę. Król rozpromieniony w ręce uderzył.

— I ja tak trzymam! — zawołał, wybuchając nareszcie.

Szmer się rozległ pomiędzy przytomnymi.

— Tak jest, Ninus, niezawodnie Ninus i Semiramis — powtarzano.

Wejrzeniem objął król zgromadzenie; nie było najmniejszej opozycyi; wszyscy teraz utrzymywali, że to nie mógł być Salomon ale Ninus, że niepodobieństwem było, aby w kobiecie malarz Sabę stworzył nie Semiramis. Tylko Dietrich, ten szyderca, co umiał wszystkich mistrzów malować, a sam sobą nie był nigdy, uśmiechał się dziwnie i ukrył w kątku.

Profesor Lippert wystąpił na poparcie z erudycyą, Heinecken z prawdopodobieństwem, Mengs z charakterystyką.

Król usiadł w krześle uspokojony zupełnie i rad z siebie.

— Panie dyrektorze Heinecken, proszę obraz w katalogu poprawić, aby mi tam nie stał Salomon z Sabą, rozumiesz? Dzięki Bogu, ważne to pytanie stanowczo rozstrzygnięte zostało. Dziękuję panom.

I August uprzejmie ręką ich pożegnał. Z kolei tedy, od najstarszych począwszy, szeregiem poczęli się kłaniać majestatowi i schyleni tyłem cofać się do drzwi, za któremi każdy dopiero swobodniej odetchnął.

Dietrich popatrzał po towarzyszach szydersko nieco, skłonił się i pierwszy zbiegł ze schodów.

VIII.

Kawaler de Simonis jakoś nierychło dnia tego potrafił się wydobyć z pałacu Brühlowskiego: zaproszono go tu na obiad do stołu dworzan i sekretarzy, przy którym prezydował marszałek dworu. Obiad był wytworny, wino doskonałe, humory wyborne i młodzież potem wybiegła do ogrodu. Maks mógłby być zupełnie zadowolony z przepędzonego tu czasu, gdyby nie jedna okoliczność. Przy stole siadł obok Blumli, ale z drugiej strony, niemal gwałtem się wcisnął młody chłopiec, który mu natarczywie patrzał w oczy i natrętnie szukał jego znajomości. Simonisowi wydało się to jakoś podejrzanem, bo nie mógł w żaden sposób odgadnąć powodu, dla którego ów młodzieniec, zupełnie obcy, tak się do niego cisnął. Od Blumlego się dowiedział, że to był Polak, syn dosyć zamożnego szlachcica, który gwałtem niemal go oddał do dworu Brühla. Minister, który miał dlań jakieś obowiązki z tych czasów, gdy się o szlachectwo polskie starał i ocieszyńskie sobie pochodzenie wyrabiał, wziął chłopaka do Drezna.

Znali tu wszyscy tego pana Ksawerego Masłowskiego, którego, chociaż ich tam na dworze bardzo było wiel

zwano kat exochen Polaczkiem. Zrazu przyjechał był do Saksonii z podgoloną głową, przy szabelce, w kontuszu i żupanie; ale że na dworze Brühla noszono się po europejsku, musiał w końcu przebrać się jak drudzy. Taka była wola pana stołnika, ojca pana Masłowskiego. Na dworze dziwną Ksawerek grał rolę, bo niebardzo tu kogo szanował, głowę do góry zadzierał, żartował ze wszystkich, i choć po francusku mówił jak hiszpańska krowa, a po niemiecku jak owca hiszpańska, łamanym językiem, nitki na nikim poczciwej nie zostawił. Kraj mu się wydawał osobliwy, ludzie śmieszni, stosunki dziwaczne, po szlachecku się zapatrując na to, ramionami tylko ruszał i drwił.

Blumli, który się go i obawiał i nie lubił, bo był śmiałek okrutny i zawalidroga, ostrzegł zaraz Simonisa, z kim miał do czynienia, żeby się miał na ostrożności, bo Masłowski do nikogo nie zwykł się był czepiać darmo.

Kawaler więc grzecznie się go zbywał przez cały obiad, sądząc, że chłodem odpędzi. Nie było to tak łatwo, Masłowski kroku od niego nie odstał, a gdy się przenieśli do ogrodu i Blumli odszedł nieco, pochwycił Simonisa jak swojego. Tym razem Szwajcar sądził, iż łagodnością i uprzejmością go rozbroi, przestał się więc wyrywać.

Masłowski był słuszny, blondyn, z nosem maleńkim garbatym a ustami wydętemi i oczyma wysadzonemi na wierzch. Okrutna się buta malowała w tej twarzyczce. Śpiczastą nieco głowę z dziwnie do góry zaczesanymi włosami nosił zawsze zadartą. Mały wąsik blond, który lubił pokręcać, i którego dla stroju francuskiego nie chciał poświęcić, zdobił mu wargę wierzchnią.

— Cóż, szanowny kawalerze — odezwał się, do ogrodu wyszedłszy, Masłowski — jak się panu ten niemiecki zraj podoba?

— A! bardzo — rzekł Simonis.

— Bardzo? ja się panu przyznam, że mnie niekoniecznie. My obaj jesteśmy republikanie, a to przecie zupełnie co innego; szlachty ani widać: sami lokaje i urzędnicy.

Kawaler zmilczał nieco.

— No i lutry mało nie wszyscy — rzekł Masłowski — w katolickim kościele dzwonu powiesić nie wolno, jak u nas na bożnicy.

Ruszył ramionami, rozśmiał się, pokazując białe zęby, i dodał:

— Ale dziewczęta ładne!

Simonis, gdy raz wpadli na tę materyę, wcale nierezonującą i nieprzedstawiającą niebezpieczeństwa, odetchnął wolniej.

— Ja tu mało kogo widziałem! — rzekł.

— Ale! ale! — przerwał Masłowski — nie tracisz pan czasu. Wszakże pan już znasz najpiękniejszą ze wszystkich i niemal ją codzień widujesz.

— Ja? kogo? — spytał zdziwiony Simonis.

— Ano pannę baronównę Nostitz, która jest przy królowej frejliną. Oprócz tego juści pan i z naszą hrabiną zabrał pono znajomość.

Szyderski uśmiech Masłowskiego, pokręcającego wąsa, nie podobał się Simonisowi.

— Hrabina jeszcze hoża baba — mówił szlachcic — wcale niczego, jak się wyczupurzy; a Pepita choćby na sobie i listka babuni Ewy nie miała, byłaby jak anioł ładna! Tego to panu zazdroszczę, że ją tam u stryjenki widujesz...

— Ale skądże pan o tem wiesz? — spytał Simonis.

— Ja? widzi pan — mówił szlachcic — ja tu nie mam nic do roboty, ojciec mnie oddał dla przetarcia się i przecieram się... Patrzę, szpieguję i kpię. Ciekawy je-

stem! Cóż mam robić? Do czego to próżnowanie nie doprowadzi! Wszystkie ładne panny znam, a co Pepitę, choć Niemkę, przyznaję się, że uwielbiam. Gdyby nie była taka dzika, jabym ją nauczył po polsku.

Simonis się uśmiechnął.

— Mówiłeś pan, że mi zazdrościsz, ale doprawdy niema czego, ja ją ledwie kilka razy widziałem.

— Kilka razy! ale swobodnie! a ja tylko ją oczyma gonić muszę; rozmowy ani sposobu. Śliczne stworzenie! — dodał Masłowski, wzdychając.

— Kochasz się waćpan w niej? — spytał Simonis szydersko.

— A nie wiem — rzekł Masłowski — ale bardzo być może, iż... wypadnie się zakochać. Prawda, że Niemka, no, ale szlachianka i taka bestya ładna i niegłupia.

— I śmiała — dodał Simonis.

— A to nic nie szkodzi, ja sam śmiałe lubię. Przyznam się panu — przebąknął Masłowski — że tej pannie winieneś, żem się tak mu do boku przyczepił. Chciałem was ostrzedz. Jakby wam ochota przyszła koperczaki do niej stroić, to między nami byłaby awantura.

Simonis stanął i popatrzał mu w oczy.

— Cóż to ma znaczyć? — spytał, śmiejąc się.

— Czy pan kiedy w życiu spotkałeś szlachcica polskiego? — odparł drugiem pytaniem Masłowski.

— Nie — rzekł Szwajcar.

— No, widzi pan, co kraj to obyczaj; my, szlachta naszej rzeczypospolitej, od nie wiem wielu lat mieliśmy i mamy przywilej sami tylko bronić kraju. U nas chłopów w wojsku niema: oni sobie ziemię orzą. Otóż od dzieciństwa nawykłszy do szabli i żołnierki, mamy ten nałóg, że gotowiśmy się bić o lada co. Co robić! dłonie świerzbią!

— A! — rzekł Simonis — ja też nieźle się fechtuję i strzelam.

— A, ba! daj ty mi pokój z fechtunkiem — roześmiał się Masłowski — ja z rożnami waszymi nie mam do czynienia, choć i tegom się uczył; u nas na szabelki. To mi gra! Szpada to śmiech, a szablą jak płatnie...

Zamachnął Masłowski.

— Ale daj-że mi waćpan pokój, mój rycerzu szablowy — odezwał się ze śmiechem Simonis — ja ci przecież w drogę nie wchodzę.

Masłowski podał mu silną i szeroką dłoń.

— Widzisz, kochany kawalerze — rzekł — mnie się zdaje, że starzy i młodzi, kto żyw, w baronównie kochać się musi.

Ruszył ramionami i począł poświstywać.

— Ja kłótni, uchowaj Boże, nie szukam, ale się napieram do przyjaźni waćpana. Wiesz dlaczego?

— Cóż to takiego?

— Oto dlatego, że mi ta przyjaźń da sposobność uczęszczać na trzecie piętro kamienicy, w której na drugiem ta dzieweczka czasem przebywa. Mogę, obrachowawszy się dobrze, idąc, spotkać ją na schodach.

Simonis się śmiał, śmiali się obaj.

— Żeby ojciec wiedział o tem — rzekł Masłowski — dopierożbym się miał z pyszna! Gdy mnie na to przecieranie się w świat wyprawiał, choć mi to nie było do smaku wcale, zapowiedział najuroczyściej, że jeśli się w Saksonii z babami wdam w amory, sto bizunów na kobiercu.

Simonis aż odskoczył.

— Kochany Szwajcarze — rzekł seryo bardzo Masłowski — u nas sto bizunów jest porcyą bardzo umiarkowaną. Ja ci ręczę, że dają i po dwieście. Zaś mniej dwudziestu pięciu, szkoda zakasywać rękawy i szarawary. Ale z drugiej strony, bracie republikaninie — mówił dalej pan Ksawery — trzeba wiedzieć, że u nas wiel-

cy panowie, kiedy im przyjdzie fantazya skórę trzepać, często płacą potem po dukacie od bizuna.

Simonis słuchał, już nie rozumiejąc.

— Co chcesz — ciągnął dalej Masłowski — u nas świat inny, jakże ty chcesz, ażeby mi się tu podobało. Wcale inne obyczaje: tu wszystko w kątku i po cichu.

Schylił mu się do ucha.

— Słyszałeś o Koenigsteinie? o Pleissenburgu, o Stolpen? Tam i naszej dużo szlachty rekolekcye odsiadywało. W Stolpen król starą kochankę posadził, gdy mu się sprzykrzyła, a do Koenigsteinu codzień wożą. U nas tego niema. Prawda, tu świat polerowany bardzo, ale gęby na kłódki pozamykane. U nas mówić wolno, co komu ślina do ust przyniesie; u nas... ale ty tego nie zrozumiesz, kawalerze de Simonis. My ludzie trochę dzicy, prawda, ale u nas każdy Pana Boga chwali, jak chce, co ma na sercu, to wypowie i sejmy mamy, na których się wykrzyczeć można, co dusza zapragnie.

— Tak, o sejmach słyszałem — odparł Simonis — u was jeden szlachcic zrywa sejm, gdy zechce.

— Tak jest, i jeżeli go w miejscu nie rozsiekają, to mu nic. Kawalerze de Simonis — przerwał nagle Masłowski — czy nie myślicie wy iść do domu? jabym was rad odprowadził.

Rozśmiał się Szwajcar, wymawiając od tego honoru, a że Blumli nadszedł, skłonił się Masłowskiemu i wymknął z nim razem.

Blumli chmurną miał twarz.

— Chodź do mnie — rzekł — tu niebezpiecznie mówić, a do pomówienia mamy.

Z ogrodu więc przez pałac znowu się dostali na Nowy Rynek i skierowali ku mieszkaniu Blumlego.

Tu, gdy się znaleźli sami, tak, że ich podsłuchać nie było można, Szwajcar schylił się do ucha Maksowi.

— Coś dziwnego krąży w powietrzu — rzekł — jakieś pogłoski chodzą niezrozumiałe; Brühl udaje wesołego, tai się z czemś, ale niespokojny. Ludzie, co od granic jadą, wciąż plotą o wojsku pruskiem, jakoby już zbliżającem się trzema korpusami ku granicom naszym. Dopóki się życie ciągnęło, jak było, nieraz sobie niem człowiek sprzykrzył; teraz, gdyby, uchowaj Boże, na wojnę się zaniosło, co będzie z nami? To jedno — mówił Blumli — ale nie mniej trwoży, że u nas zdrajców się i szpiegów pruskich namnożyło. Najmniejsze podejrzenie, człowiek zginąć może.

Simonis udał bardzo obojętnego.

— Feulner tam coś do Berlina donosił, wzięli go na Koenigstein, a dziś, ale zachowaj to przy sobie, osób nie znasz, dziś uganiają się za Mentzlami, z których jeden podobno depesze Prusakom wydawał. Obaj Mentzle zniknęli. Brühl się wścieka, bo długo nie wierzył w zdradę, bo Flemingowi odpisywał, że to nie może być, a jeśli depesze nasze ma Fryderyk i wie, co myśmy mu życzyli, no to około nas źle być może.

Blumli westchnął.

— W Dreznie, oprócz trocha gwardyi, żołnierza i załogi niemá; co nam pomoże forteca i mury, kiedy na nich dział nie widać. Myśmy do baletu gotowi choć jutro, ale do wojny ani za rok.

— Ależ wojna tak rychło przyjść nie może.

Towarzysz ruszył ramionami.

Wtem hałas posłyszeli za sobą i Blumli, odciągając Simonisa, ustąpił z drogi, spostrzegłszy dwór, który w wielkiej paradzie ciągnął na strzelanie do celu do bażantarni.

Na przepysznych koniach strzelcy nadworni, myśliwstwo, jägermeistrowie, dalej król, synowie jego starsi, królowa, kilka pań, Brühl i jego żona, generałowie,

dygnitarze; wszystko to poważnie bardzo ciągnęło z tem przejęciem się uroczystością zajęcia, jakby przystępować miano do niesłychanej ważności dzieła. Na twarzy króla pogodnej, zamyślonej, było jakieś Nemrodowskie namaszczenie, strzeleckie jakieś niby kapłaństwo.

Biada temu, ktoby, patrząc na to, odważył się ironicznym uśmiechem tę kawalkatę powitać: Brühl srodzeby ukarał zuchwalca. Gawiedź co prędzej ustępowała z drogi, a czapki i kapelusze leciały z głów; dworska służba przodem jadąca czuwała, ażeby ulice były oczyszczone.

Procesyonalnie tak, zwolna przeciągnęli wszyscy w milczeniu, a dwaj Szwajcarowie z odkrytemi głowami zatrzymali się, dając orszakowi miejsce. Mimowolnie porównywał Simonis Sans-Souci do Drezna i sam nie wiedział, coby był wybrał. Tu w istocie był majestat jakiś, tam tylko siła pewna siebie i szyderska, tu zdziecięciała powaga, tam naigrawający się z całego świata cynizm z kijem w ręku. Łatwo było przeczuć, że człowiek, który uroku tego nie poszanuje, bezsilną pychę zwycięży. Lecz przyznać trzeba było, iż dla oka ślicznie się to wydawało, a etykieta dworu wielkiego mu dodawała blasku.

Gdy dwór przeciągnął cały, milcząc dwaj młodzieńcy poszli za nim ku domowi Blumlego i wkrótce obaj zamknięci w nim gwarzyli przy butelce wina.

IX.

Późno wieczorem wrócił Simonis znużony do domu, w którym już wszyscy spali, rozmyślając nad wcale nieosobliwem położeniem swojem. Mijał milczące drugie piętro, gdy stara Gertruda otworzyła drzwi, wyjrzała ostrożnie i, poznawszy go przy świetle ogarka, który trzymała w ręku, dała znak, aby szedł za nią.

Zdziwił się nieco Simonis tak późnem zaproszeniem, lecz posłuchał go. Staruszka siedziała w wieczornym dezabilku i ogromnym czepcu z wstążkami na swoim fotelu i drzemała. Świeca okryta umbrelką paliła się na stoliku.

Zobaczywszy Simonisa, dała mu znak, ażeby usiadł naprzeciw.

— Cóż tam słychać? — zapytała po cichu, jak gdyby Gertruda nie była głuchą — co mówią w mieście? Jestem bardzo niespokojną. Feulnera wzięli, a choć się nie wygada pewnie, zawsze u niego coś znaleźć mogli; Mentzel uciekł, ale czy go nie dogonią? czy go nie wyda kto? Nareszcie i o waćpana mi idzie — dodała ciszej — tak, o waćpana...

— O mnie? — spytał zdziwiony Simonis.

— Czyś się waćpan podpisywał na listach do hrabiny de Camas? — zapytała baronowa.

Zbladł Maks.

— Dlaczego mnie pani pyta o to?

— Bo zdaje mi się, że na listy czatowano i schwytano je.

Simonis ust nie mógł otworzyć.

— Pani to skąd wie?

— Wiem — zimno odezwała się baronowa — wiem... to dosyć.

— Ale ja dziś rano byłem u ministra, który mnie przyjął jak najlepiej.

— A wieczorem listy waćpana są u niego na stoliku.

— One szły przez Beguelina — zrywając się z siedzenia, odezwał się Simonis.

— A Beguelin więcej myśli o serach swoich, niż o listach. Waćpan, jeśli tak jest, nie masz chwili do

stracenia: idź na górę, zabierz co konieczne, resztę oddaj Gertrudzie; każę zanieść na strych. Gdy zapukają do wrót, nie czas już będzie.

— Lecz gdzie się ja skryję?

Staruszka, mimo wieku, zachowała zimną krew i przytomność.

— Idź waćpan na górę, spal, jeśli co masz; zabierz pieniądze, weź płaszcz, zmień kapelusz: dam ci kartkę do Serba, mojego starego sługi, który mieszka w chatce nad Elbą między rybakami. Dopytasz się o niego. Śpiesz...

Simonis zawahał się z początku, staruszka wskazała mu na drzwi.

— Śpiesz!—powtórzyła—idź, a pamiętaj, jeśliby cię złapano, nie mów nic o mnie. Ślebyś mi się wywdzięczył. Stare moje kości już ani więzienia ani męki nie wytrzymają.

Maks zerwał się z miejsca żywo i co prędzej pobiegł na górę. Zaczęty list spalił przy ogarku, który mu dała Gertruda, złoto swe pochował w kieszenie, płaszcz narzucił na ramiona; westchnął, łza niemęska zakręciła się w oku i już biegł na dół. Staruszka podała mu drżącą rękę do pocałowania.

— Idź waćpan, idź, idź...

Simonis co tchu zbiegł na dół, drzwi ostrożnie otworzył; na rynku nie było widać nikogo: księżyc świecił i plac stał pustkami.

Niedobrze sobie zdając sprawę z tego, co uczynił, puścił się ku Frauen-Kirche i dla odetchnięcia a zoryentowania się przyparł u jednego z jej ganków.

W tejże chwili z przyległego gmachu, który dawniej część kościoła zakrywał, i w którym mieścił się odwach główny, ujrzał wychodzących sześciu żołnierzy, oficera i urzędnika, który temu oddziałowi przodował. Za żołnierzami wlókł się w płóciennej odzieży człowiek, który

trzymał łańcuszki w ręku. Simonisowi zrobiło się jakoś mdło, zakręciło mu się w głowie, nie mógł z miejsca ruszyć, choć chciał uciekać. Widział, jak żołnierze skierowali się do bramy domu baronowej i jak urzędnik do niej stukać zaczął.

Nie było wątpliwości, straż ta po niego szła; musiał więc co najrychlej umykać z placu i za Pirnajską bramą szukać przejścia gdzieś nad Elbę, aby tam znaleźć schronienie. Nieznającemu dobrze miejscowości wyprawa ta była niesłychanie trudną i ryzykowną.

Tonący brzytwy się chwyta. Simonis, nie wiedząc już, dokąd bieży, począł szybko mijać rynek i wpadł w pierwszą jaką napotkał ulicę; z tej puścił się w inną, niebardzo bacząc, dokąd idzie; dobierając tylko jak najciaśniejsze i najciemniejsze uliczki, o które w ówczesnych miastach nie było trudno, zupełnie się zbłąkał. Zdało mu się wszakże, iż tu był bezpieczny. Okiennice wszędzie były pozamykane, bramy zaparte, mało gdzie świeciło się w oknie: w zaułkach oprócz kilku psów błąkających się nie spotkał żywej duszy. Idąc po tej stronie, na którą cień padał, nie lękał się, aby księżyc w pełnym blasku mógł go zdradzić. Niekiedy nastawiał ucha, chcąc szmery dalekie usłyszeć i rozeznać, ale te, na chwilę tylko zaszumiawszy, tonęły gdzieś w głębiach. Zdala czasem skrzypienie drzwi otwierających się chwytał i trzask zamykania, niekiedy jakby ostrożne stąpanie po bruku. Przystając, to idąc, rozmyślił się wreszcie, że w jakimkolwiek kierunku iść należy, nie zmieniając go, aby tak do dnia nie błądzić i na patrol jaki nie natrafić. Prawdopodobnie nie znalazłszy go w kamienicy, musiano szukać w mieście: ostrożność więc zachować musiał największą.

O! jakże sobie w tej chwili wyrzucał, że się dał w tę sieć wpędzić, z której nie wiedział, czy wyjdzie

z całą głową! Dom stary w Bernie, siostra, młodość, Berlin, stancyjka u cukierników, Carlotta—wszystko mu teraz ze łzami na pamięć przychodziło. Strwożony wlókł się pod murami i płotami, rozglądając, czy nie rozpozna położenia, gdy wreszcie trafił na większą jakąś ulicę. Ale na niej posłyszawszy śpiew wesoły, cofnął się w cień i czekał. Środkiem szedł właśnie młody człowiek, jedną ręką w bok się wziąwszy, drugą opierając się na lasce; kapelusik na lewem uchu, mina gęsta, a humor jak po węgierskiem winie. Simonisowi zdawało się, że coś podobnego gdzieś widział niedawno, i nie mylił się; był to bowiem pan Ksawery Masłowski. On i kilku młodzieży szlacheckiej ze dworu Brühla i najjaśniejszego pana sprawili sobie po teatrze niemieckim w Gewandhauzie traktament w winiarni u Czecha Hreczki, przy uliczce Kreuzkirche. Tamci się jakoś porozchodzili, a Masłowski powracał do domu i, żeby mu smutno nie było, polską na całe gardło śpiewał piosenkę.

Szwajcarowi, na widok kogoś ze dworu Brühla, zimno się zrobiło, choć noc aż nadto była parna; przylepił się do muru w przekonaniu, że go przechodzień nie postrzeże. Ale wśród ulicy pustej, nie mając co robić z oczyma, Masłowski przeglądał niemi wszystkie kąty. Dojrzawszy nieruchomo stojącego człowieka, rad, że może trafić na awanturę, nie zastanawiając się, wprost puścił się na niego z krzykiem: W e r d a?

Zrazu Simonis chciał uciekać, ale siły i determinacyi mu zabrakło; wziął się więc już do szpady, gdy Masłowski, przypadłszy tuż, poznał go i rozśmiał się na całe gardło.

— A ty tu co robisz, Szwajcarze? mnie pod sekretem mówiono, że cię wieczorem na odwach za coś miano wsadzić, i wybierałem ci się tam oddać wizytę.

— Na miłość Boga! nie zdradzicie mnie! — zawołał

Simonis — wy Polacy macie naturę szlachetną. Chciałżebyś się znęcać nad nieszczęśliwym!

— Niech Bóg uchowa!—zawołał Masłowski—na złość tym szołdrom bronić cię będę; ale powiedz-że mi prawdę, rękę na sercu położywszy, sumiennie, uczciwie, coś zbroił?

Simonis był w takiem położeniu, że nie miał już nic do stracenia: rodzaj gorączki go opanowywał.

— Szlachetny młodzieńcze — rzekł — przybyłem z Berlina, to starczyło, aby mnie posądzić.

— A jak na teraz, to dosyć posądzenia, ażeby do sznurka się wzięli — krzyknął Masłowski. — Ale przyznaj się: tyś pruski, hę?

Szwajcar się zawahał.

— Słuchaj-że! Bóg widzi, mnie to zupełnie wszystko jedno: jak tylko Niemiec, gatunku nie mogę rozpoznać. A jak mnie to bawi, że oni się z sobą tłuc będą! A jak mnie to bawi! Gdybym mógł, tobym z obu stron podżegał! Bądź ty sobie pruski, saski, austryacki, a mnie co do tego? jak tylko im pomagasz, żeby się z sobą jedli, to cię kocham! Lecz wiesz co, kawalerze szwajcarski— dodał ciszej — cóż ty myślisz z sobą? Ciebie szukają, a jak znajdą, niema żartu. Brühl słodki jest, ale jemu człowieka sprzątnąć, jak mnie wypić kieliszek. Ty się musisz skryć, i pomagaj Prusakom, niech Sasów tłuką, a potem, jeśli ci z tem będzie lepiej, pomóż Sasom, żeby Prusaków wytłukli. Jak ich mniej będzie, świat nie przepadnie. Masz-że ty już jaką dziurę?

Simonis się jeszcze wahał.

— A! gadaj-że, tchórzu — zawołał Masłowski — żaden Polak nigdy nie zdradził.

— Mam — odparł Simonis — ale do niej sam nie trafię, bo miejsca nie znam ani ludzi.

Obejrzał się pan Ksawery: w ulicy żywej duszy nie było.

— Daleko to? — zapytał.

— Nad Elbą, między rybakami — rzekł Simonis.

— Hm! — odparł szlachcic — ja co innego mam na myśli: niech sobie ta dziura zostanie na wszelki wypadek na później. Gdzie ty tam w śmierdzącej chacie o cebuli i razowym chlebie wytrwasz? Ja ci powiem, co zrobimy. Ja się nikogo w świecie nie lękam. Stoję sam jeden u wdowy, nawet nie starej, u niejakiej Fuchsowej: oto stąd niedaleko, kilkadziesiąt kroków. Fuchsowa mnie drze, ale nie zdradzi i dałaby się posiekać za mnie. Nie pierwszy to raz u mnie się kto przytuli i przemieszka kilka dni. Powiem babie: Verstehen, język za zębami halt! Będzie milczała, choćby ją pieczono.

— Nie będziesz-że się lękał? — spytał Simonis.

Masłowski, oczy otworzywszy szeroko, odstąpił kilka kroków.

— Ja? żebym się szołdrów zląkł? A! niedoczekanie ich! Szwajcara, jakby się zawzięli, mogą poturbować i połaskotać koło szyi, ale polskiego szlachcica? ha! ha! Co mi zrobią? wsadzą do Koenigsteinu? Ano, wielka rzecz: ojciec uwolni. Chodź!...

To mówiąc, pociągnął go z sobą; a dla większej pewności pod rękę go ujął i tak prowadził do pani Fuchsowej. Masłowskiego ojciec, pan stolnik, był człowiek majętny; kilka razy już długi synowskie płacił, działo się więc panu Ksaweremu u Fuchsowej jak nie można lepiej.

Jak tylko do bramy zaczął kluczem świdrować, służąca w pantoflach zbiegła ze światłem, a na pierwszem piętrze czekała gospodyni, średnich lat, nieszpetna kobiecina, wygadana, śmiała dworka. Gdy ją zobaczył Masłowski, zaczął zaraz łamanym językiem witać ją i oznajmować, że prowadził z sobą przyjaciela, że ten kilka dni u niego spocznie, ale o tem powinno być cicho.

Fuchsowa, oczyma tylko ciekawie zmierzywszy młodego chłopca, usty i rękoma zaręczyła uroczyście, że spełni polecenie grafa. Masłowski, jak wszyscy majętniejsi Polacy, dostał ten tytuł od Fuchsowej; potwierdzili go potem tragarze, którym dobrze płacił, i kupcy, u których brał na kredyt.

Mieszkanie pana Ksawerego nie było paradne, a po saskich, w porządku utrzymanych, wydawało się tem, co dotąd Sasi zwać zwykli polnische Wirthschaft. Nieład, panujący tu, dwa razy tyle kosztował, co gdzieindziej najwyszukańszy porządek. Fuchsowa nie śmiała zaprowadzać u niego żadnych reform, bo Masłowski się gniewał.

Wśród dosyć porządnych mebli stały buty pod krzesłem jednem, na drugiem wisiał przyodziewek, na trzeciem ręcznik; miednica stała na stoliku wśród papierów, świeca przy talerzach z owocami; na ćwieczkach tu i owdzie wisiały piękne i nie piękne rzeczy; na kanapce leżała biała poduszka; na łóżku w drugim pokoju stało pudło.

— Przepraszam cię, kochany kawalerze Simonis — począł, wchodząc, Masłowski.

— Na miłość Boga! nie wymieniajcież mojego nazwiska — krzyknął Szwajcar.

— A! prawda. Ale jakże was będę nazywał? hę? Po imieniu?

— Ani po imieniu.

— Ochrzcij-że się, kim chcesz być.

— Włochem nazwij mnie.

— Terrini, znałem jednego, który się tak nazywał, to mi łatwiej będzie — podchwycił Masłowski. — A zatem signor Terrini, przepraszam cię za nieporządek u mnie. Niemcy się z niego wyśmiewają, ale te szołdry nie rozumieją bestye tego, że ja szlachcic wolny nie chcę być niewolnikiem moich rupieci i dla nich się męczyć!

pal ich dyabli! Niech każda rzecz tam leży, gdzie ja każę, nie, gdzie jakiś głupi wymaga porządek. Pomimo to będzie wygodnie, możesz nogi położyć na stole, kiedy chcesz; u mnie wolno wszystko... mojem godłem: libertas!

To mówiąc, Masłowski wskazał na drugi pokoik, gdzie stało łóżko.

— Gość jesteś, zdejmę pudełko i oddaję ci łóżko. Sam się prześpię na kanapie. Jeśli jesteś zmęczony, zrzuć łupinki z siebie i idź prosto w bety, a ja sobie radę dam; bądź spokojny.

Simonis jednak dalekim był od tego uczucia. Uścisnął rękę Ksawerego z wdzięcznością.

— Ale jutro?... jutro co będzie?...

— Jutro ja idę na służbę — rzekł Masłowski — dla samej niepoznaki, muszę. Fuchsowej zapowiem, że tu niema nikogo; musi uwierzyć, bobym babie uszu natarł dopiero. Zamkniesz się na klucz i jesteś jak u Boga za piecem.

— A jeśli się wyda?

— Jakimże sposobem ma się wydać?

— Któż to przewidzi?

— To nie może być.

— Lecz, gdyby...

— A no? gdyby; widzisz, kochanie, moje okno z sypialni, hę? wychodzi do ogrodu... Ofiaruję ci dwa prześcieradła, które masz czas skręcić i związać, spuścisz się i drapniesz prosto nad Elbę. Mówiono mi, że tego sposobu doskonałego używał kompatryota asindzieja Blumli, ile razy Brühl zastał go nie w porę u Miny, i takiej nabył wprawy, iż go to potem nic nie kosztowało.

Masłowski śmiał się i już zaczynał się rozbierać.

— Idź spać, kawalerze Simonis, u mnie się niema czego obawiać! Jabym was dla tego samego bronił, że im

pomagasz do ciupaniny! A! gdybym wojny między nimi doczekał, to dopiero będzie satysfakcya. Dobranoc, kawalerze, kładź się, ja tu na warcie! Dobranoc!

X.

Ostatnich dni sierpnia, ktoby był po długiej niebytności przyjechał do spokojnego Drezna, mógłby go nie poznać. Jakieś niezwyczajne, rozbudzone życie krążyło nietylko w ulicach miasta, ale w najodleglejszych jego zakątkach. Twarze, które spotykano, potrwożone były, zdziwione, niektóre uśmiechały się szydersko, inne krzywiły smutnie. Kupki mieszczan gromadziły się tu i owdzie, szeptano między sobą żywo, a na widok wojskowych i urzędników, rozpierzchały się w mgnieniu oka. Z okien domów, na najmniejszy hałas, wyglądały ciekawie głowy w perukach, czepkach i szlafmycach. Od zamku kiedy niekiedy wyjeżdżał konny gwardzista, pędził ciężkim kłusem ku Pirnajskiemu przedmieściu i znikał. Około pałacu Brühla ruch był większy jeszcze, niż gdzieindziej, lektyki i powozy stały przed nim, odchodziły, powracały, posłańcy bez kapeluszy biegali z zamku i do zamku; kobiety szczególniej były w gorączkowym ruchu.

Hrabina Brühlowa siedziała u królowej, minister był przy królu, a w jego salce czekało nań, niecierpliwiąc się, mnóstwo osób. Wszystkich twarze były zafrasowane, namarszczone, Hennicke chodził z głową zwieszoną. Globig i Stammer kłócili się z sobą. Wnoszono i wynoszono pliki papierów. Generałowie przybiegali, dowiadywali się i odjeżdżali. Niekiedy przez most od Nowego Miasta wpadał na koniu kuryer wprost przed pałac Brühla i szybko ze skórzanej torebki dobywszy listów, oddawał je na dole, a z rąk do rąk chwytane dostawały się w mgnie-

niu oka do sali, gdzie je Globig bez ceremonii rozpieczętowywał; służba jak oparzona biegała, wołana, odwoływana, wylękła. Nigdzie dnia tego nie było porządku, a rozkazywał, kto chciał. Słuchano jednych, zapominano o rozkazach drugich; frasunek opanował do najmniejszego pachołka.

Wśród tego dworu, oszalałego niemal jakąś trwogą, Masłowski z rękoma w kieszeniach, z miną na pozór seryo, w istocie szyderską, chodził, przysłuchując się, przypatrując, jakby go to niesłychanie bawiło.

Nie wydawał się jednak z tem uczuciem i przed towarzyszami przesadne rozwodził żale.

Do osób, które na Brühla już oczekiwały, w tej chwili przybył jeszcze generał Rutowski. Z posępnem czołem rozepchnął tłumy te, nie patrząc prawie na nie; zapytał o ministra, niecierpliwie się zżymnął, usłyszawszy, że go niema, i otworzywszy sobie gabinet, padł w nim na krzesło przy stole, głowę opierając na ręku.

— Słuchaj-no — rzekł do jednego z kamerdynerów — jak tylko minister wróci, dać mu wiedzieć o mnie.

Ale ministra nie było, godziny porządkowe zmieszane zostały, nikt nie wiedział, kiedy się co zacznie i i skończy. Pomniejsza służba korzystała z tego szczęśliwego składu okoliczności, po kątach wysuszając butelki i ściągając niekontrolowane słodycze. Nikt ich teraz nie pilnował.

Wśród tego szmeru i wiru, nagle stała się cisza, a potem gwar, ruch, zamęt, wrzawa podniosły się jeszcze. Wołano:

— Jego ekscelencya!

Drudzy poprostu:

— Brühl.

W istocie minister wysiadał z lektyki i, nie widząc nic, nie słysząc, nie zważając na to, co się koło niego

działo; biegł na schody. Twarz miał gniewem wywróconą, bladą i zestarzałą nagle; jeden mankiet koronkowy wisiał u rękawa oddarty, peruka była w nieładzie.

W sali powlókł oczyma po twarzach przytomnych i, jakby nie widział nikogo, wpadł do gabinetu, w którym siedział Rutowski.

Za nim też wcisnęli się: hrabia Loss, kanclerz Stammer i prezydent konsystorza Globig, wszyscy wicekrólami zwani. Zmienione ich twarze zwiastowały przestrach; Loss trzymał papiery w rękach tak drżących ze wzruszenia, iż latały z góry na dół.

Za nimi nadbiegł z zamku dążący generał adjutant baron von Spörken. Stosownie do temperamentów, twarze tych panów były blade jak marmur, żółte jak wosk, czerwone jak piwonie: baronowi von Spörken krew o mało nie tryskała z oczu, Rutowski, poważny i smutny, miał majestatyczny spokój ojca, którego był obrazem.

Brühl stanął w pośrodku i odetchnął.

— Panie generale — rzekł do Spörkena — zmiłuj się, rozporządź, nakaż, pilnuj, aby mi nikogo do króla, ale co się nazywa nikogo z wojskowych nie dopuszczano.

— To się rozumie, bądźcie spokojni — rzekł Spörken.

Oczyma jakby obłąkanemi Brühl powiódł po ścianach i siłą woli odzyskał przytomność i krew zimną, przynajmniej pozornie.

— Rzecz jest niesłychana, w dziejach niepraktykowana, niepojęta, która wszelkim kombinacyom kłam zadaje, bo się wszelkiemu prawu urąga. Słyszeliście panowie?

Rutowski podniósł głowę.

— Tak jest; co chwila gońcy to potwierdzają — mówił Brühl, coraz usiłując się spokojniejszym okazać — tak jest. Król Fryderyk, niepomny praw narodów, nie wypowiedziawszy nam wojny, nie mając najmniejszego

powodu do najazdu, trzema kolumnami wkracza do Saksonii. Oto są z Berlina doniesienia jak najdokładniejsze. Ma czterdzieści tysięcy ludzi. Książę Ferdynand Brunświcki wszedł do księstwa magdeburskiego a kwatermistrz i przednie straże na Hallę, Lipsk, Bornę, Chemnitz, Freiburg, Dippelswalde zmierzają ku Dreznu. Król sam z wyborem żołnierza idzie po lewym brzegu Elby przez Wittembergę, Torgau, Meissen, zapewne na Kesseldorf. Książę Bevern od Frankfurtu nad Odrą, przez Elsterwerde, Budyszyn, Stolpen i Lohmen, dąży w okolicę Pirny.

Rutowski porwał się z krzesła, łamiąc ręce.

— A my przeciwko tym trzem oddziałom mamy zaledwie...

— Trzydzieści tysięcy żołnierza! wybornego żołnierza! — przerwał Brühl, porywając papier ze stołu. — Tu stoi rachunek. Trzydzieści tysięcy...

Rutowski szybko z za munduru dobył inny papier.

— Hrabio, mylisz się i uwodzisz! — krzyknął — nie mamy połowy tego. Piętnaście tysięcy z ciurami, ani jednego więcej.

— To być nie może! — odezwał się Brühl.

— Tak jest! tak jest! Na papierze mieliście ich trzydzieści, ale ja wiem, że połowy niema przy regimentach.

— Austrya... — zawołał Brühl.

— To drugie złudzenie — przerwał Rutowski śmiało — z nami będzie to samo, co z księciem Karolem Lotaryńskim pod Kesseldorfem; Austrya tak nas poświęci, jak jego dała na ofiarę.

— Nie może to być, nie może! — począł Brühl. — Dwór cesarski, mam najpewniejszą wiadomość, wysłał siły znaczne do Czech. Korpusem jednym dowodzi Broun, ten stanie pod Kolinem, drugim Piccolomini pod Königsgrätzem. Generał Wied wykomenderowany zostanie do

Peterswalde, aby nam podał rękę. My też wojsko nasze musimy zgromadzić w tej stronie.

— A Drezno? — spytał Rutowski — a król? królowa?

— Drezno! — uśmiechając się, zawołał Brühl — pan hrabia się lękasz o Drezno! Drezna nikt się tknąć, nikt się do niego zbliżyć nie waży, choćby w niem nie było jednego człowieka. O Drezno ja jestem spokojny.

— A ja nie! — rzekł Rutowski.

— Panie hrabio — odezwał się minister — proszę przypomnieć sobie, że gdy za ś. p. ojca waszego, Karol XII zajmował i nękał Saksonię całą; gdy mógł najłatwiej opanować stolicę: przecież się nie ważył nogą stąpić na próg jej, a gdy tu przybył, to z uszanowaniem i w gościnę. Jużciż Fryderyk nie będzie zuchwalszym od Karola XII?

— Wasza Ekscelencya nie znasz Fryderyka, a ja służyłem w wojsku pruskiem i znam ducha, jaki tam panuje — mówił Rutowski. — W Karolu XII, jakkolwiek zdziczałym, było coś rycerskiego, było poszanowanie pewnych praw i przyzwoitości. Fryderyk, który się z Pana Boga śmieje, z religii drwi publicznie, nie wierzy ani w piekło, ani w niebo, a teraz już nawet ani w pana de Voltaire, swojego przyjaciela, nie poszanuje nic i wejdzie wszędzie, gdzie siłą wejść będzie mógł bezkarnie.

— Nie sądzę — rzekł Brühl głosem niepewnym.

— Mamy pierwszy dowód tego na wkroczeniu do Saksonii — dodał Rutowski.

— Król jegomość już podpisał list, który natychmiast wysyłamy.

— List! — ruszając ramionami, mruknął von Spörken — wyślijcie armaty, ale list!... list pewnie nie poskutkuje.

— Zobaczymy — odparł Brühl. — To są strachy

człowieka, który sam się boi. Fryderyk II wie, że naprzeciw siebie ma nie jedną Saksonię, ale Austryę, Francyę i Rosyę; wie, że jest zgubiony. Wiem, jakie są jego plany: chce nas tą groźbą zmusić, abyśmy szli z nim przeciwko Austryi.

Rutowski pokręcił tylko głową.

— Nigdy w świecie z Fryderykiem — dodał Brühl— za nic w świecie. Król jegomość na to się nie zgodzi.

— Tymczasem Saksonia padnie ofiarą—rzekł hrabia.

— To chwilowy kryzys — gorzko odparł minister. — Fryderyk zgubiony, zrozpaczony, targa się jak hyena w klatce zamknięta, ale darmo! Prusy zostaną wymazane z rzędu mocarstw europejskich.

Rutowski ruszył ramionami znowu i milczał.

— Radźmy, panie generale — odezwał się po małym przestanku Brühl. — Mojem zdaniem i zdaniem generała Nostitz, wszystkie nasze siły należy zgromadzić w obozie pod Pirną. Tam będziemy czekali, oparci o Koenigstein, dalszych wypadków. Fryderyk nie będzie śmiał. Generał Wied poda nam rękę, a przez niego utrzymamy komunikacye z Bourem i Piccolominim.

Obejrzał się Brühl; nikt się nie sprzeciwiał. Rutowski stał zamyślony.

— Jakże wy sądzicie, panie hrabio? — spytał minister.

— Ja nie chcę mieć głosu, aby nie brać na siebie odpowiedzialności — rzekł Rutowski. — Jego królewskiej mości służyć chcę i będę, ale w takiem położeniu, w jakiem się znajdujemy, z piętnastu tysiącami na czterdzieści, bez przygotowania, zaskoczeni niespodzianie, możemy bronić honoru tylko, nie Saksonii.

— Panie hrabio! pan widzisz wszystko zbyt czarno. Za naszymi piętnastoma, przeciw Prusom staje kilkakroć sto tysięcy sprzymierzonych.

— Za pozwoleniem — przerwał Rutowski — traktat podpisany?

Brühl zawahał się.

— W tem była cała moja przebiegłość i polityka, aby go nie podpisać i nie dać pozoru do wojny. Traktat jest jak zawarty. Gdybym go podpisał, Fryderyk jutro miałby jego kopię, a tak...

— Wie tylko, coście pisali do Wiednia, i to mu wystarcza — zakończył hrabia — nie mówmy o tem. Na słowa niema już dziś czasu: trzeba coś robić. Robić! robić! — dodał Rutowski — rozkazy! rozkazów trzeba.

— Tak jest — potwierdził baron Spürken.

— Obóz pod Pirną... — odparł Brühl — pozycya jest doskonała! obronna! położenie, nad które nie znajdziemy szczęśliwszego. Całe siły nasze pod Pirną. Pan generał zechcesz obmyślić...

Rutowski, nie mówiąc słowa, wziął za kapelusz leżący na stoliku.

— Idę, wysyłam rozkazy.

Brühl z pewnym niepokojem przeprowadził go do progu.

Spörken począł chodzić po gabinecie. Hrabia Loss, Stammer i Globig rozmawiali po cichu; Brühl powrócił, czoło ocierając, i padł na krzesło.

— Tak — rzekł — nie przeczę, jesteśmy w chwilowem zakłopotaniu, ale kosztem tym pozbędziemy się raz tego nieprzyjaciela, któryby nam wiekuiście wpity siedział na boku. Il faut en finir une bonne fois pour toutes. Nigdy plan szczęśliwszy nie był obmyślany, nigdy zwycięstwo nie mogło być pewniejszem. Niech wchodzi do Saksonii; bardzo dobrze: obsaczymy go tutaj i weźmiemy. S'en est fait de la Prusse!

Gdy to mówił, twarz mu się stopniowo wyjaśniała.

Hrabia Loss stał przed nim zadumany.

— Jak myślicie, archiwa sekretne należałoby wywieźć do Königsteinu? — zapytał.

— Po co? — rzekł Brühl.

— A jeśli wnijdą?

— Dokąd?

— Do Drezna...

Brühl rozśmiał się.

— Mówcie panowie, co chcecie, jest to rzecz tak niemożliwa, tak niemożliwa...

Wszyscy zamilkli.

— Król chce być sam w obozie pod Pirną — rzekł, zwracając się do Spörkena, Brühl — napróżno usiłowałem go od tego odciągnąć. Mój Boże! ile go to zdrowia i spokoju kosztować będzie! Powiedział mi, że jeśli Prusacy natrą, sam gotów do nich strzelać; ale Prusaków nie zobaczymy.

Rozśmiał się Brühl.

Marszałek dworu wszedł w tej chwili, oznajmiając, że obiad stygnął oddawna.

— Jeść zawsze potrzeba — odezwał się Brühl, wstając — proszę panów z sobą do stołu.

I podawszy rękę hrabiemu Loss, wyszedł, układając twarz do salonu, w którym hrabina Moszyńska i hrabina Störnberg i cały dwór jego nań oczekiwał.

Gdy się to działo w pałacu pierwszego ministra, około zamku gęstsze niż kiedykolwiek stały straże. Służba była przebrana najtroskliwiej. Po korytarzach ukryte czatowały warty, na schodach i w przedpokojach snuły się różne postacie, kosemi oczyma mierzące nietylko przechodzących przez pokoje, ale nawet ukazujących się w dziedzińcu.

Król August III siedział w swem krześle zadumany nieco, ale ukołysany już tak obietnicami posiłków przez Brühla, planem jego przeciw Prusakom, przedstawionym

mu doskonałym stanem armii saskiej, której dla króla było zawsze trzydzieści tysięcy, iż myślał już więcej o księdzu kanoniku Crespi, kupnach Algarottego, o galeryi, o polowaniu, o różnych potajemnych przyjemnostkach życia, które ojciec Guarini pod warunkiem tajemnicy rozgrzeszał, niż o Fryderyku II i Prusach. W duchu też był przekonany, że ten Fryderyk nie mógł mu być tak nieprzyjaznym, że można go było ująć, ukołysać tymczasem, a potem do Brandeburga odesłać, żeby mu się nie wiedzieć czego nie zachciało. August III czuł się tak silnym, iż chwilowy kłopot domowy nie zdawał mu się groźnym. W ostatnim razie alboż nie miał jeszcze Krakowa i Warszawy, i puszcz polskich i niedźwiedzi i wilków, a nawet żubrów, gdyby mu się ich koniecznie zachciało.

Wprawdzie szlachta polska nie wszystka mu była do smaku; naród był burzliwy i krzykliwy, zuchwały i niegrzeczny, a jednak między nimi byli ludzie choć do rany przyłożyć. Pałac saski nie był nazbyt niewygodny... toż za Wilanowem i za Pragą lasy, a w lasach zwierzyny moc.

I dumał król, fajkę paląc, a wzdychając niekiedy nad niezmierną niegrzecznością Fryderyka.

A w zamkowej ulicy, pod bramami, zbierały się potajemnie kupki ludzi. Szeptano sobie na ucho i spoglądano ku oknom zamkowym.

Nieopodal stąd, w sklepiku naprzeciwko, pod Orłem Białym, gospodarz, pan Weiss, otyły, połyskujący Niemiec, z rękoma na żołądku, rozmawiał z sąsiadką, panią Krause.

— Powiadam ci, panie Weiss, żem w zamku słyszała... idą Prusacy; król Fryderyk nasz, ewangelik...

— Co waćpani w głowie! — uśmiechnął się Weiss — on ewangelik?... poganin. Wiem to najlepiej. Mają swój osobny kościół w Berlinie, do którego zgromadzają

się nocami dla odprawiania swych obrządków. Kozła na ołtarzu czczą ze złoconymi rogami.

— Ale pfe! — zawołała pani Krause — to nie może być!

— Wiem najlepiej od duchownych: z Francyi przyjeżdża ich arcykapłan.

— Otóż za to Pan Bóg karze! za to! — odezwała się pani Krause. — Już były w tym roku znaki. Czy nie pamiętacie, co się u nas działo w styczniu z 13 na 14? Sądny dzień! Dachówki leciały jak liście, kominy sypały się, okna wyrywało, koło Wilsdrufskiej mur wywaliło. A w lutym znowu jaka była burza! Czy kiedy co podobnego ludzkie oczy widziały?

— Tę pamiętam, bo w kilka dni potem spaliło się w Kaïtz jedenaście domów — westchnął Weiss. — Ale do Drezna, niedoczekanie ich, Prusacy nie przyjdą — dodał — mury mocne.

— Kto ich wie, jeśli z kozłem mają do czynienia, a czary na posługi... — I westchnęła Krausowa, dygnęła i poszła.

Około ratusza kilku mieszczan rozglądało się po ulicach.

— Kuryery latają jak oparzone — rzekł jeden.

— Trzech na Pirnajską bramę posłano; sam widziałem — odpowiedział drugi.

— Gdzież, mówią, Prusacy? — spytał trzeci.

— Kto to może wiedzieć? Plotą ludzie tak, że człek głowę traci. Gadają jedni, że już w Lipsku, drudzy, że w Meissen, inni, że w Stolpen.

— Nie może to być: wojny, słyszę, nie wypowiedzieli — rzekł jeden polityk.

— A co myślicie? — odezwał się z boku inny — gdyby Saksonię i zajęli, alboby nam było gorzej?

Syknął któryś:

— Bo już chyba nie może być gorzej! — ale drudzy znak dali, aby milczał.

Wtem Beguelin się zjawił, znajomy kilku.

— Panie Braun! — rzekł szybko — bierzcie swój ser, na miłość Boga!

— A kto będzie jadł, jeśli wojna przyjdzie?

— O to niema biedy — wtrącił drugi — spytaj lepiej, kto go będzie płacił? Zjeść, zjedzą!

— Panie radco — zapytał zcicha Braun — prawdaż to, że wasi nam Saksonię zajmują?

Beguelin stanął jakby niesłychanie zdziwiony.

— Kto? gdzie? oszaleliście, czy co! ja nic nie wiem! — I odszedł szybko.

Do późnej nocy trwał ten ruch niespokojny w ulicach. Wieczorem, że się bez rozrywki obejść niepodobna, król w Jägershofie wyprawił sobie strzelanie do celu. W Gewandhausie dworscy komedyanci grali przedziwnie wesołą sztuczkę.

Lecz tego dnia pan Ksawery Masłowski nie potrzebował dla rozrywki iść do teatru: dosyć mu było w pałacu Brühla i w ulicach przysłuchiwać się i przypatrywać skutkom ogólnego popłochu. Ktoby go był widział prychającego kiedy niekiedy, gdy śmiechu wstrzymać nie mógł, myślałby, że istotnie coś nadzwyczaj szczęśliwego mu się trafiło.

Wychodził właśnie z pałacu, zamyślając iść wcześniej do domu, aby nieszczęśliwemu Simonisowi dotrzymać towarzystwa, gdy Blumli się do niego przyłączył.

Zmieniony był i smutny. Z rana, z powodu Simonisa, musiał przebyć złą chwilę: posądzono go o wspólnictwo, przetrząśniono mu dom i papiery i tylko opiece hrabiny, która zań zaręczyła, winien był, iż cały wyszedł a swobodny.

— Patrzaj-że, panie Ksawery — rzekł do niego —

com odpokutował za tego człowieka! Ale któżby się był tego po nim spodziewał!

— W istocie — odparł Masłowski — miał taką minę, jakby trzech zliczyć nie umiał.

— I niezręczny, w dodatku! — zawołał Blumli — dać się złapać na pierwszym kroku.

— Jakto złapać? — przerwał Masłowski.

— Jego jeszcze nie złapano, ale listy — mówił Blumli. — A co się z nim stało?

— Jak się wam zdaje? co się z nim stać mogło? — spytał Masłowski.

— Kto go wie! Wymknął się pewnie z pomocą baronowej lub baronówny!

— Taby go była nie ocaliła — rzekł Masłowski — nadto dobra Saksonka.

Blumli, mówiąc, szedł ciągle, jak gdyby w zamiarze odwiedzenia Masłowskiego. Panu Ksaweremu zaczynało być przykro.

— Idziecie do domu? — spytał Szwajcar.

— Ja? niekoniecznie: wolałbym się powłóczyć jeszcze.

— A jabym się do was wprosił w gościnę na kilka godzin — dokończył Blumli. — Do domu nie chcę iść. Któż wie? może im przyjść fantazya i po mnie przysłać, tymczasowo na odwach wsadzić; wolę u siebie nie być.

Masłowski się zmieszał widocznie.

— U mnie taki nieład! — rzekł — Fuchsowa właśnie zabrała się szorować i robić porządek.

— Musiała go skończyć — rzekł Blumli — jużcić Polak niegościnnym być nie może. Czyżbyście mnie u siebie przyjąć nie chcieli? Czy się obawiacie?

W dwie drażliwe struny trącił Szwajcar: w gościnność i odwagę. Masłowski aż się rzucił.

— Nie mówcież mi tego! — zawołał. — Idę przodem

o dwa kroki, abym Fuchsowej nakazał co rychlej izbę oczyścić. Proszę za mną.

Pobiegł pan Ksawery i pędem skoczył na górę, drzwi znalazł zamknięte i pięściami bić w nie począł. Nierychło jednak Simonis mu otworzył.

— Zamknij się w sypialnym pokoju — krzyknął, pośpiesznie go popychając. — Nie mogłem się odczepić od Blumlego, który tu idzie. Ruszaj i siedź cicho!

Zaledwie drzwi zamknęły się za kawalerem, który do alkowy umknął, Blumli był na progu.

— Fuchsowa dziś nie robiła porządku, chwała Bogu! — odezwał się Masłowski — zajęta jest Prusakami. Całe miasto o nich gada. W sypialnym pokoju nastawiała mi tylko konewek i balii. Siadajcie!

Masłowski posłał po wino i owoce i siedli, tak gwarząc, a gospodarz z wielką pilnością chodził około drzwi zamkniętych, lękając się, aby Blumlemu nie przyszła fantazya zajrzeć do balii i konewek. Jakby naumyślnie, Szwajcar rozwodził się nad niegodziwą zdradą Simonisa, nad podwójną rolą, jaką odgrywał, nad kłopotem, jaki z tego powodu miała stara baronowa. Słowem, nie żałował go wcale, a ukryty w izbie obok wszystkich tych narzekań słuchać musiał.

— A! — zawołał w końcu Blumli — gdyby mi popadł w ręce! Nie zaręczam, cobym zrobił... Dla oczyszczenia samego siebie, oddałbym go Brühlowi; przecież by go nie powiesili, a niechby się raz strachu najadł, drugi raz byłby ostrożniejszy. Hrabina mówiła mi dziś rano, że gdyby wpadł w ręce sprawiedliwości, prosiłaby męża o surowość: jest oburzona.

Wśród tej rozmowy zdawało się Masłowskiemu, jak gdyby okno w alkowie brzęknęło, jakby ruch jakiś dał się w niej słyszeć. Zagadywał, jak mógł, Szwajcara i głu-

79/1

szył go, lecz zbyt blizko drzwi siedzieli, żeby rozmowa ujść miała uszu nieszczęśliwego.

Dwie długie godziny tak przeszły.

— Teraz, gdy już noc nadchodzi — odezwał się Blumli — pójdę do Miny, ona mnie przechowa. Wątpię, żebym tam dziś Brühla zastał: nadto ma na głowie.

Pożegnali się; Masłowski go na schody wyprowadził i co najprędzej wrócił do pokoju, aby Simonisa uwolnić. Otworzył alkowę, spojrzał: okno stało naoścież... począł szukać po kątach, nigdzie Simonisa ani śladu; tylko koniec skręconych prześcieradeł bielał przywiązany do listwy, a spojrzawszy w ogród, dojrzał pan Ksawery końców sznura na gałęzi starej gruszy.

— Skorzystał z mojej instrukcyi doskonale — rzekł, wciągając prześcieradła — a jeśli go teraz gdzie pochwycą, jam nie winien!...

I rozśmiał się [illegible] całe gardłem.

Miejska Biblioteka Publiczna
3103
w Białymstoku
KONIEC
KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Ukasza Górnickiego
Nr 442368
Inwentarz Główny
w Białymstoku
Koniec t. I.
205 078
BIBLJOTEKA
42 P. P.
Nr 1115
Dział Bel.

442368

Mag. A

Książnica Podlaska
im. Ł. Górnickiego w Białymstoku
KP-BG-0444214